s. 16

Ostatnie pokolenie, które jeszcze czyta? – Bez lektury książek możemy się cywilizacyjnie cofnąć w rozwoju – mówi Maria Deskur

Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682

9 771898 308059 19

magazyn Puls

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

Piątek–niedziela, 8–10.05.2026 • Nr 37 (2548) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)

BT

s.4

W piątek dojdzie do podpisania umowy w sprawie SAFE

s.12

Dwie ustawy o kryptowalutach. Rząd mówi: sprawdzam

s.10

Po co prezydent Karol Nawrocki chce zmienić konstytucję? To zagranie marketingowe przed kolejnymi wyborami

Konstytucyjna zagrywka

eprasa.pl 1550608d64

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa 12 312 53 88
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W poniedziałek **magazyn**

- Sfotografowała już 30 porodów i przy każdym mocno się wzrusza
- Wypalenie zawodowe. Jak odnaleźć w sobie pasję do swojej pracy

Janusz Michalczyk
publicysta

RATUJEMY, ALE PO CO WŁAŚCIWIE?

Timmy - takie imię ktoś nadał humbakowi i dzięki temu wiele osób śledziło ze zwiększonym zainteresowaniem losy tego podobnego do wieloryba stworzenia, które zabłąkało się na płytkie, niemieckie wybrzeże Bałtyku. Jeżeli masz imię, to jesteś w jakimś sensie osobą i łatwo obdarzyć cię uczuciami. Kiedy kończysz życie, zrozumiała jest żałoba. Z humbakiem będzie prawdopodobnie jak z zaginionym w dramatycznych okolicznościach człowiekiem - należy się liczyć ze śmiercią, ale nie mamy pewności.

Eksperci, a także aktywiści z ekologicznej organizacji Greenpeace, uznali, że należy mocno osłabionemu i cierpiącemu humbakowi dać spokojnie umrzeć, ale znalazło się dwoje bogaczy, którzy postanowili sfinansować akcję ratunkową, polegającą na przeciągnięciu zwierzęcia na Morze Północne za pomocą specjalnego, zanurzonego w wodzie pojemnika. Przyklasnęło temu mnóstwo osób, bo poczuły głębszą więź emocjonalną z Timmy'm i źle się czuły ze świadomością, że nie można mu pomóc. Obserwowaliśmy sceny jakby zaczerpnięte z kina familijnego (statek holujący nazywał się „Robin Hood"). Na koniec zmaltretowanego humbaka wypuszczono na wolność i parę dni temu ślad po nim zaginął. Specjaliści zgadzają się, że jego szanse na przeżycie są nikłe. Do tej sytuacji pasuje chyba powiedzenie: operacja się udała, pacjent zmarł.

Mamy do czynienia ze zjawiskiem, jakie już dawno opisali psychologowie - wypieranie śmierci ze świadomości współczesnego człowieka. Z tym że teraz nie chodzi już tylko o ludzi, ale też o zwierzęta. Kilka lat temu Paul Bloom wydał głośną książkę pt. „Przeciw empatii" i trudno oprzeć się wrażeniu, że miał rację, wskazując na szkodliwość mocno emocjonalnych reakcji, prowadzących do fatalnych skutków. Bloom zalecał racjonalne współczucie, a więc takie, gdy decyzje są przemyślane, a nie podejmowane spontanicznie albo gdy do głosu dochodzi instynkt stadny. Z pewnością ludzie kibicujący akcji z humbakiem poczuli się lepszymi istotami, ale czy ktoś z nich próbował wejść w skórę zwierzęcia? To by wymagało dłuższego namysłu i głębszej refleksji. No i to jednak zwierzę...

„Powiedziałem ojcu świętemu, że jego słowa też mogą poprawić ten świat, który zmierza przecież w nie najlepszym kierunku, i że słowa i działania ojca świętego mogą też przywracać ład moralny

Premier Donald Tusk po spotkaniu z papieżem Leonem XIV

POLSKI MOST UWAŻANY ZA CUD TECHNIKI

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH

Spośród wielu budowli wznoszonych przez ludzi na szczególne uznanie zasługiwały zawsze mosty. Były zawsze bardzo potrzebne, trudne w budowie i na swój sposób bardzo piękne.

Dziś chcę opowiedzieć o moście, który powstał z inicjatywy Krakowianina, króla Zygmunta Augusta, ale zbudowany został w Warszawie. Most budował polski konstruktor Erazm z Zakroczymia. Budowa trwała długo, bo aż 5 lat (1568-1573), most miał pond pół kilometra długości i 6 m szerokości. Budził powszechny podziw, pisali o nim odwiedzający Warszawę cudzoziemcy, na przykład był on opisany w dziele Georga Brauna wydanym w 1617 roku.

Most oparto na 18 podporach w postaci pali wbitych w dno rzeki. Do ich wbijania użyto pływającego na tratwie olbrzymiego okutego żelazem kafara (spadającego z góry młota). Do podniesienia owego młota potrzebna była - jak notują kroniki - siła stu mężczyzn. Ta informacja jest jednak moim zdaniem nieprawdziwa - gdzie by ten tłum wciągających kafar robotników miał się podziać? Na tratwie? Niemożliwe! Na brzegu? Niewygodne.

Tak czy inaczej te pale wbito w dno Wisły i niosły one na sobie ciężar mostu i znajdujących się na nim pojazdów i przechodniów. Żeby płynąca z prądem rzeki wiosenna kra owych podpór nie uszkodziła - osłonięto je od strony nadpływającej wody potężnymi osłonami (izbicami). Dodatkowym problemem był ruch transportowy na Wiśle - płynęły nią często barki z różnym ładunkiem (głównie ze zbożem przeznaczonym na eksport), a także ogromne tratwy z eksportowanymi pniami drzew dla stoczni.

Żeby te barki i tratwy w razie potrzeby przepuszczać - 5 podpór od strony Pragi nie było wbitych w dno rzeki, tylko było pływających, z możliwością ich odsuwania dla przepuszczenia nadpływających statków. Wymagało to oczywiście stałego nadzoru, obsługi i konserwacji, ale działało podobno bez zarzutu.

Poza sukcesem technicznym polskich budowniczych tego imponującego mostu warta odnotowania jest hojność krakowskiego króla dla niebędącej wtedy jeszcze stolicą Warszawy. Za opisaną budowlę król zapłacił rzemieślnikom 100 tysięcy czerwonych złotych. Kronikarze piszą, że był to niewyobrażalny majątek. Poszukałem informacji, jaka była wartość nabywcza czerwonego złotego (bitego z czystego złota) za czasów ostatnich Jagiellonów i potwierdza, że był to wielki majątek. Sama moneta nazywana „czerwonym złotym" ważyła 3,4987 grama czystego złota (próby 0,986) i miała wartość 30 ówczesnych groszy. Tyle właśnie kosztował zimowy kożuch. Za jednego czerwonego złotego można było kupić dwa cielaki. Tona zboża kosztowała około 3 czerwone złote. Dobry koń (bardzo ważny w tamtych czasach) kosztował około 10 czerwonych złotych

Kosztowny, ale łatwopalny most wybudowany w Warszawie przez jej królewskiego brata martwił królową Annę Jagiellonkę, która zresztą doglądała prac wykończeniowych przy moście, bo Zygmunt August zmarł w 1572 roku, przed ukończeniem budowy.

Powodów do zmartwienia było sporo, bo położone nad Wisłą przedmieścia zamieszkiwała ludność niezbyt dbająca o swoje domostwa, więc pożary były tam na porządku dziennym. Dlatego w roku 1582 nakazała zbudowanie ceglanej baszty wjazdowej, która chroniła most przed pożarem i pozwalała sprawdzać, kto na most wjeżdża. Takie to były dzieje mostu zbudowanego przez Krakowianina w Warszawie!

TYLKO TYLE. I AŻ TYLE

Marek Mazurkiewicz
publicysta, politolog

Martin Niemöller był niemieckim pastorem, więźniem obozów w Sachsenhausen i Dachau, ale historia zapamiętała go głównie za sprawą literackiego manifestu, który upowszechnił w swoich kazaniach po II wojnie światowej. Utwór „Kiedy przyszli po mnie..." nie jest klasycznym wierszem, lecz gorzkim rozrachunkiem z własnym sumieniem i zaniechaniem.

Niemöller w prostych i sugestywnych słowach wyraził w nim żal - także wobec siebie - że gdy w Niemczech po 1933 r. naziści krok po kroku budowali totalitaryzm i pozbawiali praw najpierw komunistów, później socjaldemokratów, związkowców i wreszcie Żydów - on nie protestował. Milczał wobec bezprawia i krzywdy, której doświadczali ci, którzy mieli inne poglądy albo pochodzenie. Jego utwór kończy się pełnym żalu stwierdzeniem, że kiedy nazistowski reżim przyszedł po niego, „nie było już nikogo, kto mógłby zaprotestować". Ten literacki rachunek sumienia Niemöllera stał się manifestem przeciwko obojętności dla Niemców, którzy po piekle wojny budowali demokrację stojącą na fundamencie ochrony praw i wolności człowieka.

Słowa niemieckiego pastora do dziś zachowują swoją symboliczną moc. Przypominają, że społeczna obojętność wobec krzywdy prowadzi do eskalacji przemocy, że społeczeństwo, w którym nie ma solidarności, staje się słabe, a tę słabość bezczelnie mogą wykorzystać dyktatorzy, sprowadzając na swój naród katastrofę.

Nawet współcześnie ludzie, którzy zachowują jedenaste przykazanie Mariana Turskiego, by „nie być obojętnym", mogą zapłacić wysoką cenę za swoją odwagę i niezłomność. W tym samym duchu wybrzmiewają słowa Władysława Bartoszewskiego, który powtarzał, że „warto być uczciwym, choć nie zawsze się to opłaca". Niemöllera, Turskiego i Bartoszewskiego łączy doświadczenie tragedii i brutalności II wojny światowej oraz to, że wtedy - w nieprzyzwoitych czasach - śmiertelnie trudno było zachować uczciwość, przyzwoitość i odwagę.

Andrzej Poczobut, który w ubiegłą niedzielę odebrał z rąk prezydenta Order Orła Białego za „walkę o prawa człowieka i niezłomną postawę", również - jak sam mówi - „żyjąc w nieprzyzwoitych czasach, próbuje zachować się przyzwoicie. Tylko tyle i aż tyle".

eprasa.pl 1550608d64

Z CZEGO JUTRO...? DLACZEGO LATANIE JEST BEZPIECZNIEJSZE NIŻ PODATKI?

Andrzej Sadowski
Centrum. im. Adama Smitha

Z powodu rosnących cen ropy tylko w maju zostały zlikwidowane w międzynarodowej siatce lotów dwa miliony miejsc, jak podaje „Financial Times". Rosnące ceny ropy, energii czy też podatków, którymi są tzw. składka ZUS czy zdrowotna, mają bezdyskusyjny negatywny wpływ na funkcjonowanie przedsiębiorstw i koszty życia obywateli. O ile wśród społeczeństw został spopularyzowany związek między rosnącą ceną za baryłkę ropy a likwidacją części połączeń lotniczych, to trudno znaleźć z podobną częstotliwością w tej medialnej edukacji wskazań zależności między podwyższaniem opodatkowania i rosnącej liczby likwidowanych firm, co w Polsce jest trwałą tendencją od wprowadzenia i do dziś kontynuowanego tzw. polskiego ładu.

Latanie nigdy nie było tak bezpieczne jak dziś w świecie coraz bardziej zaawansowanych rozwiązań technologicznych i cyfrowych. Dlaczego zatem w przypadku „rozwoju" systemu podatkowego w Polsce doświadczamy rosnącej niestabilności, braku bezpieczeństwa prawnego i poczucia rosnącego zagrożenia? Dlaczego podatki nie są tak bezpieczne jak latanie?

Bezpieczeństwo lotnictwa powinno być wzorem dla systemów prawnych, w tym podatkowych. Różnica między tymi dwiema dziedzinami wynika z fundamentalnie innej konstrukcji zasad lub ich braku. W lotnictwie prawa fizyki i procedury bezpieczeństwa są stałe. Pilot wie, że jeśli pociągnie stery w konkretny sposób, samolot zareaguje przewidywalnie. Procedury startu i lądowania nie zmieniają się co kilka miesięcy. Przepisy i interpretacje podatkowe zaś w Polsce są ekstremalnie zmienne. Nowelizacje przepisów, jakie następują po zaordynowaniu tzw. polskiego ładu, wprowadzane są często z zaskoczenia, co sprawia, że podatnik, gdyby był pilotem, nagle dowiadywałby się, że w połowie lotu zmieniono zasady działania silnika. Bezpieczeństwo i przewidywalność w lotnictwie jest kategorią rozstrzygającą w przeciwieństwie do aplikowanego w Polsce chaosu w podatkach.

W lotnictwie instrukcje oraz checklisty muszą być zrozumiałe i jednoznaczne, aby wyeliminować błąd ludzki. Nie ma tam miejsca na „różne interpretacje" tego, czy podwozie jest wysunięte, czy nie. W podatkach w Polsce przepisy są często pisane językiem niezwykle zawiłym i niejasnym. Dowodem na ten stan rzeczy jest instytucja interpretacji indywidualnych potwierdzająca, że prawo jest na tyle bełkotliwe, że obywatel nie jest w stanie go samodzielnie zrozumieć bez pomocy urzędu. Dla kolejnych rządów stanowi alibi dla kontynuacji chaosu podatkowego. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby przepisy podatkowe były w dobie masowych wdrożeń AI tak samo klarowne, jak instrukcje w lotnictwie.

O ile w lotnictwie głównym celem jest bezpieczne dotarcie do celu i zasada zero katastrof, gdzie każdy wypadek jest drobiazgowo badany, by wyciągnąć wnioski na przyszłość i zapobiec powtórkom tragedii, to w podatkach celem systemu jest fiskalizm sam w sobie. Mimo narastających doświadczeń ze zniszczeniem firm przez urzędników stosujących niejasne i niestabilne przepisy oraz z podwyżkami obciążeń nieprzynoszącymi wpływów budżetowych rządy prowadzą politykę komplikowania i podwyższania opodatkowania. Manifestowany w ten sposób apodyktyczny i skrajnie egoistyczny interes państwa jest niezrozumiały dla obywatela i stanowi realne zagrożenie dla jego dobrostanu. Od momentu zaistnienia III Rzeczpospolitej rządzący poprzez permanentne w podatkach zmiany zasad gry stworzyli relację coraz bardziej rosnącej nieufności obywateli do niepodległego państwa, które zachowuje się wobec nich opresyjnie jak PRL, a nawet jak państwo zaborcze. Niepisanym celem systemu podatkowego jest administracyjna opresja i w przeciwieństwie do lotniczego nie jest nim bezpieczeństwo i wzmacnianie jego poczucia wśród obywateli.

W lotnictwie błąd systemu jest traktowany jako awaria do naprawienia. Systemy są przynajmniej dublowane, by jeden błąd nie doprowadził do tragedii. W podatkach zaś redundancja przepisów, czyli ich nadmiarowość, nie służy bezpieczeństwu nawet systemu, a tym bardziej obywateli, tylko wytwarzaniu chaosu prawnego, którego nie są w stanie opanować urzędowe interpretacje. Często to na obywatelu spoczywa pełna odpowiedzialność za błąd, nawet jeśli wynika on z niejasnego przepisu. Domniemanie niewinności w starciu z aparatem skarbowym w praktyce jest fikcją nawet dla tzw. wymiaru sprawiedliwości, podobnie jak zasada „in dubio pro tributario", która jest zapisana w artykule 2a Ordynacji podatkowej, aby chronić obywatela przed niejasnym prawem, ale w praktyce opresyjnego systemu jej stosowanie stało się kolejną fikcją.

Przepisy podatkowe wraz z ich interpretacją są permanentnie zmieniane, co konsekwentnie pozbawia je stabilności i jednoznaczności, a które są fundamentem bezpieczeństwa w lotnictwie. Gdyby samoloty latały tak, jak zmieniają się przepisy podatkowe, większość pasażerów nie odważyłaby się wejść na pokład w obawie o własne życie.

Skoro można dziś wygrać z rakiem oraz coraz skuteczniej prowadzić z nim walkę, do czego z powodzeniem przekonywał opinię publiczną Łatwogang w bezprecedensowej transmisji akcji charytatywnej, to można też wygrać zmianę kancerogennego dla życia społecznego systemu podatkowego.

Andrzej Sadowski, założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha - pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 r.

MATERIAŁ INFORMACYJNY KONGRESU ARCHITEKTURY POLSKIEJ

0011501918

Archimajówka otworzy sezon w Warszawie na architekturę

Najbliższe dni upłyną w stolicy pod znakiem architektury. Z myślą o mieszkańcach przygotowano pokazy filmowe, wystawy, warsztaty, debaty, a nawet spacer nocny. Wydarzenia miejskie są częścią zaplanowanego na 14-15 maja Kongresu Architektury Polskiej.

FOT. MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ

Już wkrótce Muzeum Historii Polski w Warszawie stanie się areną debat związanych z kondycją i wyzwaniami polskiej architektury oraz zawodu architekta. Kongresowi Architektury Polskiej towarzyszyć będzie szereg bezpłatnych wydarzeń dla mieszkańców stolicy.

Inauguracja w Pałacu na Foksal

Cykl wydarzeń architektonicznych rozpocznie w najbliższy weekend Archimajówka - coroczna impreza integrująca środowisko pasjonatów architektury i urbanistyki, która w tym roku została włączona w program przedsięwzięć towarzyszących Kongresowi Architektury Polskiej. Spotkanie ma na celu stworzenie przestrzeni do wymiany myśli, doświadczeń i refleksji nad współczesnymi kierunkami rozwoju architektury oraz przyszłością miast. Tegoroczna edycja odbędzie się w Pałacu na Foksal – miejscu sprzyjającym zarówno merytorycznej dyskusji, jak i swobodnej, majowej atmosferze.

Archimajówka rozpocznie się o godz. 18:00 powitaniem gości oraz panelem dyskusyjnym zatytułowanym „Czy architektura jeszcze może być piękna?". Tytuł rozmowy ma charakter przewrotny i celowo prowokacyjny – z jednej strony dotyka fundamentalnych pytań o estetykę i jakość przestrzeni, z drugiej zaś wprowadza dystans i zaprasza do rozmowy prowadzonej z przekąsem...
O godzinie 19:30 zaplanowano odsłonięcie instalacji, stanowiącej komentarz do poruszanych tematów. Od godziny 20:00 wydarzenie przyjmie bardziej otwartą formułę – uczestnicy zostaną zaproszeni na networking oraz przyjęcie w ogrodzie pałacu.

Od debaty przez wystawy po... słuchowisko

Dzień później (10 maja) epicentrum architektonicznych wydarzeń przeniesie się do Muzeum Sztuki Nowoczesnej na pl. Defilad w Warszawie. To właśnie tam o godzinie 16:00 odbędzie się debata pt. Między sumieniem a kontraktem: komu służy architektura? Jej uczestnicy zastanowią się, co w sytuacji, gdy architekt jest „używany" do „oznaczania terenu" przez polityków, silnych inwestorów, czy celebrytów. Czy taka postawa jest moralna i etyczna? Z czego ona wynika oraz jakie rodzi konsekwencje osobiste i społeczne?

Istotnym elementem programu są wydarzenia łączące refleksję historyczną z praktyką współczesną. 11 maja, również w Pałacu na Foksal (Pawilon), odbędzie się prelekcja poświęcona roli mozaiki jako nośnika pamięci architektonicznej Warszawy, połączona z wernisażem wystawy artystki Stefanii Michałowskiej „Od naporu zieleni runie ściana biała". Wystawa prezentowana będzie następnie w dniach 12–17 maja.

Pojawią się również bardziej eksperymentalne formy. „A Wasze serca już dawno pożarliśmy" to słuchowisko realizowane na oczach publiczności. Jego scenariusz został zainspirowany korespondencją, którą architekci Helena i Szymon Syrkusowie przez wiele lat prowadzili z zaprzyjaźnioną grupą przedstawicieli europejskiej awangardy architektonicznej. W słuchowisku Syrkusowie odnajdują w swoim letniskowym domku w Serocku stare list, które skłaniają ich do snucia wspomnień.

Pokazy filmowe, warsztaty wielopokoleniowe i spacer nocny

Nie zabraknie również atrakcji dla miłośników kina.
W dniu 13 maja odbędą się pokazy dwóch bardzo interesujących filmów architektonicznych: szwedzkiego „Inne miasto" oraz austriackiego „Architektura musi płonąć". Pokazy połączone będą z debatą w Kinie Elektronik na Żoliborzu.

Dzień później odbędzie się Spacer Nocny nawiązujący do dostępności kobiet do przestrzeni publicznej, która od zawsze była regulowana. Społeczeństwo pod pretekstem troski o bezpieczeństwo kobiet, nakłada wciąż ograniczenia na kobiecy sposób poruszania się po mieście. Spacer Nocny to zaproszenie do symbolicznego i realnego odzyskiwania tej przestrzeni. Sama obecność kobiet w mieście po zmroku staje się aktem widzialności, sprawczości i przynależności.

Zwieńczenie tygodnia pod znakiem architektury zaplanowano na 16 maja w Warszawskim Pawilonie Architektury ZODIAK. Odbędą się tam warsztaty międzypokoleniowe „Alternatywy", oprowadzania kuratorskie oraz zajęcia poświęcone projektowaniu gier miejskich „Warszawa: Graj w miasto".

Honorowy patronat nad Kongresem Architektury Polskiej objęli: Ministerstwo Rozwoju i Technologii, Minister Spraw Zagranicznych, Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Prezydent miasta stołecznego Warszawy oraz Marszałek Województwa Mazowieckiego. Partnerami strategicznymi są: Aluprof, Holcim Polska oraz ORLEN, partnerami: iExpert.pl, Mazowsze serce Polski, Laufen i Muzeum Historii Polski, natomiast partnerami wspierającym – firma FAKRO i Bank Gospodarstwa Krajowego.

Partnerem wydarzenia jest również Samorząd Województwa Mazowieckiego.

eprasa.pl 1550608d64

UNIA SZUKA PIENIĘDZY NA ZBROJENIA

Program SAFE wchodzi w życie. Kolejne pieniądze na wydatki zbrojeniowe mają się znaleźć w nowym budżecie UE. Wstępnie mówi się o 150 mld euro

Agaton Koziński, korespondencja z Brukseli

8 maja uruchomimy ważną i symboliczną procedurę. To Dzień Zwycięstwa, w którym podpiszemy pierwszą umowę w sprawie pożyczki SAFE z Polską. To jest około jednej trzeciej wartości całego funduszu – powiedział Andrius Kubilius, komisarz ds. obrony i przestrzeni kosmicznej UE rozmawiając w Brukseli z grupą dziennikarzy z Polski.

Dwie stolice przecierają szlak

Kubilius nie ukrywał swego zadowolenia z faktu, że do podpisania tej umowy dojdzie. Tym bardziej, że to będzie pierwszy taki akt z wielu. Dzień później swoją umowę w ramach SAFE podpisze jego ojczysta Litwa – a on sam będzie brał udział w tej ceremonii w Wilnie. Portugalia już ogłosiła, że swoją umowę podpisze w czerwcu. Wkrótce podobne informacje napłyną z pozostałych kilkunastu stolic (do programu SAFE przystąpiło 19 z 27 krajów UE).

Program SAFE to unijny instrument finansowy służący udzielaniu państwom należącym do UE długoterminowych pożyczek na inwestycje i zakupy w dziedzinie obronności. W Polsce wywołał on mnóstwo kontrowersji politycznych. Prezydent Karol Nawrocki zawetował ustawę, które precyzowała sposób wydawania tych środków. Rząd zdecydował się przystąpić do programu, mimo że nie będzie on uregulowany ustawowo.

„Komisja Europejska zaakceptowała naszą umowę pożyczkową SAFE jako pierwszą! Potwierdzamy swoją pozycję lidera bezpieczeństwa na wschodniej flance. Jesteśmy także największym beneficjentem programu. SAFE to blisko 190 mld zł dla naszej armii i naszego przemysłu zbrojeniowego" – napisał w mediach społecznościowych wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz.

„W ciągu najbliższych dwóch dni Polska i Litwa jako pierwsze kraje podpiszą umowy pożyczkowe w ramach programu SAFE. Już same te dwa projekty opiewają na kwotę ponad 50 miliardów euro i mają na celu wypełnienie kluczowych luk w zdolnościach obronnych oraz zapewnienie bezpieczeństwa naszej wschodniej flanki. Dzięki programowi SAFE wzmacniamy nasz przemysł obronny w całej Europie. Zapewniamy nam potrzebne zdolności. Szybciej, wspólnie i na dużą skalę" – napisała w mediach społecznościowych szefowa KE Ursula von der Leyen.

Polska część tego programu ma być oficjalnie zatwierdzona w piątek. Umowa zostanie podpisana w Warszawie. Ze strony Komisji Europejskiej podpisy pod nią złożą Kubilius i Piotr Serafin, komisarz ds. budżetu. Ze strony polskiego rządu będą to Kosiniak-Kamysz oraz minister finansów Andrzej Domański.

– Polska jest jednym z europejskich liderów rozwoju zdolności obronnych, przemysłu zbrojeniowego – podkreślał w środę Andrius Kubilius w czasie spotkania z dziennikarzami.

Jeszcze w maju Polska ma otrzymać z programu SAFE 6,5 mld euro. W sumie przyznana Polsce pula środków z SAFE opiewa na 43,7 mld euro.

Komisarz UE ds. obronności wskazywał na istotę programu SAFE, przede wszystkim na jego zdolność szybkiej rozbudowy unijnych zdolności przemysłu obronnego. – Rosja cały czas produkuje więcej uzbrojenia niż Europa – zauważał, podając przykłady.

Kubilius wskazał m.in., obecnie Rosja wytwarza rocznie 1200 pocisków manewrujących, podczas gdy kraje UE niecałe 300 sztuk, z kolei Ukraina 700 pocisków. Komisarz podkreślał, że zmiana tych proporcji jest kluczowa. – Kiedy to się zmieni, będzie to miało zdolności odstraszające – mówił.

Perspektywa długookresowa

W Brukseli wyraźnie czuć przekonanie, że SAFE to dopiero początek. Wprawdzie żaden z rozmówców, z którymi miałem okazję rozmawiać w ciągu dwóch dni, nie potwierdził, że Komisja myśli o kolejnej edycji tego programu, ale też żadne dementi nie było przekonujące.

Nawet jeśli kontynuacja rozwiązań typu wspólne pożyczki krajów UE z przeznaczeniem na obronność pozostają kwestią otwartą, to pieniędzy na zbrojenia krajów unijnych w najbliższych latach będzie więcej. Z dwóch źródeł.

Po pierwsze, rosną wydatki poszczególnych państw na ten cel – konsekwencja ustaleń w ramach NATO, które wymusił Donald Trump. Po drugie, większe środki na obronność znajdą się w nowej perspektywie finansowej.

W Unii właśnie trwa najważniejsza batalia w siedmioletnim cyklu: o kształt nowego budżetu. Odbywa się ona w dużej mierze poniżej radarów mediów i opinii publicznej w poszczególnych krajach członkowskich, ale nie zmienia to faktu, że ostateczny wynik ustaleń przesądzi o kierunku, jaki w kolejnych latach przybierze Unia. Pod względem finansowym zostaną dokonane uzgodnienia na lata 2028-2034. Pod względem politycznym podjęte w czasie tych negocjacji ustalenia będą wskazywały kierunek, w którym UE będzie zmierzać.

W BRUKSELI DUŻO MÓWI SIĘ O DOCHODACH WŁASNYCH UNII. NIE JEST JEDNAK JASNE, CZY TEN POMYSŁ ZNAJDZIE POPARCIE W KRAJACH CZŁONKOWSKICH

Ważnym segmentem nowego budżetu, umożliwiającego długofalowe planowanie procesów inwestycyjnych w UE, ma stać się komponent poświęcony bezpieczeństwu. Wprawdzie nie znajdą się w nim pieniądze bezpośrednio na zbrojenia (te są finansowane z budżetów krajowych oraz z takich mechanizmów jak SAFE), ale spory kawałek nowego tortu – wstępnie jego wartość szacuje się na 2 bln euro – mają stanowić projekty tzw. podwójnego zastosowania, a więc wykorzystywane zarówno przez cywilów, jak i wojskowych.

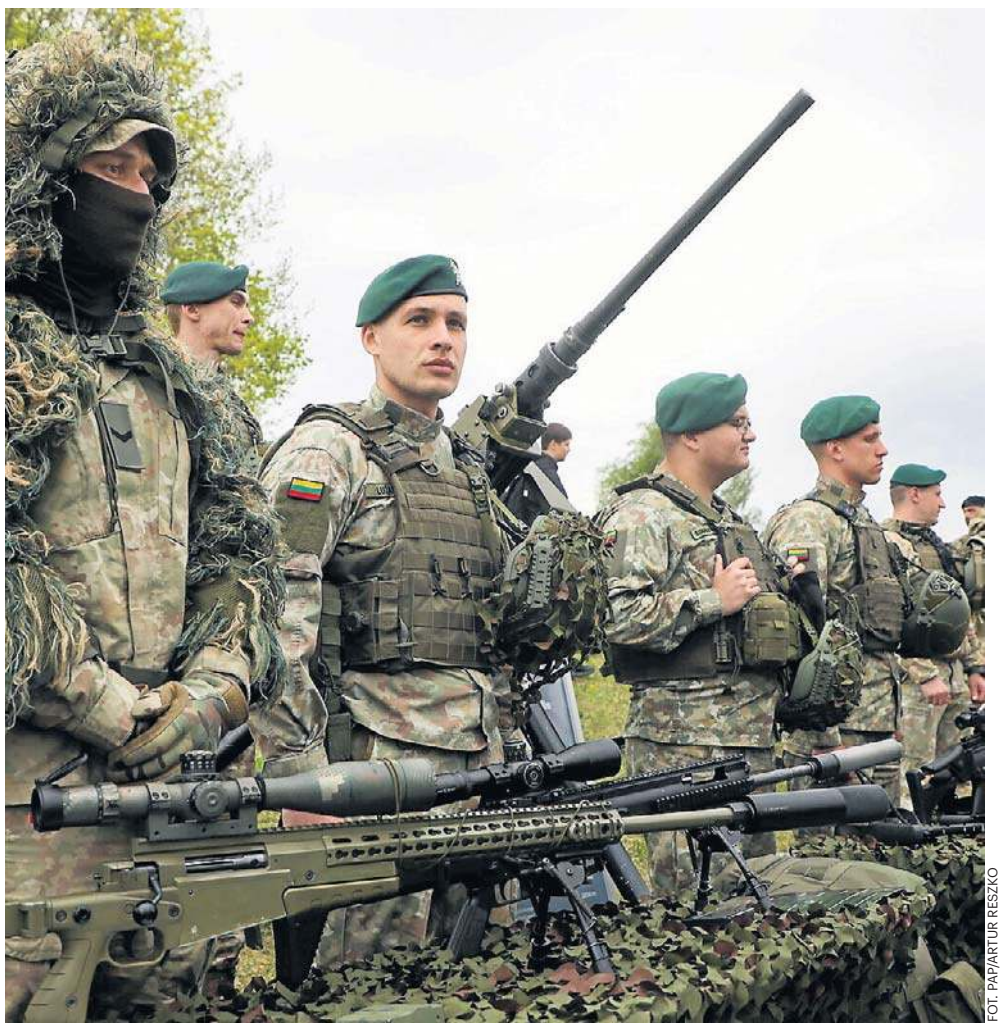

FOT. PAP/ARTUR RESZKO

Pokaz broni podczas polsko-litewskich manewrów. Oba kraje jako pierwsze podpiszą umowy na pożyczki w ramach unijnego programu SAFE

W projekcie budżetu przygotowanym przez Komisję Europejską (i w tym punkcie zaakceptowanym w ubiegłym tygodniu przez Parlament Europejski) przeznaczono na ten cel ok. 150 mld euro. 18 mld euro ma zostać przeznaczone na poprawę jakości europejskiej infrastruktury, na przykład na taką przebudowę połączeń drogowych i mostowych, która umożliwi po nich transport nie tylko pojazdów cywilnych, ale także ciężkich wozów wojskowych.

Natomiast 131 mld euro przewidziano na badania i rozwój przemysłu obronnego i kosmicznego. Choć też cała suma nie musi być tak wykorzystana. Jak przyznają nasi rozmówcy, traktują ją trochę jako rezerwę celową, która później może posłużyć jako wkład przy zaciąganiu kolejnych pożyczek na cele obronne. Siła całej UE na rynkach finansowych jest ogromna, może ona pożyczać sumy nawet 10-krotnie wyższe, niż wynosi pierwotny depozyt.

Dla przypomnienia, cały program SAFE ma wartość 150 mld euro.

Budżetowe dylematy

Uzgodnienia dotyczące wzmocnienia polityki obronnej w ramach nowego budżetu UE to ważna zmiana w kierunku rozwoju samej Unii. Ale też komplikacja. Konieczność znalezienia nowych pieniędzy na obronność i na pobudzenie konkurencyjności europejskiej gospodarki zagraża tradycyjnym politykom – przede wszystkim rolnej i spójności. Groźba ich obniżenia (w porównaniu z obecną perspektywą) już wywołuje wiele dyskusji.

Dlatego też trwają poszukiwania możliwości zwiększenia dochodów Unii. Wcześniej temat dochodów własnych UE powracał, ale nie było zgody politycznej na jego wprowadzenie w życie. Teraz Komisja i Parlament liczą, że to się zmieni.

Pojawiają się kolejne pomysły na to, w jaki sposób finansować wydatki. Najnowszy – podatek od „e-waste", elektronicznych śmieci. Według szacunków mógłby on przynieść nawet 10 mld euro rocznie wpływów do budżetu UE. Ale czy jest realne jego wprowadzenie? Tu nasi rozmówcy są sceptyczni, uważając, że kraje członkowskie mogą to zablokować, wychodząc z założenia, że ich obywatele nie zaakceptują dodatkowych podatków.

Faktem jest, że UE ma duże ambicje wydatkowe, natomiast kraje członkowskie małe możliwości zwiększenia składek wpłacanych do wspólnego budżetu. Rozwiązanie tego dylematu musi nastąpić najpóźniej pod koniec 2027 r., inaczej UE pogrąży się w głębokim kryzysie. Choć też słychać głosy optymistów. – Optymalnie byłoby zamknąć negocjacje do końca tego roku – mówi jeden z kluczowych graczy przy tych rozmowach.

eprasa.pl 1550608d64

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN
0011518759

ORLEN wzmacnia bezpieczeństwo Polaków. 20 mln zł dla strażaków w całym kraju

W ramach 25. jubileuszowej edycji programu „ORLEN na straży", Fundacja ORLEN przeznaczy 20 mln zł na wsparcie jednostek straży pożarnej w całej Polsce. To jeden z największych i najdłużej realizowanych programów wspierających strażaków, który realnie wzmacnia gotowość służb ratowniczych i system bezpieczeństwa kraju.

Gdy w środku nocy słychać syreny alarmowe, nikt nie pyta, czy to dobry moment. Strażacy po prostu ruszają do akcji. Gaszą pożary, wyjeżdżają do wypadków, śpieszą z pomocą w czasie podtopień, awarii linii energetycznych czy rozlanego paliwa. Tam, gdzie inni doświadczają nagłych i przykrych zdarzeń, oni natychmiast przystępują do działania, niosąc pomoc każdemu, kto jej potrzebuje. Aby jednak robić to skutecznie, strażacy również potrzebują wsparcia – zapewnia je program „ORLEN na straży".

To jedna z największych inicjatyw realizowanych w naszym kraju, która realnie wspiera jednostki straży pożarnej. W 2026 roku Fundacja ORLEN przeznaczy na ten cel 20 mln zł. Budżet pozwoli na lepsze przygotowanie jednostek, wyposażenie ich w nowocześniejszy sprzęt, zwiększenie bezpieczeństwa ratowników i sprawniejsze działania wszędzie tam, gdzie liczy się każda minuta. Jubileuszowa, 25. edycja programu potwierdza, że to inicjatywa realizowana w sposób przemyślany, konsekwentnie i odpowiedzialnie.

Program, który odpowiada na realne potrzeby

„ORLEN na straży" to wsparcie zarówno dla jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej, jak i Państwowej Straży Pożarnej. Dwa lata temu program przeszedł istotną przemianę, odpowiadając na zgłaszane przez strażaków potrzeby. Wsparcie zostało rozszerzone – obok finansowania sprzętu większy nacisk położono na rozwój kompetencji, szkolenia i przygotowanie do coraz bardziej wymagających zadań. Od tego czasu w ramach programów strażackich ORLEN przyznał granty o łącznej wartości ponad 36,8 mln zł, wspierając 756 jednostek w całej Polsce.

Korzyści płynące z tej inicjatywy najlepiej ilustruje wypowiedź Michała Treski, Prezesa Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo: – *Wsparcie z programu „ORLEN na straży" w przypadku naszej jednostki przełożyło się na bardzo konkretne i odczuwalne zwiększenie zdolności operacyjnych. Przede wszystkim znacząco poprawiły się bezpieczeństwo i gotowość bojowa strażaków dzięki doposażeniu w nowe ubrania specjalne. Pozwala to większej liczbie ratowników jednocześnie brać udział w działaniach w strefie zagrożenia. Ma to więc bezpośredni wpływ na szybkość reakcji oraz skalę interwencji. Ubranie specjalne to nasz najważniejszy środek ochrony, a jego sprawność i nowoczesność chronią nasze zdrowie i dają spokój działania.*

Projekt pozwolił nam także odpowiedzieć na nowe wyzwania wynikające z rozwoju technologii, takie jak pożary instalacji fotowoltaicznych czy pojazdów elektrycznych. Doposażenie jednostki w dedykowany sprzęt gaśniczy oraz narzędzia do działań technicznych, w tym do siłowego otwierania drzwi, zwiększyło skuteczność interwencji w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia życia. W efekcie nasza jednostka nie tylko działa szybciej, lecz też jest przygotowana na znacznie szerszy zakres zdarzeń.

W tegorocznej edycji zaprojektowano cztery ścieżki ubiegania się o granty. Każda z nich odpowiada na inny typ zagrożeń i inny profil działań ratowniczych.

Cztery ścieżki, jeden cel – skuteczniejsze działania

Pierwsza ścieżka grantowa dotyczy ratownictwa związanego z wypadkami drogowymi. Jednostki mogą ubiegać się tu o grant do 50 tysięcy złotych. Wypadki drogowe należą dziś do najbardziej wymagających interwencji. Tu liczy się nie tylko czas, ale też precyzja, odpowiedni sprzęt i właściwe przygotowanie zespołu.

Druga ścieżka to ratownictwo związane z przemysłem chemicznym oraz z instalacjami odnawialnych źródeł energii, obejmującymi infrastrukturę Grupy ORLEN. Tu niezbędne wyposażenie i przygotowanie strażaków jest jeszcze bardziej wymagające. Jednostki OSP i PSP mogą wnioskować nawet o 150 tysięcy złotych, co pozwala realnie zwiększyć gotowość do działania przy tego typu zagrożeniach.

Trzecia ścieżka to szeroko rozumiana walka ze skutkami zmian klimatycznych. Powodzie, pożary terenów otwartych, gwałtowne wichury są dziś coraz częstszymi zjawiskami i stanowią codzienność służb ratunkowych. Aplikując w tym obszarze, jednostki OSP mogą otrzymać do 40 tysięcy złotych.

I wreszcie czwarta ścieżka – wsparcie dla jednostek OSP spoza krajowego systemu ratowniczo-gaśniczego, które chcą osiągnąć wymagane przez system standardy i rozwijać swoją gotowość operacyjną. To bardzo ważny element programu, ponieważ wzmacnia także te jednostki, które chcą rozbudować swój potencjał.

„ORLEN na straży" to także edukacja i szkolenia

Program nie ogranicza się tylko do finansowania wyposażenia – bardzo mocno stawia na bezpośrednie wsparcie strażaków. Każda jednostka, która otrzyma grant, musi przeznaczyć minimum 20% środków na szkolenia, kursy, warsztaty lub wsparcie psychologiczne.
– *Środki z programu zostały w naszym przypadku wykorzystane nie tylko na zakup sprzętu, ale właśnie na rozwój kompetencji strażaków-ochotników, co było bardzo ważne dla pełnego wykorzystania potencjału projektu. Zorganizowaliśmy szkolenia specjalistyczne, obejmujące między innymi ratownictwo chemiczne, działania przy wyciekach gazu oraz reagowanie na zagrożenia związane z nowoczesnymi technologiami, takimi jak instalacje fotowoltaiczne czy pojazdy elektryczne. Udało nam się zrealizować te szkolenia na profesjonalnych poligonach, co bez finansowania z projektu nie byłoby możliwe* – mówi Michał Treska z OSP Gdańsk-Sobieszewo.
- *Duży nacisk położyliśmy również na praktyczne warsztaty, które pozwoliły przećwiczyć wykorzystanie nowo zakupionego sprzętu w realistycznych scenariuszach działań. Dzięki temu wiedza nie pozostała wyłącznie teoretyczna, a sprzęt nie trafia jedynie „na półkę". Istotne było dla nas także to, aby w szkoleniach uczestniczyło jak najwięcej strażaków, co przekłada się na większą elastyczność i gotowość zespołu w codziennej służbie. Udało nam się część szkoleń zrealizować również przy użyciu technologii VR, która choć nie zastępuje działań w terenie, to stanowi wartościowe uzupełnienie i daje możliwość utrwalania procedur „na sucho" poprzez ich wielokrotne powtarzanie w dowolnie wybranym momencie.*

W ramach projektu realizujemy również działania z zakresu wsparcia psychologicznego. To szczególnie istotne, ponieważ ten obszar ma ogromne znaczenie w naszej działalności, a dopiero od niedawna dostrzega się jego znaczenie. Należy pamiętać, że ochotnicy wykonują swoje działania dodatkowo, w ramach wolnego czasu, który mogliby spędzić na przykład z rodzinami. Zdarzenia, z którymi się mierzą, są często trudnym doświadczeniem. A przecież nasi członkowie, strażacy i strażaczki, to „twardzi ludzie" i często sami nie umieją poprosić o pomoc, by rozładować napięcie, które się w nich gromadzi. Warsztaty w obszarze wsparcia psychologicznego skupiały się więc na radzeniu sobie ze stresem oraz na funkcjonowaniu po trudnych akcjach ratowniczych – zaznacza Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

Nabór do 25. edycji programu „ORLEN na straży" trwa do 30 czerwca

Wnioski w ramach tegorocznego naboru do programu można składać do 30 czerwca 2026 roku za pośrednictwem specjalnego formularza na stronie internetowej **orlennastrazy.pl.** Wyniki zostaną ogłoszone najpóźniej 11 września. We wniosku należy szczegółowo opisać planowany projekt, uzasadnić jego znaczenie dla bezpieczeństwa lokalnej społeczności oraz przedstawić kosztorys. Pomocna jest tu platforma aplikacyjna, która przeprowadzi krok po kroku przez cały proces i nie pozwoli niczego pominąć. Cały proces naboru odbywa się drogą elektroniczną. Zachęcamy do wzięcia udziału w programie „ORLEN na straży".

Michał Treska, Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

eprasa.pl 1550608d64

SIEGFRIED MUREŞAN: W NOWYM BUDŻECIE UE MUSZĄ SIĘ ZNALEŹĆ PIENIĄDZE DLA REGIONÓW I ROLNIKÓW

– Musimy zastanowić się, jak stopniowo wprowadzać fundusze UE dla Ukrainy. Nie wszystko naraz. Na przykład rolnictwo ukraińskie jest obecnie bardzo konkurencyjne, mimo że nie korzysta ze wsparcia europejskiego. Mówiąc prościej, oni nie potrzebują naszych dotacji – mówi Siegfried Mureşan, europoseł rumuńskiej Partii Narodowo-Liberalnej, sprawozdawca europarlamentu ds. budżetu UE na lata 2028–2034

Agaton Koziński

Dlaczego negocjacje nowej perspektywy finansowej UE tak wolno posuwają się do przodu? Co blokuje ten proces?
Siedmioletni budżet Unii Europejskiej, którego wartość opiewa na kwotę około 2 bilionów euro, jest jednym z najbardziej złożonych aktów prawnych, jakie mają być uchwalone. Dlatego każdy polityk zaangażowany w jego tworzenie chce mieć pewność, że zanim wyrazi zgodę - jego interesy zostaną odpowiednio uwzględnione. Gdy Komisja Europejska przedstawiła w lipcu ubiegłego roku projekt nowego budżetu, jako Parlament Europejski poprosiliśmy o poprawę propozycji dotyczącej finansowania rolników i regionów.

W pierwszej propozycji Komisji przewidziano na dopłaty dla rolników mniej niż w obecnym - choć sam budżet będzie dużo większy.
To był pierwszy krok, jaki podjęliśmy. Później przez cztery miesiące pracowaliśmy nad stanowiskiem Parlamentu na zbliżające się negocjacje z Radą i Komisją. Cztery miesiące to długi okres, ale to zadanie okazało się bardzo skomplikowane. Dość powiedzieć, że do pierwszej propozycji naszego stanowiska wpłynęło ponad 1000 poprawek. Ale to nie były jedyne opinie, które miały na niego wpływ. Zależało nam również na tym, by poznać głosy ludzi z prawdziwego świata. W tym celu podróżowaliśmy po całej Europie - spotkaliśmy się z rolnikami, studentami, naukowcami itp. Ale proszę pamiętać, że wysłuchanie beneficjentów ze wszystkich państw członkowskich zajmuje sporo czasu.

Nowy budżet - według planów - będzie rekordowy. Od 2028 r. składka narodowa ma wynosić 1,27 proc. PNB. PE chce nawet, by sięgała ona wysokości 1,38 proc. PNB. Tymczasem w obecnej perspektywie to 1,07 proc. Jak przekonać państwa członkowskie do tego, żeby zgodziły się na tak duży wzrost?
Zanim przejdziemy do kwestii wielkości środków, omówmy cele, na które będziemy je wydawać - co chcemy z nich finansować i na jakich warunkach. Wszyscy - państwa członkowskie, Komisja Europejska i Parlament - zgadzamy się, że powinniśmy więcej inwestować w nasze bezpieczeństwo, w obronność, w ochronę naszych granic, w bezpieczeństwo żywnościowe, w bezpieczeństwo energetyczne, w cyberbezpieczeństwo, w walkę z nielegalną migracją oraz w działania na rzecz wspierania konkurencyjności naszej gospodarki. Oczywiście równolegle musimy nadal wspierać rolników i regiony za pomocą tradycyjnych polityk, które nadal pozostają istotne.

W pierwszym projekcie nowego budżetu UE te dwie tradycyjne polityki zostały wyraźnie okrojone.
Należy pamiętać, że polityka spójności i polityka regionalna również mogą przyczyniać się do bezpieczeństwa i konkurencyjności. Nie można o tym zapominać. Dlatego rozmawiając o nowej perspektywie finansowej, musimy w pierwszej kolejności uzgodnić, co chcemy osiągnąć za pomocą budżetu. Po drugie, jeśli uznajemy bezpieczeństwo, obronność i konkurencyjność za priorytety, nie możemy twierdzić, że są one ważne, a następnie ograniczać na nie przeznaczane środki.

Jeśli coś jest ważne, musimy dać Unii Europejskiej narzędzia do osiągnięcia tego celu, a budżet jest jednym z podstawowych narzędzi.
Zawsze był - ale nigdy nie dyskutowaliśmy o tak wysokich sumach.
Nie opowiadam się za nieodpowiedzialnym i nierealistycznym zwiększeniem budżetu. Ale jasne jest, że jeśli chcemy, aby Europa robiła więcej, nie może tego robić przy budżecie tej samej wielkości. To mit. Nie powiedzielibyśmy obywatelom prawdy, gdybyśmy zapewniali ich, UE Europa zrobi więcej, a jednocześnie nie zwiększylibyśmy budżetu. Dlatego Parlament Europejski opowiada się za umiarkowanym, 10-procentowym wzrostem budżetu, biorąc pod uwagę nowe obowiązki Unii oraz wszystko, czego od niej oczekujemy w zakresie konkurencyjności, bezpieczeństwa i obrony.

Przeciętne zadłużenie kraju Unii to ok. 81 proc. PKB. W strefie euro wskaźnik ten przekracza 90 proc. To mocno komplikuje zwiększanie wydatków.
Zdajemy sobie sprawę z tego, że sytuacja budżetowa wielu państw członkowskich jest napięta. Deficyty są wysokie, państwa członkowskie nie mogą wnieść znacznie większego wkładu do budżetu Unii Europejskiej, a także z politycznego punktu widzenia nie widzimy takiej gotowości. Dlatego uważamy, że aby zapewnić wystarczające finansowanie, niezbędne jest wprowadzenie zasobów własnych. To pozwoliłoby nam spłacić dług i odpowiednio sfinansować priorytety.

Co powinno tworzyć dochody własne UE?
Jako parlament proponujemy trzy własne źródła dochodów: opłatę cyfrową, źródło dochodów oparte na zyskach z kryptowalut oraz źródło dochodów oparte na grach i hazardzie online.

A opodatkowanie przesyłek z Chin?
To już jest w trakcie wchodzenia w życie - i to rozwiązanie też bardzo popieramy. Natomiast mamy ewidentny problem z korporacjami z branży cyfrowej. Najwięksi światowi giganci technologiczni mają swobodny dostęp do jednolitego rynku Unii Europejskiej, obejmującego 450 milionów konsumentów. Nie może być tak, że ograniczamy środki dla naszych naukowców, na program Erasmus, na rolników, a jednocześnie Elon Musk może prowadzić działalność w Europie bez żadnych zobowiązań. Tak nie może być.

Rozmawiamy o nowym budżecie UE jako o standardowych negocjacjach, tymczasem jego pierwsza propozycja to duża rewolucja. W dwóch obszarach. Po pierwsze, jest on o 40 proc. wyższy niż obecny. Po drugie, przewidziano wysokie dochody własne Unii. Czy kraje UE są na to gotowe?
W wartościach bezwzględnych różnice między obecnym i przyszłym budżetem wydają się bardzo duże, ale trzeba wziąć pod uwagę, skąd się to wzięło. Po pierwsze, ponieważ nasze gospodarki się rozwinęły. Po drugie, mieliśmy inflację. Jeśli w 2034 r. wpłacimy do budżetu 1,2 lub 1,3 euro, to - w porównaniu z 1 euro w 2018 r. - brzmi to jak wzrost o 20 lub 30 proc. Tymczasem siła nabywcza tych dwóch sum jest taka sama - właśnie z powodu inflacji przez te lata. Propozycja nowego budżetu przedstawiona przez Komisję Europejską zakłada przeznaczenie 1,15 proc. DNB państw członkowskich na programy oraz 0,12 proc. na spłatę zadłużenia. Łącznie mamy składkę w wysokości 1,27 proc. DNB. My, jako Parlament Europejski, twierdzimy, że aby móc odpowiednio sfinansować wszystkie wpisanego do nowego budżetu cele, musimy przeznaczyć całe 1,27 proc. PNB na europejskie programy, a dług powinniśmy spłacać poprzez wprowadzenie nowych zasobów własnych. Bo nie da się zrobić więcej przy tym samym budżecie.

Co się stanie z najstarszymi politykami europejskimi: wspólną polityką rolną i polityką spójności?
Komisja Europejska zaproponowała nową strukturę budżetu, która przewiduje przeznaczenie większych środków na nowe priorytety, takie jak konkurencyjność, bezpieczeństwo i obrona, a mniej środków w stosunku do całości budżetu na spójność i rolnictwo. Jako Parlament jesteśmy gotowi zaakceptować tę strukturę i nie kwestionować tego nowego podziału środków. Rozumiemy, że bezpieczeństwo i konkurencyjność są ważne.

Europejscy rolnicy zdają się patrzeć inaczej.
Rzeczywiście, gdybyśmy zgodzili się po prostu na propozycję Komisji, byłoby to niewystarczające dla rolnictwa i spójności. Dlatego jesteśmy gotowi zaakceptować ten nowy stosunek tylko wtedy, gdy finansowanie na rolnictwo i spójność będzie również wystarczające. Na razie tak nie jest. Dzięki proponowanemu przez parlament wzrostowi o 10 proc. całego budżetu osiągamy w rolnictwie i spójności poziom, który również jest wystarczający. W ten sposób możemy zrealizować wszystkie nasze zadania w zakresie bezpieczeństwa, konkurencyjności, a także rolnictwa i spójności. Nie zmieniamy proporcji. To wystarczy zarówno dla konkurencyjności, jak i dla rolnictwa oraz spójności. To chcę mocno podkreślić: parlament jest gotowy zaakceptować nową strukturę budżetu, ale musi ona zachowywać proporcje między rolnictwem i spójnością z jednej strony a konkurencyjnością i bezpieczeństwem z drugiej. Jeśli kwoty na spójność i rolnictwo okażą się niewystarczające, to spodziewam się, że niektórzy koledzy w parlamencie zakwestionują proporcje między nowymi a starymi priorytetami budżetowymi. Jeśli budżet okaże się zbyt mały, pojawią się problemy, zaczną się konflikty. Lepiej tego uniknąć.

Wspomniał pan o zasobach własnych. Postrzega się je obecnie jako miecz, który pozwoli przeciąć węzeł gordyjski, w który zamienia się nowy budżet. Jednym z proponowanych rozwiązań jest opodatkowanie koncernów technologicznych - choć to pewnie spotka się z bardzo ostrą reakcją Amerykanów. Czy Europa może sobie na to pozwolić?
Administracja Trumpa chce, abyśmy przeznaczali więcej środków na bezpieczeństwo i obronność. Jesteśmy na to gotowi, ale musimy jakoś te środki pozyskać. Jeśli wprowadzimy zasoby własne Unii, aby przeznaczyć więcej środków na bezpieczeństwo i obronność, to w rzeczywistości - jak wiadomo - zwiększe-

eprasa.pl 1550608d64

FOT. AGATON KOZIŃSKI

Siegfried Mureșan: Ukraina nie potrzebuje wsparcia europejskiego dla swojego rolnictwa

nie wydatków na bezpieczeństwo i obronność jest dokładnie tym, co uzgodniliśmy ze Stanami Zjednoczonymi i z NATO. Nie widzę więc powodu, dla którego administracja amerykańska miałaby być na nas zła, jeśli wydamy więcej na bezpieczeństwo i obronę.

Jak pan wspomniał, parlament jest zasadniczo gotowy zaakceptować nową strukturę budżetu. Oddzielna sprawa, że teraz to państwa członkowskie będą decydować o jego ostatecznym kształcie. W jaki sposób parlament zamierza zapewnić utrzymanie określonego poziomu programów?
Komisja Europejska zaproponowała, aby środki przeznaczone na politykę spójności i rolnictwo były scentralizowane i zarządzane wspólnie przez Komisję oraz państwa członkowskie. My, jako Parlament Europejski, zdecydowanie się z tym nie zgadzamy. Uważamy, że decyzje muszą być podejmowane jak najbliżej obywateli. Przecież lokalne i regionalne władze, burmistrzowie czy przewodniczący europejskich regionów znacznie lepiej znają potrzeby swoich mieszkańców. Gdy zaangażowany jest szczebel lokalny, absorpcja środków przebiega znacznie szybciej, a ponadto finansowane przez nas projekty lepiej odpowiadają potrzebom ludzi. Dlatego parlament walczy o nadanie regionom wiążącej roli przy wykorzystywaniu środków z nowej perspektywy finansowej. Udało nam się już uzyskać od Komisji Europejskiej zobowiązanie, że państwa członkowskie będą angażować regiony w opracowywanie tych planów. To dobry pierwszy krok – ale dla nas to za mało. Ważne jest, aby regiony również wywierały presję na swoje rządy krajowe. Jeśli chodzi o parlament, mogę powiedzieć bardzo wyraźnie: chcemy, aby odgrywały one wiążącą rolę i aby miały kompetencje do bezpośredniego negocjowania swoich programów z Komisją Europejską.

Komitet Regionów zdecydowanie sprzeciwia się pomysłowi, by środki z nowego budżetu były rozdysponowywane przez rządy krajowe, a nie przez samorządy lokalne. Jaka ostatecznie będzie rola samorządów lokalnych w tym procesie?
Myślę, że uda nam się zapewnić regionom uprawnienia do bezpośredniego negocjowania własnych programów z Komisją Europejską. Jako Parlament będziemy o to zabiegać. Nie uważamy, by rząd i Bruksela powinny samodzielnie decydować o tym, jak wydawane są środki. Różne regiony mają różne potrzeby i można je właściwie uwzględnić tylko wtedy, gdy one zasiadają przy stole negocjacyjnym. Zresztą Komisja Europejska już w listopadzie ubiegłego roku zaproponowała regionalny mechanizm kontrolny, czyli obowiązek angażowania regionów w ten proces przez rządy. Był to dobry krok, choć – jak już wspomniałem – oczekujemy więcej. Chcemy, aby rządy miały prawo do bezpośredniego negocjowania programów z Komisją Europejską. Obecnie toczą się techniczne, ale konstruktywne rozmowy między Parlamentem, Komisją i państwami członkowskimi. Obserwujemy, że w kilku państwach członkowskich stanowiska rządów stają się bardziej elastyczne, ponieważ regiony zabierają głos wobec rządów i wpływają na ich stanowisko.

Czy budżet zaproponowany przez parlament jest obecnie gotowy na rozszerzenie UE? Czy nowa perspektywa finansowa przewiduje dołączenie do Unii Ukrainy?
Nie wiemy, czy w ciągu najbliższych siedmiu lat dojdzie do rozszerzenia. Nie wiemy też, jaki poziom rozwoju gospodarczego osiągną przyszłe państwa członkowskie, a co za tym idzie – jakie kwoty będą wpłacać do budżetu. Krótko mówiąc, nie jesteśmy w stanie oszacować obecnie, ile środków należy przeznaczyć dla przyszłych państw członkowskich UE. Dlatego w zeszłym roku, jako Parlament Europejski, wspólnie z Komisją wprowadziliśmy do budżetu obowiązkową klauzulę rewizyjną, zgodnie z którą udostępniamy środki dla krajów kandydujących w formie funduszy przedakcesyjnych. Jednocześnie budżet będzie zawierał wiążącą i obowiązkową klauzulę rewizyjną. Przeprowadzimy rewizję budżetu – jeśli dojdzie do rozszerzenia, to wtedy w drodze rewizji budżetu przydzielimy środki nowym państwom członkowskim. Jestem absolutnie pewien, że jeśli dojdzie do rozszerzenia o kilka mniejszych krajów kandydujących – być może o Mołdawię, albo Czarnogórę, to fundusze na to się znajdą.

Grecki minister spraw zagranicznych zapowiedział, że rozszerzenie będzie realne nawet w przyszłym roku. Choć nie wymienił nazwy kraju, który mogłoby objąć.
Nie sądzę, by taki scenariusz był realny. Jestem pewien, że jeśli rozszerzenie obejmie kilka małych państw członkowskich, będzie to niewielka korekta, a my będziemy w stanie pokryć potrzeby krajów liczących 2–3 miliony mieszkańców w ramach budżetu wynoszącego 450 milionów euro, korzystając z rezerw, marginesów i niewykorzystanych środków. Nie odczujemy tego. Jeśli chodzi o Ukrainę, to skala wyzwania jest inna, także pod względem finansowym.

To kraj dużo większy niż Mołdawia, Czarnogóra czy Islandia.
W tym przypadku musimy zastanowić się, jak stopniowo wprowadzać fundusze UE dla Ukrainy. Nie wszystko naraz. Na przykład w przypadku rolnictwa. Rolnictwo ukraińskie jest obecnie bardzo konkurencyjne, mimo że nie korzysta ze wsparcia europejskiego. Mówiąc prościej, nie potrzebują oni naszych dotacji. Nie widzę powodu, dla którego obecny model biznesowy ukraińskiego rolnictwa nie mógłby funkcjonować przynajmniej przez jakiś czas. Oznacza to, że ukraińskie rolnictwo nie miałoby prawa do eksportu na jednolity rynek UE, nie miałoby obowiązku przestrzegania unijnych przepisów i nie otrzymywałoby funduszy unijnych. Ukraińcy nie mają żadnych obowiązków ani praw i mogą nadal produkować tak, jak robią to obecnie z powodzeniem – bez dotacji i bez eksportu na rynek UE, ale eksportując na inne rynki światowe, gdzie istnieje popyt na ich produkty. Powinniśmy więc przynajmniej przez jakiś czas kontynuować obecny model biznesowy ukraińskiego rolnictwa, nie obciążając nim dodatkowo budżetu UE.

REKLAMA 0111461412

eprasa.pl 1550608d64

PIS WCIĄŻ W DEFENSYWIE. POSŁOWIE ODCHODZĄ, PYTANIA ZOSTAJĄ

Dzieje się. Dwaj posłowie Prawa i Sprawiedliwości odchodzą z klubu tej partii, i żeby było jasne, nie w glorii chwały. Radykalnie politycy PiS-u tworzą stowarzyszenie, które pewnie będzie w kontrze do stowarzyszenie Mateusza Morawieckiego. Jarosław Kaczyński zamiast więc skupić się na walce o wyborców, wciąż gasi wewnętrzne pożary.

Dorota Kowalska

Wydawało się, że zgoda prezesa Kaczyńskiego na powstanie Stowarzyszenia Rozwój Polska Mateusza Morawieckiego wyhamuje trochę walkę frakcji w Prawie i Sprawiedliwości i partia skupi się wreszcie na walce o wyborców, a nie na wewnętrznych kłopotach. Nic bardziej mylnego.

W ubiegłym tygodniu rzecznik PiS Rafał Bochenek poinformował, że poseł Łukasz Mejza przestał być członkiem klubu parlamentarnego PiS. Kolejnego dnia o rezygnacji z członkostwa w klubie poinformował Janusz Kowalski.

Europoseł PiS Adam Bielan w TVN24 stwierdził, że „odejście dwóch posłów było dyskutowane od wielu tygodni" i podkreślił, że stanowili „jeden procent składu parlamentarnego".

W piątek sam zainteresowany, czyli Janusz Kowalski opublikował na platformie X nagranie, w którym tłumaczył swoją decyzję. – Jestem w polityce dlatego, że traktuję zasady na serio, od 2,5 roku walczę o to, żeby obalić Koalicję 13 grudnia i żeby Zjednoczona Prawica wygrała wybory. Jestem zwolennikiem modelu kampanii wyborczej Karola Nawrockiego, pełnej jedności prawicy, dlatego m.in. proponowałem pakt senacki. Ale wszystko ma swoje granice – rozpoczął swoją wypowiedź Janusz Kowalski.

Dalej jest o tym, że wiele miesięcy temu informował władze partii, iż jeżeli ma budować na Lubelszczyźnie silne PiS, to nie można tolerować tego, co doprowadziło do klęski wyborczej w tym regionie w 2023 roku, czyli układów lokalnych.

– Jeżeli w Biłgoraju mieszkańcy widzą, że politycy PiS zapisują do partii ludzi Palikota, współpracują z byłymi komunistami, kolekcjonują sobie rady nadzorcze i spółki, zamiast zajmować się szpitalem, zajmują się sprawami jakiegoś autodromu, który jest wielkim znakiem zapytania w kontekście aferalnym, to ja wysiadam. Nie ma mojej zgody na to, żebym na poziomie centralnym walczył o silną prawicę, która będzie naprawiała Polskę, a z drugiej strony jest tolerowanie układów lokalnych – stwierdził poseł. I to jest główny powód, dla którego odszedł z PiS.

FOT. ADM. JANKOWSKI

Kłopotliwe powiązania

Tyle wersja oficjalna czy raczej wersja Kowalskiego, jest też na nieoficjalna, bardziej wiarygodna zwłaszcza biorąc pod uwagę wypowiedź Adama Bielana, z której wynika – powtórzmy – że „odejście dwóch polityków PiS-u było dyskutowane od wielu tygodni".

Jak bowiem ustaliła Wirtualna Polska, rezygnacja Kowalskiego ma bezpośredni związek z aferą wokół Zondacrypto, a polityk i tak by z PiS-u wyleciał, mówiąc kolokwialnie. Uprzedził więc nieuniknione.

Kowalski od jakiegoś czasu wykazywał wyjątkowe zainteresowanie rynkiem kryptowalut. Równolegle pracownicy Zondacrypto opowiadali dziennikarzom WP o co najmniej czterech wizytach polityka PiS w katowickich siedzibach firmy oraz innych lokalach powiązanych z jej szefem Przemysławem Kralem. Informatorzy WP twierdzili, że „w czasie jego wizyt włączano w firmie zagłuszarki".

Informacje dotarły do kierownictwa PiS. Wiadomo było, co się stanie. Kowalskiego ponoć nikt go nie zatrzymywał.

„Ostatecznie Kowalskiego pogrążył anonim, który przyszedł na Nowogrodzką, opisujący powiązania posła z giełdą. Materiał był szczegółowy, zawierał wiele informacji, które obciążały Kowalskiego" – usłyszeli dziennikarze WP od jednej z osób znających kulisy odejścia posła.

Pierwsza wizyta miała mieć miejsce latem 2023 roku, tuż przed kampanią parlamentarną. Druga – na początku grudnia 2023 roku, już w nowym Sejmie. Trzecia – w maju 2024 roku. Ostatnia w maju lub czerwcu 2025 roku. Kowalski pomógł nawiązać relacje między Kralem a kierownictwem Telewizji Republika, którą Zondacrypto hojnie wspierała.

Co ciekawe, 22 lipca 2025 roku odbyło się pierwsze czytanie rządowego projektu ustawy o rynku krypto aktywów i Kowalski stał się jednym z najgłośniejszych krytyków regulacji.

Złożył 11 poprawek do projektu. Mówił o „nadregulacji" i „118 stronach ponad unijne minimum". Oskarżał rząd o działanie „w interesie lobby bankowego" i Commerzbanku. Wystąpił na konferencji Next Block Expo, udzielił obszernego wywiadu portalowi bitcoin.pl, apelował do prezydenta Karola Nawrockiego o weto.

Jak wiemy, prezydent zawetował ustawę dwukrotnie. Swoją decyzję uzasadniał argumentami podobnymi do tych, które od miesięcy powtarzał Kowalski.

Związek Kowalskiego z aferą Zondacrypto na pewno nie działa na korzyść PiS, które głosowało przeciw odrzuceniu weta prezydenta, wiedząc to, o czym premier zdecydował się poinformować opinię publiczną.

I tak Donald Tusk mówił o tym, że na przełomie października i listopada 2025 roku, niedługo przed głosowaniem nad ustawą regulującą rynek kryptowalut, prezes Zondacrypto, Przemysław Kral, miał przekazać 450 tys. zł na rzecz fundacji Instytut Polski Suwerennej związanej ze Zbigniewem Ziobrą. Część tych środków miała zostać przeznaczona na pomoc prawną dla Dariusza Mateckiego oraz księdza Michała Olszewskiego. Spółka powiązana z tym środowiskiem miała przekazać również 70 tys. euro fundacji „Dobry Rząd", związanej z Przemysławem Wiplerem. Co więcej, Zondacrypto miała być też głównym sponsorem wydarzenia CPAC o charakterze prawicowym, w którym uczestniczyli istotni przedstawiciele sceny politycznej, w tym między innymi osoby zaangażowane w kampanię prezydencką Karola Nawrockiego. Sejm weta prezydenta nie odrzucił, przeciw głosowali politycy PiS i Konfederacji. – Z jakiegoś powodu zawzięcie blokowali możliwość uregulowania tego rynku i narazili na szwank bezpieczeństwo państwa oraz na straty tysiące ludzi – stwierdził ostatnio premier Donald Tusk.

Politycy prawicy zachowali się w tej sprawie jak lobbyści? – dopytali dziennikarze. – Dla mnie od początku było jasne, że ta polityczna więź, obecność polityków PiS-u, prezydenta i kandydata na prezydenta na imprezach finansowanych przez Zondacrypto, ten typ reklamy, to wszystko pokazywało, że coś może za chwilę się z tym zdarzyć. Uprzedzałem o tym także prezydenta – odpowiedział.

I zdarzyło się, ludzie na giełdzie kryptowalut stracili pieniądze, ale, jak dodał premier, nie mamy przepisów, które pozwalają na „skuteczne działania kontrolne ze strony państwa z winy Nawrockiego, PiS i Konfederacji".

– Na ile oni robili to na zamówienie Zondacrypto czy innych aktorów obecnych na rynku kryptowalut, nie jestem od tego, żeby zastąpić prokuraturę czy sąd, ale sprawa śmierdziała od samego początku – mówił Donald Tusk.

Przypomniał, że już wcześniej ostrzegał przed powiązaniami giełdy z rosyjską mafią. – Ewidentne to, że prezydent Duda, prezydent Nawrocki dawali twarz imprezom przez nich (Zondacrypto) finansowanym, to samo w sobie było bardzo, bardzo niepokojące – ocenił szef rządu. – Zawsze się wtedy pojawia pytanie: głupota, pieniądze, jakieś wpływy polityczne, szantaż? Tej zagadki sam nie rozwikłałem, ale na pewno mają się z czego tłumaczyć – przekonywał Tusk.

We wtorek, na posiedzeniu rządu premier zapowiedział, że jeszcze w tym tygodniu w trybie natychmiastowym wróci do Sejmu projekt w sprawie kryptowalut. Jedyną w nim zmianą będzie zaostrzenie kar dla tych, którzy oszukują ludzi i narażają bezpieczeństwo państwa na szwank.

Obecnie giełdą Zondacrypto zajmują się śledczy. Powód? Potencjalne straty wynoszące co najmniej 350 mln zł. Poszkodowanych, póki co, są tysiące, w tym polscy sportowcy. Zdaniem prokuratorów giełda miała wprowadzać klientów w błąd. Tymczasem jej szef, Przemysław Kral, przebywa obecnie w Izraelu. Twierdzi, że jest niewinny, firma Zondacrypto nadal jest wypłacalna.

Tak jasne powiązania jednego z polityków PiS, obecnie już byłego, z giełdą kryptowalut na pewno wizerunkowo szkodzą PiS-owi, stąd „dobrowolne" odejście Kowalskiego. Choć sam zainteresowany poinformował, że złoży pozew przeciwko Wirtualnej Polsce. – Takich bredni nigdy jeszcze w życiu nie przeczytałem. Od razu po majówce skieruję sprawę do sądów w trybie cywilnym i karnym – zapowiedział.

I dodał, że będzie teraz posłem niezrzeszonym.

Obciach PiS-u

Poseł Łukasz Mejza też od dawna chwały Prawu i Sprawiedliwości nie przynosił, ale najwidoczniej miarka się przebrała.

„Od dzisiaj, po rozmowie z kierownictwem partii i klubu parlamentarnego Prawa i Sprawiedliwości poseł Łukasz Mejza przestaje być członkiem klubu PiS. Jednocześnie informujemy, iż członkiem partii nigdy nie był" – napisał w zeszłym tygodniu w mediach społecznościowych rzecznik PiS Rafał Bochenek.

Podobny komunikat zamieścił sam Łukasz Mejza, ale on sugeruje, że osobiście podjął decyzję o opuszczeniu klubu parlamentarnego PiS.

„Nie pozwolę na to, aby przez moje obecne i przyszłe decyzje polityczne oraz te dotyczące działalności charytatywnej (które mogą być kontrowersyjne, ale służą wyższym celom) klub był obiektem ataku ze strony prorządowych mediów" – czytamy.

Wcześniej, „Rzeczpospolita" pisała, że Łukasz Mejza rozważa wystartowanie w gali freak fight.

„Szczerze? Rozważam. Dopuszczam taką możliwość. Byłbym pierwszym czynnym posłem w Europie, który wziąłby udział w takim wydarzeniu, więc stawka za walkę musiałaby być adekwatna. Oczywiście całe wydarzenie potraktowałbym charytatywnie. Jeśli mógłbym pomóc ludziom lub schronisku dla zwierząt, wchodząc do oktagonu, to warto to rozważyć" – przekazał poseł w oświadczeniu dla gazety.

Kilka dni wcześniej media informowały, że Mejza kolejny już raz dostał mandat za przekroczenie prędkości. Tym razem policja złapała polityka w okolicach Zielonej Góry, gdy jechał 151 km na godz. na drodze ekspresowej, dozwoloną prędkość przekroczył o 31 km na godz.

Nie tak dawno Mejza zrzekł się immunitetu, toczy się wobec niego postępowanie dotyczące 16 innych mandatów za przekroczenia prędkości. Poseł zgromadził już w sumie 168 punktów karnych.

Tyle tylko, że poseł Mejza ma dużo więcej za uszami. W 2020 roku razem z Tomaszem Guzowskim założył spółkę Vinci NeoClinic z siedzibą w Zielonej Górze, która miała prowadzić działalność gospodarczą w zakresie organizacji turystyki i opieki zdrowotnej. 24 listopada 2021 roku dziennikarze Wirtualnej Polski opublikowali szokujący artykuł. Przytaczali relacje rodziców nieuleczalnie chorych dzieci, którym firma Łukasza Mejzy proponowała cudowną terapię za 80 tys. dolarów. – Ja bym temu ch… dupę skopała. Jak można tak lu-

eprasa.pl 1550608d64

dzi oszukiwać? – mówiła jedna z matek.

Jak ujawnił portal, założona przez Mejzę spółka oferowała leczenie nieuleczalnych przez współczesną medycynę nowotworów i chorób neurologicznych. Terapia „pluripotencjalnymi komórkami macierzystymi" miała też pomagać przy autyzmie, udarach mózgu, chorobie Alzheimera i Parkinsona, stwardnieniu rozsianym czy zaniku mięśni. Dla seniorów była oferta regeneracji mózgu, poprawy sprawności seksualnej, redukcji blizn czy wydłużenie długości i jakości życia „nawet o 14 proc.". Wszystko to za jedyne 80 tys. dolarów. Jako telefon kontaktowy w folderach wpisywano numer Łukasza Mejzy. WP przytacza relacje rodziców, z którymi kontaktował się asystent Mejzy, Franciszek Przybyła. Wszyscy dysponowali mailami, zapisami rozmów lub telefonów od ludzi z firmy Vinci NeoClinic.

Posłowie Lewicy, Anita Kucharska-Dziedzic i Maciej Kopiec, natychmiast złożyli zawiadomienie do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa. Sam Łukasz Mejza w oświadczeniu opublikowanym w mediach społecznościowych napisał, że spółka Vinci NeoClinic „nigdy nie zamierzała prowadzić i nie prowadziła działalności medycznej. Przedmiotem jej działalności miało być prowadzenie biura turystyki medycznej" oraz że podjął kroki prawne, by chronić swoje dobre imię i reputację. Potem, na konferencji prasowej oświadczył, że jest ofiarą pomówień i „największego ataku politycznego po 1989 roku". Nie odpowiadał jednak na pytania dziennikarzy.

Ale to nie wszystkie interesy posła Mejzy. W czerwcu 2019 Łukasz Mejza założył firmę Future Wolves, która miała zajmować się przeprowadzaniem szkoleń z zakresu kompetencji miękkich, relacji w zespole, szeroko rozwiniętej obsługi klienta. Firma otrzymała dofinansowanie z Europejskiego Funduszu Społecznego. Lubuska Agencja Rozwoju Regionalnego przekazała na ten cel niemal milion złotych, a część współfinansowała Unia Europejska. Kontrola zlecona przez zarząd województwa lubuskiego wykazała, że firma Łukasza Mejzy przeszkoliła 76 pracowników z 37 firm za kwotę ponad 883 tys. złotych brutto. Agencja Rozwoju Regionalnego, która jest wyłonionym w konkursie beneficjentem projektu, nie mogła zweryfikować, czy usługi szkoleniowe świadczone przez firmę Łukasza Mejzy były adekwatne do wykazanych kosztów. Zarząd województwa lubuskiego podjął decyzję o skierowaniu zawiadomienia do prokuratury.

Z kolei w marcu ubiegłego roku media obiegła informacja, że do domu Mejzy wezwano policję. Poseł Prawa i Sprawiedliwości „miał awanturować się z partnerką". Kobieta zadzwoniła na policję, podobnie polityk.

– To jakiś kolejny polityczny bullshit. Absolutnie nic takiego nie miało miejsca. Fantazja dziennikarska mnie poraża… Co jeszcze wymyślicie na potrzeby politycznej nagonki? Jakiś atak terrorystyczny też planowałem przeprowadzić? A może przemyt prostytutek przez granicę? Owszem, doszło do małej różnicy zdań między mną a moją partnerką, ale wszystko w granicach zdrowego ogniska domowego – skomentował w rozmowie z portalem poscigi.pl, który opisał tę historię, oburzony poseł.

Sprawą jednak zajęła się Prokuratura Rejonowa w Międzyrzeczu.

Jest też kwestia oświadczeń majątkowych posła Mejzy. Prokuratura przedstawiła mu jedenaście zarzutów: siedem dotyczy podania nieprawdy lub zatajenia prawdy w oświadczeniach majątkowych złożonych przez posła. W trzech sprawach chodzi o podejrzenie podania nieprawdy w oświadczeniach majątkowych złożonych przez Łukasza Mejzę jako sekretarza stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego i potem, wiceministra sportu. W jednej – niedopełnienia obowiązku zgłoszenia przez polityka jako funkcjonariusza publicznego wymaganych informacji nie później niż w ciągu 30 dni do rejestru prowadzonego przez marszałka Sejmu. W związku z tymi zarzutami Mejza wyraził zgodę na pociągnięcie do odpowiedzialności.

Politycy Prawa i Sprawiedliwości od dawna mówili, że Łukasz Mejza to problemy. W każdym razie jako polityk budzi więcej niesmaku i zażenowania niż szacunku.

Walka frakcji trwa

Na domiar złego, oprócz pojedynczych polityków, za których trzeba się tłumaczyć, prezes ma na głowie frakcyjne starcia w partii. Od miesięcy mówiło się o bratobójczej wojnie między harcerzami i maślarzami. Ci pierwsi to ludzie skupieni wokół Morawieckiego, drugim, bardziej radykalnym, dowodzi Jacek Sasin, Tobiasz Bocheński, Przemysław Czarnek, Patryk Jaki.

Maślarze w pewnym momencie poczuli się pewnie. Prezes Kaczyński wskazał na Czarnka jako kandydata na przyszłego premiera, swoją decyzją pokazał więc wyraźnie, na kogo stawia i nie był to ani Morawiecki ani jego ludzie. Były premier powiedział więc prezesowi: „sprawdzam". I obwieścił światu, że założył Stowarzyszenie Rozwój Plus. Kaczyński choć na początku pogroził mu palcem, poszedł na kompromis, bo wyrzucenie Morawieckiego z PiS-u było ryzykowne. W partii zostaliby wyłącznie radykałowie z ziobrystami na czele, którzy w Prawie i Sprawiedliwości są od zaledwie dwóch lat, a wcześniej jako Solidarna Polska nie przekraczali w sondażach progu wyborczego. Morawiecki ma jednak swoich zwolenników i pozbywanie się go z szeregów Prawa i Sprawiedliwości na półtora roku przed wyborami pewnie odbyłoby się na notowaniach PiS-u i tak już najsłabszych od lat

Więc koniec końców Jarosław Kaczyński pozwolił na działanie stowarzyszenia Morawickiego w ramach PiS i Rady Eksperckiej, która zostanie stworzona wkrótce. Były premier zobowiązał się jednak, że nie będzie budować lokalnych struktur. Do stowarzyszenia nie mogą się też przyłączać kolejni parlamentarzyści PiS, a ci, którzy będą w nim działać, mają występować wyłącznie pod szyldem Prawa i Sprawiedliwości. Komentatorzy sceny politycznej nie mieli jednak wątpliwości: o żadnym pokoju nie może być mowy, to zawieszenie broni. Ludzie Morawieckiego cały czas boją się, że koniec końców nie znajdą się na listach wyborczych, bo Jarosław Kaczyński szybko upokorzenia nie wybacza, a ogłoszenie przez Morawieckiego powstania Stowarzyszenie Rozwój Plus było wyraźnym postawieniem się prezesowi. Morawiecki jednak nie zrobi kroku w tył: walczy o schedę po Kaczyńskim, otwarcie mówi, że chętnie pokierowałby PiS-em, jest zbyt ambitny, by pozostawiać w cieniu. Tyle tylko, że jego osoba jest nie do zaakceptowania dla większości członków Prawa i Sprawiedliwości, zwłaszcza przez maślarzy. Zresztą, wśród nich też znalazłoby się przynajmniej kilku, którzy w przyszłości chętnie przewodziłoby Prawu i Sprawiedliwości.

I wygląda na to, że maślarze postawili kontratakować. Jak pisze „Newsweek" w kontrze do Stowarzyszenia Rozwój Plus Morawieckiego powstanie Stowarzyszenie Po pierwsze Polska. Na jego czele ma stanąć Jacek Sasin lub Tomasz Bocheński, wejdzie do niego Przemysław Czarnek i inni, bardziej konserwatywni członkowie PiS.

Stowarzyszenie Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego skupia około 40 parlamentarzystów z obu izb oraz Parlamentu Europejskiego. Według nieoficjalnych informacji do inicjatywy maślarzy miało przystąpić ponad 60 posłów. Trwa więc swoiste liczenie szabel i pokazanie przeciwnikowi, kto jest silniejszy, czy też liczniejszy. Jak widać, nic nie wskazuje na to, żeby w Prawie i Sprawiedliwości miało być spokojniej. Walka frakcji trwa w najlepsze i nikt nie złoży w niej broni, bo to także bój o przyszłe przywództwo w tym ugrupowaniu. A skoro jesteśmy przy stowarzyszeniach, to posłowie Kowalski i Mejza, choć już poza klubem, są dla PiS takim Kłopotem Plus.

MATERIAŁ INFORMACYJNY T-MOBILE 0011518049

T-Mobile odświeża ofertę na kartę. Atrakcyjne pakiety i niespodzianki w Magenta Moments – „Wszystko blisko"

Można być całuśnoblisko**, daleko**blisko**, momento**blisko **i pyszno**blisko**, bo każde blisko jest fajne! Od 6 maja, wraz ze startem nowej oferty T-Mobile na kartę, rusza nowa kampania reklamowa pod hasłem „Wszystko blisko", promująca ofertę T-Mobile na kartę oraz bonusy w Magenta Moments.**

Nieważne, czy jesteś online, czy offline, zawsze możesz być blisko drugiej osoby. To wszystko możesz mieć w T-Mobile na kartę dzięki dużej paczce Internetu 9999 GB przez rok (12 x 833,25 GB) z ofertą cykliczną od 35 zł, która zapewnia Ci swobodę korzystania ze smartfona oraz niespodziankom w Magenta Moments, które pozwalają na miłe spędzanie czasu razem.

Swoboda na start

Jedną z najważniejszych zmian jest podejście do samego początku korzystania z oferty. Pierwszy miesiąc za 0 zł to rozwiązanie, które niewątpliwie zachęca do spróbowania. Użytkownik nie musi już podejmować decyzji „w ciemno", ani zastanawiać się, czy oferta będzie dla niego odpowiednia – może ją po prostu sprawdzić w praktyce.

Co ważne, nie jest to wersja testowa czy ograniczona. W ramach pierwszych 30 dni dostępne są nielimitowane rozmowy, SMS-y i MMS-y oraz pakiet internetu, który bez problemu wystarcza na codzienne potrzeby. Dopiero po tym czasie użytkownik decyduje, czy chce zostać na dłużej. To prosty, przejrzysty model, który dobrze wpisuje się w rosnącą potrzebę elastyczności.

Aktywacja Roku Internetu z 9999 GB jest możliwa z ofertą cykliczną już od 35 zł w aplikacji Mój T-Mobile. Pierwszy pakiet 833,25 GB zostanie przyznany po aktywacji usługi, a kolejne po odnowieniu oferty cyklicznej. Aby skorzystać z oferty, wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile. Gotowe!

Internet, który nadąża za codziennością

Internet to dziś podstawowe narzędzie komunikacji i rozrywki. Korzystamy z niego w pracy, w podróży, w domu. Nawigacja, komunikatory, serwisy społecznościowe czy streaming działają w tle naszego życia.

Dlatego zwiększenie pakietów danych w odświeżonej ofercie ma realne znaczenie. Każdy z dostępnych wariantów został wzbogacony o dodatkowe gigabajty. W ofercie cyklicznej GO! M za 35 zł klient otrzyma 50 GB internetu (w tym 20 GB po doładowaniu), w ofercie GO! L za 45 zł otrzyma 150 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), a w opcji GO! XL za 50 zł aż 300 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), co przekłada się na większy komfort korzystania z telefonu. Zamiast kontrolować zużycie danych, można po prostu korzystać z sieci bez stresu i bez ograniczeń.

To zmiana, która może wydawać się subtelna, ale w praktyce robi dużą różnicę. Internet przestaje być czymś, co trzeba „oszczędzać", a zaczyna być naturalnym elementem codzienności.

9999 GB, czyli koniec liczenia – z ofertą cykliczną już od 35 zł

Jednym z najmocniejszych elementów oferty jest tzw. Rok Internetu, czyli aż 9999 GB danych (12 x 833,25 GB) do wykorzystania w skali roku. W praktyce oznacza to setki gigabajtów miesięcznie – ilość, która dla większości użytkowników eliminuje potrzebę jakiejkolwiek kontroli zużycia. Streaming w wysokiej jakości, wideorozmowy, praca zdalna czy rozrywka online przestają być czymś, co trzeba planować. Internet jest po prostu dostępny wtedy, kiedy jest potrzebny.

Aktywacja tej opcji została maksymalnie uproszczona. Wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile.

Nie tylko usługi – także doświadczenia

Współczesne oferty telekomunikacyjne coraz częściej wychodzą poza schemat minut i gigabajtów. Użytkownicy oczekują czegoś więcej – rozwiązań, które realnie wpływają na ich codzienność.

I tutaj ważną rolę odgrywa program Magenta Moments. To przestrzeń, w której technologia spotyka się z codziennymi przyjemnościami. Użytkownicy mogą korzystać z ofert i okazji przygotowanych we współpracy z partnerami – m. in. w miejscach takich jak Pizza Hut, KFC czy Cinema City. To dodatki, które zmieniają sposób postrzegania oferty. Telefon przestaje być tylko narzędziem komunikacji, a zaczyna ułatwiać codzienne spotkania, wyjścia, zakupy, wspólne spędzanie czasu.

Rozrywka bez ograniczeń

Uzupełnieniem oferty są korzyści związane z rozrywką cyfrową. W wybranych pakietach użytkownicy mogą skorzystać z dostępu do YouTube Premium. Brak reklam, możliwość odtwarzania w tle czy pobierania treści offline to funkcje, które znacząco podnoszą komfort korzystania z platformy. W połączeniu z dużą ilością opcja ta tworzy wyjątkowo spójną ofertę.

Koniec technologicznych wymówek

Wszystkie te elementy składają się na jedną, wyraźną zmianę. Technologia przestaje być ograniczeniem, a zaczyna funkcjonować w tle – dyskretnie, ale skutecznie. Nie wymaga planowania ani kontroli, tylko po prostu działa. I właśnie dlatego coraz trudniej mówić o „technologicznym alibi". Bo skoro wszystko jest na wyciągnięcie ręki – szybkie, dostępne i wygodne – pozostaje już tylko skupić się na tym, co naprawdę ważne: relacjach, rozmowach i codziennych chwilach, które chcemy dzielić z innymi.

eprasa.pl 1550608d64

Polska
Piątek–niedziela, 8–10.05.2026

PROF. CHWEDORUK: PRAWICY OPŁACA SIĘ DYSKUSJA O ZMIANIE KONSTYTUCJI

– Nie ma większości, która byłaby zdolna zmienić konstytucję. Natomiast idea referendum, która już pojawiła się w części wypowiedzi, byłaby idealnym motywem kampanii wyborczej PiS, stawiając Konfederację i Brauna w trudnej sytuacji. Myślę, że przede wszystkim o to na tym etapie chodzi – mówi prof. Rafał Chwedoruk, politolog, komentator sceny politycznej

Dorota Kowalska

Panie profesorze, nie ma Pan wrażenia, że prezydentowi Nawrockiemu bardzo zależy na zmianie konstytucji?
W istocie, gdyby popatrzeć na treść wypowiedzi i na styl uprawiania polityki, to pewnie spośród wszystkich kolejnych prezydentów Karol Nawrocki byłby najmniej odległy od Lecha Wałęsy, który też otwarcie mówił o potrzebie wzmocnienia władzy prezydenckiej. Obecnie obowiązująca konstytucja w olbrzymim stopniu wynikała właśnie z dążenia do ograniczenia negatywnych skutków nadmiernej władzy głowy państwa. Natomiast czy obecnemu prezydentowi zależy, czy nie zależy na zmianie konstytucji - nie wiemy. Nie ma żadnych dowodów na potwierdzenie bądź odrzucenie tej tezy. Byłbym szczerze zdumiony, gdyby Prawu i Sprawiedliwości zależało na czymś takim.

Dlaczego?
Ponieważ pod jurysdykcją obecnej konstytucji Prawo i Sprawiedliwość dwukrotnie doszło do władzy, i to pełnej władzy. Zdołało także już trzykrotnie, przez swoich kandydatów, zwyciężyć w wyborach prezydenckich i przetrwało wiele kryzysów. Odejście od obecnej ustawy zasadniczej oznaczałoby zapewne także odejście od konstytucyjnej gwarancji pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego. Nie mam cienia wątpliwości, że przeciwnicy Prawa i Sprawiedliwości bardzo chętnie powróciliby do idei ordynacji mieszanej, która choćby ze względu na strukturę demograficzną elektoratów i geografię wyborczą mogłaby PiS-owi bardzo utrudnić życie. Po drugie wreszcie, jeśli popatrzeć na tożsamość PiS-u, to każda nowa ustawa zasadnicza w Polsce nie będzie mogła dawać tak dużych gwarancji pozycji Kościoła katolickiego, jak obecna, ponieważ bardzo zmieniliśmy się jako społeczeństwo.

Mam jednak wrażenie, że Karol Nawrocki bardzo chętnie ustanowiłby w Polsce konstytucję, która gwarantuje w naszym kraju system prezydencki. Otoczony jest doradcami, którzy wywodzą się z PiS-u. Czyli co? Gra na własną rękę?
Nie, bez przesady. Po pierwsze, pamiętajmy, że generalnie polska prawica od lat 90., bez względu na wszystkie swoje wewnętrzne podziały, fluktuacje poparcia, zawsze przypisywała sobie monopol na napisanie konstytucji. Projekt prawicowej konstytucji z 1994 roku był sygnowany przez Solidarność. Potem powstał projekt PiS-u, który na swoje szczęście Prawo i Sprawiedliwość zdążyło schować przed opinią publiczną, bo, delikatnie rzecz ujmując, zbyt nowoczesny i sensowny on nie był. Po drugie, pamiętajmy, że PiS w tej chwili znajduje się w sytuacji patowej, to znaczy ma wciąż wysokie poparcie, ale stracił istotną jego część na rzecz Konfederacji i nade wszystko Korony Grzegorza Brauna i niezbyt widać perspektywy powrotu do statusu partii o poparciu około 40% wyborców. W tej chwili dyskusja o konstytucji czy nawet dyskusja o dyskusji na temat konstytucji polaryzuje opinię publiczną wedle starych osi. Nowy temat, stare osie podziałów. To automatycznie stawia w trudnej sytuacji Konfederację i Brauna, którzy muszą stawać w tym samym szeregu, w którym stoi Prawo i Sprawiedliwość. Konfederacji utrudnia to przedstawianie siebie jako siły niezależnej, siły spoza duopolu. Po trzecie wreszcie, Karol Nawrocki, poparty przez PiS, ma misję tego, który miałby budować pomosty między PiS-em a Konfederacją. I być może to też jest próba stworzenia jednego z możliwych pomostów.

Czyli myśli Pan, że nie chodzi o żadną zmianę konstytucji, tylko o polaryzację społeczeństwa i wywołanie sztucznej dyskusji, która jeszcze bardziej zarysuje wyraźny podział między opozycją a stroną rządzącą?
O wiele można posądzać działaczy PiS-u, ale nie o to, że nie znają wyników badań opinii publicznej i przełożenia tego na wyniki sondaży. Nie ma takiej większości, która byłaby zdolna zmienić konstytucję. Natomiast idea referendum, która już pojawiła się w części wypowiedzi, byłaby idealnym motywem kampanii wyborczej PiS-u, stawiając Konfederację i Brauna w trudnej sytuacji. Myślę, że przede wszystkim o to na tym etapie chodzi. Wzmocnienie władzy prezydenckiej w dzisiejszym świecie, biorąc pod uwagę to, co się dzieje w różnych krajach, zarówno demokratycznych, jak i takich, w których demokratyzm jest dyskusyjny, to nie jest pomysł odpowiadający realnym wyzwaniom.

Nie wiedziałam, że Prawu i Sprawiedliwości nie zależy na zmianie konstytucji. Jeżeli chodzi o Konfederację, to ona dość jasno opowiada się za systemem prezydenckim, prawda?
Generalnie nurt prawicy, nazwijmy to na prawo od Europejskiej Partii Ludowej, epatuje różnymi formami sceptycyzmu wobec parlamentaryzmu. Postulaty silnej władzy prezydenckiej, referendów pojawiają się w różnych krajach Europy, więc Konfederacja nie jest w tym temacie czymś zupełnie odmiennym. Natomiast warto pamiętać o tym, że Konfederacja mogła dostać się do Sejmu jeszcze w czasach Korwina i utrzymać się w nim tak długo dzięki pięcioprzymiotnikowemu prawu wyborczemu. W sytuacji istnienia JOW-ów przy geograficznej dystrybucji poparcia dla Konfederacji zdobycie znaczącej ilości mandatów byłoby po prostu niemożliwe. Więc nie sądzę, żeby Konfederacja była tak naprawdę w ostatecznej instancji pierwszą chętną do takiej zmiany, bo byłaby automatycznie jej ofiarą razem z Lewicą i PSL-em. Głównym beneficjentem zmiany konstytucji byłaby per saldo Koalicja Obywatelska.

Więc myśli Pan, że tak naprawdę w tym momencie nikomu nie zależy na zmianie konstytucji?
Oczywiście każdy prezydent chciałby mieć więcej władzy. Czymś innym jest chęć, ideowe podłoże takiej zmiany, a czymś innym sfera politycznych interesów. Paradoksalnie, to Platforma prawdopodobnie byłaby tą siłą, która chciałaby najwięcej w tej konstytucji zmienić. Natomiast polityczny interes w zasadzie nikomu z poważnych graczy nie daje pewności tego, że w jakikolwiek sposób by mu się to opłacało. Prawicy opłaca się po prostu dyskusja na ten temat.

Ale system, jaki mamy: ni to prezydencki, ni to parlamentarno-gabinetowy, jak widać w ostatnich latach, niespecjalnie się sprawdza. Nie ma kohabitacji między rządem i prezydentem, jeżeli pochodzą z różnych środowisk politycznych.
Oczywiście, że władza prezydencka, mimo tego, że została ograniczona w 1997 roku, jest wciąż zbyt duża. Natomiast nie sądzę, żeby wypracowano konsens dotyczący jej ograniczenia, bo tak naprawdę powinno się po prostu zlikwidować powszechne wybory prezydenckie. To rozwiązywałoby wszelkie problemy, wręcz wymuszało różne formy dialogu między odległymi od siebie ugrupowaniami politycznymi, tak jak to przez lata było w Republice Federalnej Niemiec. Natomiast nasze różnego rodzaju problemy wynikają nie z treści konstytucji, tylko z kultury politycznej, z tego, że się zamerykanizowaliśmy. Każdy polityk rozliczany jest krótkoterminowo ze swoich wyników przez własne zaplecze. Nie bierze się pod uwagę wymiaru strategicznego. Bardziej opłaca się nieustanne mobilizowanie tego samego elektoratu aniżeli próba wypracowania z politycznym oponentem wyjścia z jakiejś konfliktowej sytuacji. Jeśli już takie negocjacje się odbywają, to w głębokiej tajemnicy. Nie ma takiej konstytucji, której postanowień by nie łamano, jeśli istnieją takie polityczne możliwości, taka polityczna wola. I na tym polega polski problem, a nie na takiej czy innej ustawie zasadniczej.

Ciekawe, czy członkowie Rady Nowej Konstytucji, którą powołał prezydent Nawrocki, zdają sobie sprawę, że tak naprawdę żadnej zmiany konstytucji nie będzie i zostali w jakiś sposób wykorzystani.
Myślę, że są to bardzo doświadczeni w różnych dziedzinach życia społecznego ludzie. Można zauważyć, że antykomunizm pana prezydenta nie jest na szczęście dla polskiej demokracji nieograniczony, sądząc po składzie tej rady. Myślę, że jej powołanie miało zupełnie inne cele: chodziło o pokazanie pewnej otwartości ośrodka prezydenckiego, zdolności do dialogu z różnymi siłami politycznymi. Bo to, co zagraża Karolowi Nawrockiemu jako politykowi, to łatka politycznego radykała niezdolnego do dialogu, za to chętnego do blokowania efektów prac rządu. Powołanie tej rady miało też zapewne na celu znalezienie jakichś płaszczyzn porozumienia, choćby z ludowcami, przez zaproszenie marszałka Zycha. Do efektywnych zmian w konstytucji droga bardzo daleka. Zresztą ilość rad w tej kadencji zdaje się być imponująca, jeśli chodzi o ośrodek prezydencki.

No tak, mamy jeszcze radę do spraw mediów, prawda?
Nie tylko, ale to właśnie wynika ze statusu prezydenta. Prezydent w Polsce w zasadzie za nic do końca nie odpowiada, a może się wypowiadać na każdy temat. Więc myślę, że tu wiele innych cząstkowych celów jest realizowanych przez politykę tworzenia rad i zapraszania do nich osób niekoniecznie najbliższych środowisku pana prezydenta.

Panie profesorze, wydaje się, że efektu Przemysława Czarnka nie widać. Wręcz przeciwnie: sondaże Prawa i Sprawiedliwości są kiepskie. Jak Pan myśli, z czego to wynika?
Myślę, że za szybko, żeby to oceniać. To tak w życiu społecznym nie działa - jeśli jest robiony jakiś sondaż, to tak naprawdę odzwierciedla on coś, co miało miejsce dwa czy trzy tygodnie temu, a nie to, co dzieje się w tym momencie.

Ale sondaże Prawa i Sprawiedliwości od dłuższego czasu są po prostu kiepskie!
W Prawie i Sprawiedliwości świadomość tego, że istnieją strukturalne problemy, paradoksalnie pojawiła się jeszcze w momencie zwycięstwa w 2019 roku, największego triumfu w dziejach PiS-u. Już wtedy widać było po strukturze demograficznej elektoratu, że to ostatni raz, kiedy PiS wygrał samodzielnie wybory. Prawo i Sprawiedliwość jest partią, która mogła sobie przez lata pozwolić na elementy myślenia strategicznego, to znaczy mogła sobie czasami pozwolić na to, aby przygotować coś, co przyniesie efekty za dwa czy trzy lata, nie natychmiast. W tej chwili na poziomie taktycznym dla PiS-u wyzwaniem była utrata wyborców na rzecz Grzegorza Brauna. Minister Czarnek przez swoją wyrazistość, przez zaangażowanie w konflikty kulturowe miał po prostu zatrzymać odpływ tradycyjnych wyborców PiS-u do Konfede-

eprasa.pl 1550608d64

FOT. ADAM JANKOWSKI

Prof. Chwedoruk: Władza prezydencka jest wciąż zbyt duża. Natomiast nie sądzę, żeby wypracowano konsens dotyczący jej ograniczenia, bo tak naprawdę powinno się po prostu zlikwidować powszechne wybory prezydenckie

racji i Korony Brauna przede wszystkim. Z tego będzie tak naprawdę rozliczany. Oczywiście w wymiarze strategicznym trudno sobie wyobrazić, żeby ten polityk był kandydatem na premiera. To będzie musiał być ktoś, kto będzie związany z walką o szerszą grupę wyborców. Ktoś, kto będzie w większym stopniu kojarzył się ze stabilizacją życia w wymiarze materialnym. Trudno mi uwierzyć w to, żeby Przemysław Czarnek pozostał kandydatem na premiera do końca. Natomiast jego rozliczenia ze stabilizacji notowań PiS-u to rozliczenia, które moim zdaniem sens będą miały dopiero po okresie letnim.

Ale widzimy w PiS-ie ostrą walkę frakcji, zwłaszcza ludzi Morawieckiego z tymi bardziej radykalnymi politykami PiS-u skupionymi wokół Jacka Sasina, Tobiasza Bocheńskiego czy Patryka Jakiego. Myśli Pan, że to już walka o schedę po Jarosławie Kaczyńskim?
W Prawie i Sprawiedliwości toczy się walka od 15 października 2023 roku. Nie bezpośrednio o schedę, tylko o sam mechanizm przekazywania władzy przez Jarosława Kaczyńskiego. Czy będzie to tak jak do tej pory, że sam Jarosław Kaczyński zadecyduje, czy będzie dalej prezesem, czy nie, i czy to on wskaże swojego następcę, czy też będzie to pochodną nowego konsensu wewnątrz tej partii z udziałem różnych frakcji. Ujawniły się różne nurty wewnątrz PiS-u, które chciałyby być obecne przy stole rozmów. A Mateusz Morawiecki był tym politykiem, który przestał być komukolwiek do czegokolwiek potrzebny.

Dlaczego?
W PiS-ie nie był potrzebny, ponieważ miał być niegdyś liberalnym reformatorem tej partii, ale musiał bronić radykalnej agendy jako premier. Jednocześnie nie mógłby być uznany za strażnika świętego ognia, bo był przez olbrzymią część polityków PiS-u traktowany jako ciało obce wewnątrz tego ugrupowania. Co więcej, jego osoba stanowi przeszkodę w porozumieniu z Konfederacją i Grzegorzem Braunem. Młodzi wyborcy Konfederacji w olbrzymim stopniu byli socjalizowani politycznie w kontrze nie do Platformy, ale w kontrze do rządu Mateusza Morawieckiego. I Morawiecki musiał dać znać, że jeszcze żyje, wywrócić stolik na chwilę, by go przypadkiem nie pominięto w momencie, kiedy nowy konsens wewnątrz PiS-u będzie kształtowany.

Myśli Pan, że wcześniej czy później Morawiecki wyjdzie z PiS-u?
Nie, nie sądzę. Żyjemy w bardzo stabilnym systemie partyjnym - przy trwałych podziałach wewnątrz społeczeństwa nie ma żadnej przestrzeni między PiS-em a koalicją rządzącą.

Trudno wyobrazić sobie sytuację, kiedy po przejściu Jarosława Kaczyńskiego na polityczną emeryturę szefem PiS-u zostaje ktoś ze skrzydła radykalnego i zaakceptują go ludzie Morawieckiego, albo na odwrót - liderem zostanie Morawiecki i zaakceptują go radykałowie. Z tego, co wiem, między tymi frakcjami panuje naprawdę spora niechęć.
Nie ma nic, co by łączyło ludzi bardziej niż władza.

I pieniądze.
Jedno wiąże się z drugim. Perspektywa jakiejś koalicji z Konfederacją jest czymś, co z powrotem skleiłoby PiS albo zmieniło wewnętrznie osie podziałów. Warto pamiętać, że dzisiaj ktoś jest czyimś wrogiem wewnątrz partii, a za chwilę może być sojusznikiem przeciwko komuś jeszcze innemu. Więc nie sądzę, żeby to było jakąkolwiek przeszkodą.

Myśli Pan, że afera związana z rynkiem kryptowalut zaszkodzi PiS-owi, Konfederacji i prezydentowi?
Na pewno nie pomoże. Natomiast pamiętajmy, że większość obywateli nie orientuje się, o co chodzi w tej aferze. Jest to jeden z epizodów polityki, tak jak afera Amber Gold nikogo per saldo nie wysadziła w powietrze, choć wydawało się, że miała na to pewnego rodzaju potencjał. Nie sądzę, żeby udało się wyzwolić jakąś większą falę solidarności z tymi, którzy spekulowali, korzystając z kryptowalut. Meandry tego rynku są bardzo skomplikowane. Więc w większym stopniu może to uderzać w pojedynczych polityków prawicy i utrudniać im dalszą karierę polityczną, aniżeli wpływać na wyniki całych formacji politycznych.

Koalicja rządząca też ma kłopot i moim zdaniem tym kłopotem są politycy Polski 2050, jak widzimy bardzo podzieleni między sobą. To chyba obciążenie dla rządu, nie uważa Pan?
Nie jest obciążeniem to, że ktoś się z kimś nie potrafi dogadać. Obciążeniem jest raczej groteskowy wymiar całej tej sprawy. Każda polityka, każdy rząd potrzebują pewnej dozy powagi i odpowiedzialności. Sytuacja, w której kilkanaście osób z ugrupowania politycznego, które faktycznie nie istnieje samodzielnie w skali kraju, składa się w dużym stopniu z postaci anonimowych dla opinii publicznej szachuje rząd, próbuje się przedstawiać jako równi Koalicji Obywatelskiej i Lewicy - jest groteskowa. I to jest w tym wszystkim najtrudniejsze dla Donalda Tuska, jego partii i jego sojuszników. Natomiast politycy Polski 2050 walczą dramatycznie o przeżycie, stosują różne indywidualne strategie przetrwania, choć tak naprawdę długoterminowo nic z tego nie będzie wynikać. Oni nie mają możliwości prostego manewru, to znaczy pójścia na listy prawicy, bo tam nikt na nich nie czeka.

Mogą jeszcze pójść na listy Koalicji Obywatelskiej.
To już szybciej. Co prawda trudno im będzie dostać biorące miejsca, ale przynajmniej będzie się miało jakąś szansę politycznego przetrwania, jak nie przez wejście do Sejmu, to do samorządu. Więc szybciej coś czegoś takiego można się spodziewać. Natomiast nie sądzę, żeby ktokolwiek serio traktował perspektywę na przykład szybszych wyborów parlamentarnych, bo te niedobitki Polski 2050 będą pierwszymi ofiarami takich wyborów. To taka burza w szklance wody, niepoważny dodatek do poważnego zjawiska, jakim jest polityka.

Niektórzy mówią, że przed wyborami może powstać mimo wszystko jakaś partia, coś, co by zastąpiło dawną Polskę 2050, coś bardziej w centrum. Może stworzą ją samorządowcy. Pan sobie taki scenariusz wyobraża?
Tak, wyobrażam sobie taki scenariusz. Tak zwani samorządowcy to po prostu w większości prezydenci miast czy radni bliscy Koalicji Obywatelskiej.

Ale, rzeczywiście, brakuje takiej partii, Pana zdaniem?
Oczywiście, że nie brakuje. Taka partia może istnieć, mieć sens, może wejść do Sejmu tylko w realiach strukturalnego kryzysu Koalicji Obywatelskiej. Tak jak to było z Nowoczesną, tak jak to jest na poziomie niektórych miast, gdzie rządzący z Platformy przeżywali kryzys zaufania społecznego. Natomiast w żadnych innych realiach. Jeśli spojrzymy na sondaże, to notowania Koalicji Obywatelskiej nie są imponujące, ale są stabilne i o żadnym kryzysie nie może być mowy. Pamiętajmy, że Trzecia Droga to był fenomen połączenia potężnych struktur PSL-u, profesjonalnego zaplecza tej partii z popkulturowym Szymonem Hołownią. W tej chwili na coś takiego się nie zanosi i na dzień dzisiejszy nie sądzę, żeby taka partia mogła zbliżyć się nawet do progu pięciu procent. Warto zwrócić uwagę na wyniki bezpartyjnych samorządowców w ostatniej elekcji, gdzie byli jedną z dwóch formacji, która do Sejmu nie weszła, a pięć pozostałych do Sejmu weszło. I tak naprawdę czy taka formacja pojawi się, czy nie, będzie zależało wyłącznie od Platformy Obywatelskiej, to znaczy, po pierwsze - od jej notowań sondażowych i po drugie - od tego, czy Platforma byłaby chętna, żeby mieć taką Trzecią Drogę bis obok siebie. Coraz więcej wskazuje na to, że raczej nie będzie chętna.

Co Pana zdaniem może zadecydować o wyniku tych wyborów? Bo mamy sytuację taką, że Koalicja ma dobre sondaże, Lewica też wchodzi do Sejmu. Gorzej z ludowcami. Może się powtórzyć sytuacja z 2023 roku, kiedy PiS wygrało wybory i nie było w stanie utworzyć rządu koalicyjnego. Pana zdaniem taki scenariusz jest możliwy?
Tak, oczywiście. W tak stabilnym systemie partyjnym bardzo drobne rzeczy mogą decydować o podziale mandatów i nawet niewielkie korekty w tej materii mogą wnosić jakościowe zmiany. Polskie Stronnictwo Ludowe, o ile rzeczywiście nie dojdzie do próby tworzenia jakiejś kolejnej Koalicji Obywatelskiej bis w stylu Trzeciej Drogi, znajdzie się na listach KO. Nieco ją wzmacniając na miarę swoich słabnących możliwości, ale jednak w wymiarze organizacyjnym to wciąż jest znacząca siła. Poza tym nie sądzę, żeby doszło do jakichś jakościowych zmian. Natomiast najciekawsze będzie to, co się będzie działo z duetem Korona - Lewica. Pytanie, czy Nowa Lewica pójdzie do wyborów razem z partią Razem. W przypadku Grzegorza Brauna w pewnym stopniu dotyczy to też Konfederacji Mentzena - punktem kluczowym będzie kwestia zakończenia wojny w Ukrainie. Jeśli ta wojna się zakończy, a są różne przesłanki wskazujące na to, że nie jest to już nierealny scenariusz, to jeden z głównych czynników mobilizujących opinię publiczną wokół tych dwóch formacji zniknie. I nie wiadomo, jak zachowają się ci wyborcy, którzy obawę przed wojną czy niechęć do polityki Kijowa wobec Warszawy, niepokój związany z migracją do Polski traktowali jako czynnik mobilizujący do takich, a nie innych preferencji politycznych. To moim zdaniem może rozstrzygnąć o wyniku wyborów. Generalnie tematem numer jeden będzie raczej ciepła woda w kranie. Viktor Orbán zapewne nie straciłby władzy, gdyby nie problemy z ceną owej ciepłej wody w domach. I tu chyba rządzący mają tak naprawdę najwięcej do odrobienia, choćby to wszystko, co jest przedmiotem dyskusji wokół resortu zdrowia. To bardzo istotne kwestie dla wielu wyborców, którzy niekoniecznie należą do tych, którzy na długo wcześniej przed wyborami wiedzą, na kogo zagłosują.

eprasa.pl 1550608d64

KRYPTOWALUTY. PODEJŚCIE TRZECIE

W Sejmie mamy dzisiaj dwa projekty ustaw mające uregulować w Polsce rynek kryptowalut. Jeden po raz trzeci złożył rząd. Drugi – prezydent Nawrocki. Wszystko w sytuacji, kiedy afera Zondacrypto zatacza coraz szersze kręgi i pojawia się w niej coraz więcej nazwisk polityków prawicy

Dorota Kowalska

FOT. MARCIN ŚLIWA

Liczba zawiadomień o możliwości popełnienia przestępstwa w śledztwie w sprawie Zondacrypto jest szacowana na około 1,5 tysiąca

Rząd nie zamierza odpuszczać w kwestii kryptowalut. Dwie poprzednie ustawy w tej sprawie zawetował prezydent Karol Nawrocki. Teraz do Sejmu trafiła ustawa numer trzy, niewiele różniąca się od poprzednich.

- Jedyną zmianę, jaką będę proponował w tym projekcie, to jeszcze wyraźniejsze zaostrzenie kar dla tych, którzy wykorzystując marzenia ludzi, czasami naiwność ludzi, czasami brak wiedzy, oszukują ich i narażają też państwo polskie, nasze bezpieczeństwo na szwank, a oszukują tych ludzi, którzy chcą zainwestować swoje oszczędności - przekazał Donald Tusk przed wtorkowym posiedzeniem rządu.

Jak zaznaczył premier, celem ustawy jest umożliwienie wcześniejszego reagowania przez instytucje państwowe, w tym ostrzegania inwestorów przed ryzykownymi przedsięwzięciami, jeszcze przed interwencją organów ścigania.

Donald Tusk odniósł się również do wcześniejszych prób wprowadzenia regulacji, które - jak ocenił - były blokowane przez część opozycji oraz prezydenta. Podkreślił, że obecnie istnieje potrzeba szybkiego przyjęcia przepisów, które ograniczą ryzyko nadużyć i zwiększą przejrzystość rynku.

- To jest sprawa finansowania przez tę giełdę kryptowalut rozmaitych kampanii związanych z PiS-em, organizowanie, finansowanie, patronowanie politycznym imprezom w trakcie kampanii prezydenckiej na rzecz prezydenta Nawrockiego. To jest finansowanie bezpośrednie polityków prawicy, w tym byłego ministra Ziobro, za którego czasów, kiedy był prokuratorem generalnym, ta giełda rozhulała się na dobre, mimo że prokuratura dobrze wiedziała, jaka jest geneza tej firmy - powiedział Tusk.

Z informacji ABW wynika, że na przełomie października i listopada 2025 roku, miesiąc przed głosowaniem weta prezydenta w sprawie regulacji rynku kryptowalut, Przemysław Kral, prezes zarządu giełdy kryptowalutowej Zondacrypto, dokonał wpłat na rzecz dwóch fundacji - 450 tys. zł wpłacono Fundacji Instytut Polski Suwerennej Zbigniewa Ziobro. Część z tych środków przeznaczono na obrońców Dariusza Mateckiego i księdza Michała Olszewskiego. Inna spółka związana z Zondacrypto i panem Kralem, Expofer Servis House, zrealizowała transakcję na rzecz fundacji posła Przemysława Wiplera. Zondacrypto była także głównym sponsorem imprezy prawicowych działaczy CPAC. W trakcie kampanii prezydenckiej najważniejszymi uczestnikami tej imprezy byli prezydenci Duda i Nawrocki.

Według premiera, Zondacrypto powstała w „okolicznościach zasługujących na mocny film kryminalny". Założyciel zaginął w nieznanych okolicznościach, według wszystkich przypuszczeń nie żyje. Jak przypomniał Donald Tusk, „wielka kariera" Zondacrypto zaczęła się w 2022 roku z nowym szefem, za pieniądze - jak oświadczył szef rządu - rosyjskiej mafii.

- Mamy do czynienia z jedną z największych afer ostatnich nie lat, ale dekad. Aferą, w którą wplątani bezpośrednio są były i aktualny prezydent i prawicowe partie opozycji, bezpośrednio finansowani politycy z tej opozycji. Macie ostatnią szansę, żeby pokazać, że coś do was dotarło - podsumował we wtorek premier.

Wywołani do tablicy postanowili działać. Prezydent Nawrocki już po pierwszym zawetowaniu ustawy regulującej w Polsce rynek kryptowalut zapowiadał, że złoży do Sejmu swój projekt ustawy w tej sprawie, złożył go po drugim wecie.

- Pan prezydent w dniu dzisiejszym złożył do marszałka Sejmu projekt ustawy o kryptoaktywach, prezydencki projekt ustawy, który reguluje ten rynek - poinformował w środę szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki.

Prezydencki projekt ustawy, jak mówił Bogucki, „zasadza się na trzech zasadniczych filarach". Pierwszy to ochrona konsumentów i inwestorów. Drugi - kwestia realnego i skutecznego nadzoru państwa. Trzeci - zabezpieczenie konstytucyjnych praw przedsiębiorców, którzy działają w ramach rynku kryptowalut.

Szef KPRP podkreślił, że projekt ustawy jest wyjściem naprzeciw tym, którzy oczekują na regulację rynku kryptoaktywów.

- Jest to także wyjściem naprzeciw rządowi, w którym premier Donald Tusk chce iść totalnie na ścianę - dodał prezydencki minister.

Ten ruch prezydenta skomentował minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski.

„Przedtem Karol Nawrocki tłumaczył się, że zawetował, bo nie miał wiedzy o zondacrypto, ale teraz ma wiedzę i nadal kładzie się Rejtanem, aby utrudnić uregulowanie rynku kryptowalut. Nie sposób nie zadać sobie pytania, skąd bierze się aż taka determinacja" - napisał szef MSZ na platformie X.

Dużo ostrzej było w TVP Info.

- Co prezydent w ogóle ma do zgłaszania ustaw o kryptowalutach? Przecież to są bardzo skomplikowane, trudne kwestie. Mówimy o ustawie, która jest wdrożeniem dyrektywy europejskiej. Wdrażanie dyrektyw europejskich jest zadaniem rządu - mówił Radosław Sikorski.

I podkreślał, że takie regulacje powinny być przygotowywane przez specjalistów z Ministerstwa Finansów i innych instytucji państwowych.

- To jest wszystko część desperackiego bronienia tej trefnej spółki i własnych sponsorów. To jest tak kompromitujące dla urzędu prezydenta. Przecież prezydent nie jest ani trzecią izbą parlamentu, ani Ministerstwem Finansów - stwierdził Radosław Sikorski.

Pytany o to, czy prezydent próbuje w ten sposób „wyjść z twarzą" po wcześniejszych wetach, odpowiedział: - Z twarzą to już będzie ciężko, ale można po prostu podpisać i nie wetować.

Historia politycznej walki o uregulowanie, czy większą kontrolę nad rynkiem kryptowalut, trwa w Polsce już od kilku miesięcy. Pod koniec ubiegłego roku Karol Nawrocki zawetował uchwaloną 7 listopada ustawę o rynku kryptoaktywów. Wtedy Zbigniew Bogucki decyzję Nawrockiego tłumaczył między innymi tym, że ustawa wprowadzała rozwiązania nadmierne, niejednoznaczne i nieproporcjonalne.

5 grudnia, przed głosowaniem nad odrzuceniem prezydenckiego weta, Donald Tusk podczas niejawnych obrad Sejmu przedstawił posłom, zapowiedzianą jako pilną, informację dotyczącą bezpieczeństwa państwa. Wiadomo, że na sali plenarnej mówił o „kryptoaferze i rosyjskim w niej śladzie".

Prezes PiS, pytany wówczas przez dziennikarzy, jak jego klub zagłosuje w sprawie zawetowanej ustawy, oświadczył, że posłowie będą wspierać prezydenta. Przyznał jednak, że „kryptowalutami całkowicie się nie zajmuje".

- Osobiście uważam, że powinny być zakazane, ale tutaj prezydent uznał, że to jest przeregulowanie - powiedział.

Sejm weta prezydenta nie odrzucił. Przeciw głosowali politycy PiS i Konfederacji. I już wtedy doszło do ostrej politycznej wymiany zdań.

„Wygrali ci, którzy z ciemnych interesów czerpią zyski. Przegrali ci, którzy dobrze życzą Polsce. Fatalny spektakl. Fatalny" - podsumował na platformie X Tomasz Siemoniak, koordynator służb specjalnych.

Po głosowaniu premier Donald Tusk zapowiedział szybkie złożenie nowego projektu w tej sprawie. I tak też się stało - nowy projekt o identycznym brzmieniu, jak ten zawetowany, trafił do Sejmu i 18 grudnia ubiegłego roku został uchwalony.

Projekt, co podkreśla strona rządowa, ma zapewnić stosowanie rozporządzenia MiCA (The Markets in Crypto-Assets Regulation). Co to takiego? Rozporządzenie MiCA „określa zharmonizowane dla wszystkich państw członkowskich ramy prawne dla rynków kryptoaktywów, wprowadzając szczegółowe przepisy dotyczące kryptoaktywów, związanych z nimi usług i działań, które nie są jeszcze objęte unijnymi aktami ustawodawczymi dotyczącymi usług finansowych".

Chodzi między innymi o „wprowadzenie środków nadzorczych mających na celu przeciwdziałanie naruszeniom, których mogą dopuścić się podmioty nadzorowane", w tym umożliwienie Komisji Nadzoru Finansowego wstrzymania oferty publicznej kryptoaktywów, przerwania jej przebiegu na określony czas, zakazu rozpoczęcia oferty publicznej lub zakazu dopuszczenia kryptoaktywów do obrotu. W myśl rozporządzenia, KNF uzyska także możliwość nakładania sankcji „na oferujących, emitentów lub osoby ubiegające się o dopuszczenie kryptoaktywów, a także wprowadzenie kompetencji nadzorczych KNF w zakresie m.in. możliwości nałożenia kary pieniężnej na osoby zawodowo pośredniczące w zawieraniu transakcji związanych z kryptoaktywami". Projekt wprowadza także odpowiedzialność karną za przestępstwa popełniane m.in. w związku z dokonywaniem emisji tokenów powiązanych z aktywami lub tokenów będących e-pieniądzem czy świadczeniem usług w zakresie kryptoaktywów.

W lutym tego roku prezydent Nawrocki zawetował ustawę po raz kolejny. Tłumaczył, że otrzymał do podpisu dokument praktycznie identyczny jak ten, który wcześniej zawetował.

Głosowanie nad odrzuceniem prezydenckiego weta wyznaczono na 17 kwietnia. Sejm jednak i tym razem nie odrzucił weta prezydenta. Mimo że wszyscy posłowie wiedzieli to, o czym dzisiaj wiemy my wszyscy.

Co ciekawe, Jarosław Kaczyński i Mariusz Błaszczak nie wzięli udziału w głosowaniu, choć byli na sali obrad.

Tymczasem 17 kwietnia wszczęto śledztwo w sprawie giełdy Zondokrypto. Prowadzi je Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości we Wrocławiu.

W środę, podczas swojego wystąpienia w Senacie, wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha tłumaczył, że śledczy badają, czy platforma Zondacrypto wprowadzała klientów w błąd co do możliwości zakupu i przechowywania walut tradycyjnych oraz kryptowalut, i w ten sposób doprowadziła do niekorzystnego rozporządzenia mieniem. Prokuratorzy sprawdzają też kwestię przyjmowania, przechowywania i transferowania środków będących korzyściami z przestępstw. Przeprowadzili kilkadziesiąt przeszukań, podczas których zabezpieczyli obszerną dokumentację, nośniki danych oraz dane elektroniczne - materiał ten jest aktualnie analizowany. Dzisiaj łączna liczba zawiadomień o możliwości popełnienia przestępstwa w sprawie Zondacrypto sięga już ok. 1,5 tys., poszkodowani stracili na giełdzie ponad 300 mln złotych.

Czyżby na prawicy przyszło opamiętanie? PAP

eprasa.pl 1550608d64

PULS
#215

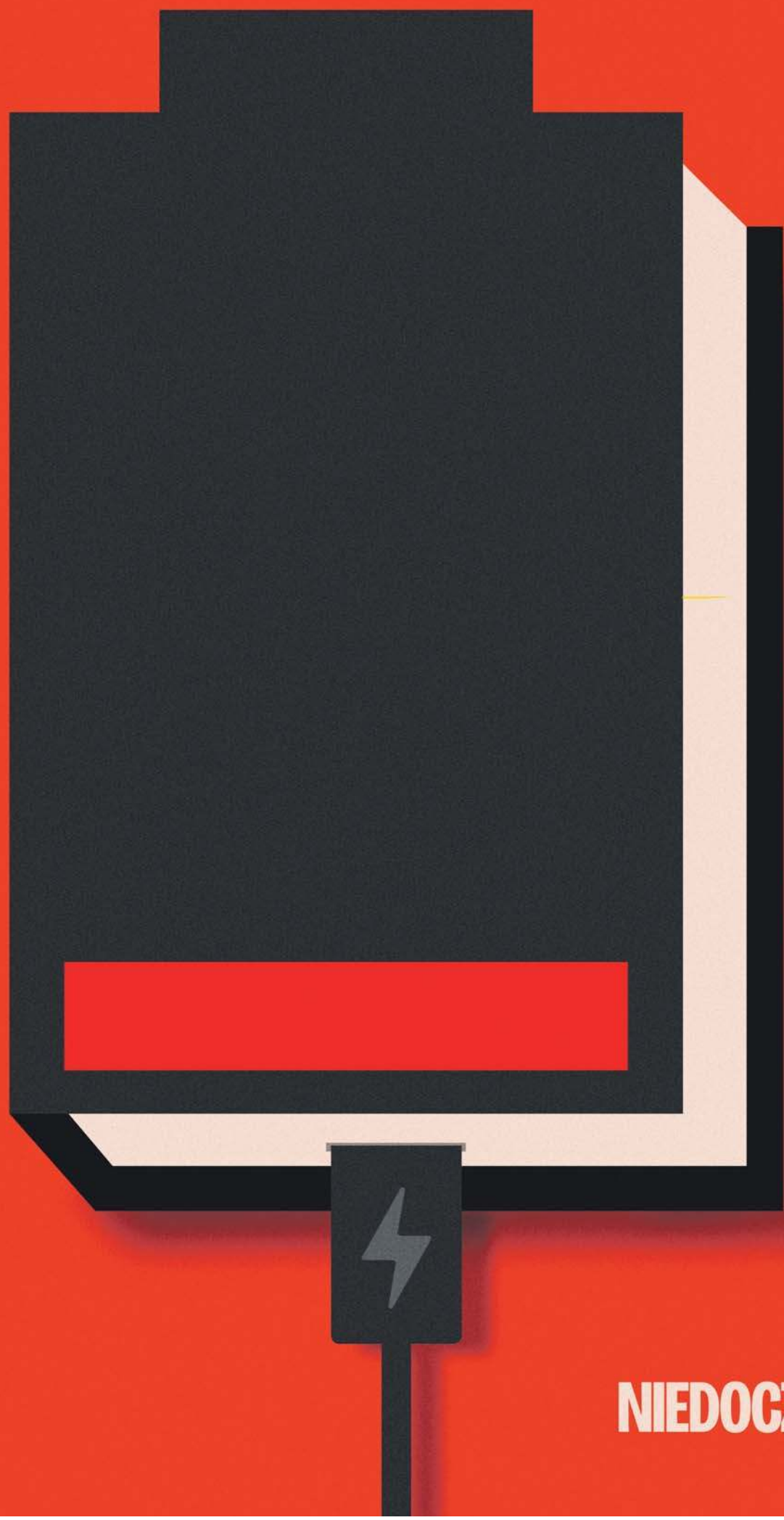

NASZE NIEDOCZYTANIE

BT

eprasa.pl 1550608d64

Arlena Sokalska

KONSTYTUCYJNA ZAGRYWKA

Prezydent Nawrocki w dniu święta konstytucji grzmiał o oddawaniu władzy narodowi, w domyśle jemu samemu, bo to on uzyskał od narodu mandat w wyborach powszechnych. Z tym mandatem nie przesadzałabym w przypadku głowy państwa. Bo podobny mandat uzyskała w powszechnych wyborach rządząca koalicja. Przy trochę wyższej frekwencji (dodajmy - rekordowej). A i prezydent Nawrocki swój mandat uzyskał przewagą niesłychanie małą. Co oznacza, że tych pozostałych 10 milionów wyborców wcale tym mandatem obdarzyć go nie chciało.

Ale według prezydenta nastał w tych okolicznościach „moment konstytucyjny", który oznacza, że za zmianę konstytucji brać się należy. I powołał radę, która pewnie raz na jakiś czas zbierać się będzie. Tyle tylko że żadnego „momentu konstytucyjnego" nie ma - bo nie ma większości konstytucyjnej, pozwalającej zmienić ustawę zasadniczą. I dziś wszystko wskazuje na to, że po następnych wyborach parlamentarnych takiej większości też nie będzie.

Po co więc prezydent grzmi o konieczności zmian konstytucji? Bo - tu cytuję - „Tak dalej być nie może, że władza w Polsce rozkłada się na dwa ośrodki". Owszem, mieliśmy różne konflikty na linii prezydent-premier. Zaczęło się od „szorstkiej przyjaźni" między premierem Leszkiem Millerem a prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim, a potem było jeszcze gorzej. A teraz jest otwarta wojna.

Dlaczego? Bo prezydent nie skupia się na niczym innym, jak rzucaniu kłód pod nogi rządowi i wetowaniu wszystkiego - łącznie z ustawą o SAFE czy kryptowalutach (dwukrotnie). Rozumiem, kiedy prezydent wetuje ustawę, dzięki której bezdzietne małżeństwo mogłoby zakończyć formalny związek bez konieczności stawienia się w sądzie. Takie prezydent ma poglądy, trudno. Ale wetowanie ustaw dotyczących kwestii obronności Polski czy odporności na szachrajstwa rynku kryptowalut?

Do tego dochodzi retoryka prezydenta, bo wciąż mówi o premierze Tusku jako „najgorszym premierze w historii". Nawet jeśli tak uważa, powinien owe myśli zachować dla siebie - właśnie w myśl tego, co jest istotą konstytucji z 1997 r., zakładającej pewną równowagę między ośrodkami władzy, choćby przez próbę nawiązania „szorstkiej przyjaźni" i jakiegoś rodzaju trudnej współpracy jak z kadencji Andrzeja Dudy.

Tak, twórcy obowiązującej konstytucji (która pisana była ładnych parę lat) najpierw ograniczali prawa prezydenta, bo był nim Lech Wałęsa, a potem je zwiększali, bo został nim Aleksander Kwaśniewski.

A ja jestem za systemem kanclerskim. Najlepiej byłoby, gdyby w Polsce nie było prezydenta wybieranego przez Polaków w wyborach powszechnych, powinno to robić Zgromadzenie Narodowe. Wymagałoby to też politycznego wysiłku, bo musiałby to być polityk kompromisu, na którego zechciałoby głosować 2/3 posłów i senatorów. Byłaby to ciekawa figura polityczna - rodzaj autorytetu, który reprezentowałby Polskę za granicą.

Ale nic takiego się nie zdarzy za mojego życia, bo żaden - ani obecny, ani przyszły - prezydent nie podpisałby ustawy, która kończyłaby jego kadencję.

A tak na koniec. Po co prezydentowi Nawrockiemu wyciąganie sprawy zmiany konstytucji? Bo będzie to jeden z tematów jego kampanii wyborczej w 2030 r., a i pewnie tych parlamentarnych w 2027. Szykujmy się na ostrą polityczną nawalankę.

Adam Buła

FINAŁ SEZONU PRAWYCH FIKOŁKÓW

Ale wiecie, że za chwilę skończą się premierowe odcinki najpopularniejszych dziś polskich seriali z uniwersum, gdzie „Pierwsza miłość" jest „Na dobre i na złe", bo różne są „Barwy szczęścia", gdy gra się w „M jak miłość". Dokładnie tak jest w naszym uniwersum politycznym, gdzie czekają nas finały sezonów seriali pt. „SAFE jest w pustym sejfie", OZE jest sroze" a „Zondacrypto jest ok".

Na miejscu scenarzystów, szykujących się na zapadające widzom w pamięć zakończenia, brałbym jednak pod uwagę pewną nową okoliczność. Mianowicie, hitem tego sezonu była krótka, puszczana zaledwie przez 9 dni telenowela pt.: „Streaming Łatwoganga na rzecz dzieci chorych na raka". Otóż wyróżniała się ona tym, że ... nic w niej nie było udawane. W absolutnej kontrze do świata wyobrażonego polskich seriali telewizyjnych i politycznych. Serialowa Hanka Mostowiak (Małgorzata Kożuchowska) przeżyła w ciasnej kawalerce Łatwoganga centralne zderzenie ze stosem kartonów i można tę scenę traktować jako ikoniczny symbol przepaści między światami.

Śledząc zaś fabuły politycznych seriali mam wrażenie, że ich scenarzyści wiedzą już, że przeszarżowali z nierealnymi zwrotami akcji, ale - z braku lepszego pomysłu - chcą na wariata dociągnąć to do końca. „Seriali lub widzów" - że się podeprę prezydentem podpierającym się cytatem z ubeka.

Jak to więc będzie wyglądać? Weźmy szefa prezydenckiej kancelarii, Zbigniewa Boguckiego, który w tym sezonie zyskał sławę pierwszego harcownika prawicy, wykorzystując sejmową mównicę do ostrego atakowania rządu i premiera. Słucham jego ostatnich wystąpień i widzę w jego oczach, że on już nie tylko wie, że ostro bredzi. On już wie, że my wiemy, że on bredzi, tylko jeszcze nie ma u nas kultury, by ktoś przytomny krzyknął z tłumu: hej gościu, jesteś nagi i strasznie prdl.

W każdym razie może i polska prawica brała bezpośrednio lub korzystała pośrednio, z Karolem Nawrockim na czele, z kasy od kryptoaferzysty z firmy Zondacrypto, ale podwójne weto ustawy, dającej szansę na walkę z kryptooszustami nie miało z tym coś wspólnego. W dodatku pierwsze weto prezydenta było zanim się on od rządu w grudniu dowiedział, że z Zondacrypto jest coś nie tak. Skąd było drugie weto na wiosnę? Bo ustawa była za długa, mając ponad 100 stron zbyt szczegółowych dla branży krypto przepisów.

Że prezydent po pierwszym wecie miał złożyć „w ciągu kilku dni" swój projekt ustawy? No to przecież go złożył, tyle że wczoraj (6 maja). Że ta ustawa ma też ponad 100 stron, bo jest po prostu przepisana z tej wetowanej i tylko dodano dwa nowe przepisy (na korzyść ewentualnych oszustów zresztą) - no i po ... drążyć. Kartony nie kartony, musi wyjść na nasze.

Hitem sezonu pozostaną jednak fikołki przyszłego premiera z własną instalacją fotowoltaiczną: bo i temat łatwiejszy i w sumie sprawa nie tak poważna. „OZE-sroze jest złe", więc Przemysław Czarnek zdemontuje ze swojego domu panele, jak się okazało, że kiedyś je założył. Bo się wtedy z tego nie cieszył, a w dodatku dom nie jest jego. W ogóle to je założył, bo prąd ciągle drożał (w końcu to było w 6. roku rządów PiS, ale on był wtedy na „innym odcinku"). A teraz jednak ich nie zdejmie, bo prąd znowu jest coraz droższy, więc je zdejmie, jak będzie tańszy, czyli jak znów będzie rządził PiS, przez którego rządy je założył. Nie zdejmie ich, choć „się słyszy", że są one bardzo niebezpieczne. Bo w ogóle sprawa dotyczy tylko takich jak on, których na panele było stać, choć w sumie to nas było stać, bo Czarnek skorzystał z unijnego dofinansowania i zapłacił tylko 8 tys. zamiast ponad 20. W finałowej scenie i tak wybrzmi jednak ostatnie zdanie bohatera, że „Unia jest zła".

To tylko rozgrzewki przed czekającym nas już w najbliższy weekend finałem serialu „SAFE 0 %". Rząd podpisze umowę na miliardy z Unii dla armii, i „zadłuży nas na pokolenia", bo jak PiS zadłużył nas z tej samej okazji wcześniej na 400 mld, to się nie liczy. I nieprawda, że tamte pożyczki były na gorszych warunkach, zwłaszcza że wtedy wcale nie padało.

Ale najgorsze jest to, że Tusk zdradza Amerykę i nie chce u niej kupować uzbrojenia, tylko da tę całą kasę Niemcom, a że nic u niech jeszcze nie zamówił, to wiadomo, że to jest spisek.

No bo czego wy właściwie nie rozmiecie? Te fabuły są dla widzów, którzy nie mieli nigdy problemów z tym, że Hanka Mostowiak zginęła w zderzeniu Mazdy 626 ze stosem kartonów...

W polskim interesie jest, żeby amerykańskich żołnierzy w Europie było jak najwięcej, a najlepiej w Polsce. (...) I my nie wnikamy skąd ci amerykańscy żołnierze mieliby przybyć. W Polsce będą mile widziani. (...) Zapraszamy ich tu, gdzie jest prawdziwe zagrożenie, 250 km stąd

RADOSŁAW SIKORSKI, WICEPREMIER, SZEF MSZ

eprasa.pl 1550608d64

FOTO*komentarz tygodnia*

sekc. Arkadiusz Sosnowski | Państwowa Straż Pożarna

FOT. PAP/PSP/Mł. KPT. DOMINIK RYBA

6 MAJA, BIŁGORAJ

Potężny pożar spustoszył 500 ha lasu w powiecie biłgorajskim. Do jego ratowania skierowano niemal 500 strażaków, wspierały ich wozy, a także śmigłowce i samoloty gaśnicze. Jeden z używanych dromaderów rozbił się w trakcie akcji . Na miejscu pojawił się premier Donald Tusk oraz minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński. Pożar może być konsekwencją pogody. Jak podkreślają eksperci, mamy jedną z najbardziej suchych wiosen po II wojnie światowej. Niska wilgotność powietrza sprawia, że o pożar łatwiej niż zwykle

FOT. PAP/EPA/ELTON MONTEIRO

6 MAJA, HOLANDIA. **Potwierdzono, że trzech pasażerów wycieczkowca MV Hondius zmarło w wyniku infekcji hantawirusem. Natychmiast zaczęto śledzić ruchy innych pasażerów. A na świecie po raz kolejny pojawiła się obawa przed powrotem sytuacji sprzed kilku lat: pandemii i kwarantanny**

FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

6 MAJA, WARSZAWA. **Sławomir Mentzen ostro zaatakował szefa Sztabu Generalnego gen. Kukułę, mówiąc, że „nie ma kompetencji, żeby być kapralem". Po stronie zaatakowanego stanęli prezydent oraz szef MON**

FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

4 MAJA, POLSKA. **Praktycznie każdy ma własne wspomnienia z takich chwil jak widoczna na zdjęciu. Różnie się mówi o poziomie matur - ale gdy się ją zdaje, zawsze jest najtrudniejszym egzaminem życia**

eprasa.pl 1550608d64

Polska
Piątek–niedziela, 8–10.05.2026

– Prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Groźniejsze jest to, że czytanie zostanie przywilejem wąskiej warstwy, która będzie budować koncentrację i kompetencje, a duża część społeczeństwa nie zobaczy przyjemności ani w lekturze, ani w poruszaniu własnego mózgu – mówi Maria Deskur, prezeska Fundacji Powszechnego Czytania

Anita Czupryn

FOT. 123RF

Maria Deskur: Dziś w Polsce mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana

MARIA DESKUR: BEZ CZYTANIA MOŻEMY SIĘ CYWILIZACYJNIE COFNĄĆ

Aby zmienić postrzeganie czytania przez społeczeństwo i decydentów, Fundacja Powszechnego Czytania zorganizowała w Warszawie konferencję Literacy for Democracy. Co takiego się stało, że czytanie przestaje być tylko miłym, dobrym nawykiem, a staje się sprawą strategiczną?
To bardzo dobre pytanie. Jak mówi Maryanne Wolf, profesorka neuronauki i znana amerykańska badaczka mózgu czytającego, jeśli nie będziemy dbali o to, co ona nazywa głębokim czytaniem, czyli o linearne, długie czytanie książek, zatracimy umiejętności, które sprawiły, że jako cywilizacja stworzyliśmy demokrację. To jedno. Druga odpowiedź pojawia się w słynnym Ljubljana Manifesto on Higher-Level Reading, czyli manifeście czytelniczym z Lublany. Jego autorzy, badacze czytania i neuronaukowcy, mówią o tym w kontekście rozwoju sztucznej inteligencji. Zwracają uwagę, że musimy ćwiczyć mózgi, żeby radzić sobie w świecie, w którym coraz ważniejsza staje się umiejętność oceny treści. Łączą to z zalewem dezinformacji, z potrzebą budowania krytycznego myślenia, innowacyjności, kompetencji komunikacyjnych, rozmowy i współpracy z innymi. I pokazują, że czytanie właśnie to nam daje. Myślę, że ważnym elementem tej rozmowy jest świadomość, że czytanie, podobnie jak ruch fizyczny, jest strategicznym elementem dobrostanu społecznego. Dziś już wszyscy wiemy, że nie da się dobrze funkcjonować bez ruchu. Wiedzą to rodzice, szkoła, samorządy inwestujące w parki i siłownie plenerowe, wie to także biznes, który wspiera aktywność pracowników przez karty sportowe. A przecież sport pozostaje czynnością prywatną. Nikt nie może nas zmusić do biegania, pływania czy chodzenia po górach. Firma może dać kartę, burmistrz może zbudować siłownię w parku, ale decyzja nadal należy do nas. Z czytaniem jest podobnie. Ono powinno pozostać prywatną przyjemnością, prywatnym wyborem, naszym nawykiem. A jednocześnie powinniśmy rozumieć, jak bardzo jest strategicznie ważne. Nie uważam, żeby jedno przeczyło drugiemu.

Można rzec, że demokracja zaczyna się wcześniej niż przy urnie wyborczej, bo w domu, w pierwszym kontakcie dziecka z językiem?
Można tak to ująć i bardzo mi się to ujęcie podoba. Kiedy mówimy o pierwszych latach życia dziecka, dotykamy sfery pediatrycznej i psychologicznej. Oczywiście neuronaukowcy także się tym zajmują, ale bardzo mocno mówią o tym również pediatrzy. Na naszej konferencji pojawi się Dana Suskind z Chicago, profesorka pediatrii i chirurgii, która dużo mówi o bogactwie językowym. Nie zajmuje się czytaniem w wąskim sensie, mówi raczej o tym, że dziecko musi być otoczone słowami, bogactwem słownictwa, językiem. A to oczywiście łączy się z książką, bo książka jest jednym z najlepszych narzędzi tworzenia zdrowego środowiska rozwojowego dla dziecka. Daje różnorodność słów, bogactwo języka i pojęć. Suskind mówi też o podmiotowości małego człowieka, o budowaniu jego mózgu, o namnażaniu się synaps. To jest opowieść o tym, że powinniśmy od samego początku upodmiotawiać dzieci. Sprawiać, żeby panowały nad językiem, którym się posługują. Żeby miały narzędzia do wyrażania siebie, opisywania swoich emocji, potrzeb, myśli. Żeby mogły dochodzić do własnych wniosków. I to rzeczywiście jest budowanie, od urodzenia, świadomych uczestników demokracji. Najpierw małych ludzi, potem coraz większych, a w końcu nas wszystkich jako wspólnoty. Pomaga nam to na wielu poziomach. Wspomniałam o nowych technologiach i dezinformacji, ale lekarze zwracają też uwagę na stabilizację emocji. Czytanie i język pomagają również w rozwoju poznawczym mózgu, w namnażaniu się synaps, w rozwoju struktur, które później pozwalają dziecku wybrać swoją drogę, zawód, kierunek życia. Mówiąc najprościej: jeśli mózg jest dobrze rozwinięty, człowiek może pójść w bardzo różne strony i dokonać bardziej autonomicznego wyboru. Ale to także rozmowa o odporności. Dziś odmieniamy to słowo przez wszystkie przypadki: odporność psychiczna, emocjonalna, społeczna, asertywność. A odporność społeczności bierze się między innymi z tego, że potrafimy się komunikować, umiemy coś razem wypracować, razem działać. W tym sensie wszystkie wielkie wyzwania współczesności skupiają się jak w soczewce w pytaniu o czytanie. Powiedziałabym, że chodzi o to, jak użyć czytania jako narzędzia do mierzenia się z wyzwaniami współczesności.

Jakie dzieci wychowujemy, jeśli od pierwszych lat oddajemy ich uwagę ekranom, a nie językowi i rozmowie? Dziś telefony komórkowe montowane są nawet w wózkach, żeby dziecko podczas spaceru mogło oglądać bajkę.
Daleka jestem od oskarżania rodziców, bo wielu robi to zupełnie nieświadomie. Ale fakt jest faktem: mamy dziś dużo badań pokazujących, że małe dziecko do rozwoju mózgu, koncentracji, stabilności i pewności siebie potrzebuje kontaktu z drugim człowiekiem, a nie z ekranem. Ekran oczywiście dziecko cieszy. I to jest pułapka. Coś się rusza, coś miga, można kliknąć. Ekran kradnie uwagę, bo wymaga od mózgu mniejszego wysiłku niż rozmowa, zabawa, obserwowanie świata. A do rozwoju potrzebujemy wysiłku. Wrócę do porównania ze sportem. Żeby się ruszać, trzeba wstać z kanapy. Ale jeśli dziecko dużo biega, nie postrzega tego jako obowiązku. Dla niego to zabawa. Ktoś mu pokazał, że bieganie, kopanie piłki, spacer, chodzenie po górach czy ruch w parku są fajne. Przy dużym wysiłku, jak udział w maratonie, wydziela się dopamina. To ogromny wysiłek dla ciała, a jednak dziesiątki, setki tysięcy ludzi biorą udział w maratonach, bo sprawia im to przyjemność. Z czytaniem jest podobnie. Scrollowanie to pasywna aktywność, to symboliczne siedzenie na kanapie. Wiele osób to lubi, ale to nie znaczy, że jest to dla nich dobre. Jeśli komuś nie pokazano, że ruch może być przyjemnością, łatwo wejdzie w tryb życia, który z medycznego punktu widzenia nie jest najlepszy. Podobnie jest z ekranami. Z punktu widzenia rozwoju małych dzieci bardzo wczesne dawanie im ekranów nie pomaga. Dziecko powinno czasem trochę się ponudzić, obserwować przyrodę, a przede wszystkim być w re-

eprasa.pl 1550608d64

lacji z drugim człowiekiem. Oczywiście to oznacza wysiłek rodzica. Zdaję sobie sprawę, że płaczące dziecko najłatwiej uciszyć telefonem. Ale powinniśmy chcieć zrozumieć, o co mu chodzi, nawet jeśli jeszcze nie mówi. Wziąć je na ręce, sprawdzić, czy coś mu się nie stało, czy nie jest głodne, czy czegoś nie potrzebuje. A kiedy jest starsze – to wchodzić z nim w interakcję. Dom jest pierwszą przestrzenią ćwiczenia relacji społecznych. Dziecko potrzebuje rozmowy, bliskości, obecności. Potrzebuje czasem pokłócić się z rodzicem, postawić mu się, zobaczyć, że rodzic na coś się zgadza, a na coś nie. Że jest reakcja. Że coś jest dobre, a coś niedobre. Że nóż jest niebezpieczny, a łyżka bezpieczniejsza. To milion codziennych sytuacji, z których jako dorośli często nie zdajemy sobie sprawy. Dla rodzica to mogą być rozmowy pozornie trywialne: o tym, co wydarzyło się w parku, w przedszkolu, w książce; że wilk zrobił coś złego, a inny bohater coś dobrego. Ale właśnie to jest przygotowanie do życia. Dziecko potrzebuje tych rozmów, bliskości, obecności i czasu. Rozumiem, że jesteśmy zmęczonymi, zabieganymi rodzicami. Ale nadmiar ekranów jest dla dziecka po prostu bardzo niedobry.

Dzisiaj dzieci bardzo szybko uczą się obsługi nowoczesnych urządzeń. Znacznie wolniej uczą się cierpliwości, skupienia uwagi. Co dobrego daje czytanie? Dlaczego Fundacja Powszechnego Czytania tak mocno apeluje właśnie o czytanie?
Mam poczucie, że jako cywilizacja wykonaliśmy ogromną pracę w bardzo dobrym kierunku: udostępniania wiedzy wszystkim. Obowiązkowa edukacja była milowym krokiem. Cała populacja została włączona w edukację, możliwości rozwojowe, w obietnicę równych szans. Telefon komórkowy również może być genialnie demokratycznym narzędziem. Każdy z nas ma, przynajmniej teoretycznie, dostęp do wszelkiej wiedzy. Ale jeśli jako społeczeństwo nie nauczymy się używać tego narzędzia tak, żeby nam sprzyjało, a nie obniżało nasz potencjał, na drodze ku równym szansom możemy się zatrzymać albo nawet cofnąć. Marzeniem cywilizacyjnym jest przecież to, żeby każde dziecko dostawało publiczną edukację i miało szansę zostać tym, kim zechce. To niezwykłe, że żyjemy w takim miejscu świata, w którym możemy w ogóle o tym rozmawiać. Jeśli pozwolimy, żeby telefon zamiast stać się kolejnym narzędziem demokratyzacji, stał się narzędziem pogłębiania różnic w wykształceniu, to będzie bardzo źle. Widać już pewien paradoks. Ludzie z Doliny Krzemowej, twórcy największych firm technologicznych i mediów społecznościowych, wysyłają własne dzieci do szkół, w których technologii prawie nie ma albo nie ma jej wcale. Bo wiedzą, jak bardzo media społecznościowe uzależniają. Sami je stworzyli. Myślę więc, że prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Niebezpieczeństwo polega raczej na tym, że pozostanie wąska warstwa, która nadal będzie czytać, budować koncentrację i kompetencje rozwijane przez czytanie, a duża część społeczeństwa nie będzie poświęcała czasu ani na ruch fizyczny, ani na poruszanie własnego mózgu. I, co równie ważne, nie zobaczy przyjemności ani w jednym, ani w drugim. Prawdziwe wyzwanie cywilizacyjne brzmi więc: jak sprawić, żeby przyjemność ruchu fizycznego i przyjemność czytania stały się powszechne? Wracając do pani pytania, dlaczego czytanie jest tak istotne: dzięki niemu możemy stawać się tym, kim chcemy. Czytanie buduje nasze mózgi. I to w każdym aspekcie, bo mózg to nie tylko wiedza. To także umiejętność łączenia faktów, rozumienia związków przyczynowo-skutkowych, analizy, syntezy, matematyki, fizyki, nauk ścisłych. Jest wiele badań pokazujących, że osoby czytające są lepiej przygotowane do rozumienia pojęć z nauk ścisłych. Ale jest też cała sfera społeczna. Mózg ma wymiar relacyjny. Budujemy neurony lustrzane, ćwiczymy się w rozumieniu drugiego człowieka, we współpracy, we współtworzeniu. Światowe Forum Ekonomiczne wśród najważniejszych kompetencji przyszłości wymienia wiele takich, które dotyczą współpracy, kreatywnego myślenia, pracy z ludźmi i przywództwa. To wszystko. mniej lub bardziej wprost, bierze się z tego, że pozwalamy sobie w szybkim świecie na powolne, głębokie skupienie na treściach. Czytanie ćwiczy mózg w czymś, do czego on wcale nie został pierwotnie stworzony. Nie ma w nim jednego miejsca odpowiedzialnego za czytanie. Żeby nauczyć się czytać i żeby czytać, uruchamiamy bardzo wiele obszarów mózgu. I właśnie dlatego czytanie jest tak dobroczynne. Powoduje, że nasz mózg zaczyna pracować na bardzo wysokich poziomach.

W programie konferencji, obok naukowców, edukatorów i przedstawicieli Komisji Europejskiej, znaleźli się także przedstawiciele biznesu. Czytanie może być dziś postrzegane również jako warunek konkurencyjności? To już nie jest tylko sprawa humanistów?
Zdecydowanie. To jedna z podstawowych prawd. Przyzwyczailiśmy się myśleć w pewnych torach. Tak są też zorganizowane nasze państwa: jest silos kultury, silos edukacji. Promocja czytelnictwa przypisana jest zwykle do silosu kultury. Zajmuje się nią Ministerstwo Kultury, na poziomie gminy wydział kultury, na poziomie europejskim komisarz do spraw kultury. To naturalne, bo społeczeństwa muszą być zorganizowane i trzeba dzielić obowiązki. Ale wyzwaniem jest uświadomienie sobie, że czytanie nie jest wyłącznie domeną humanistów. Oczywiście, że czytanie buduje kody kulturowe, naszą identyfikację, na poziomie regionu, państwa, kontynentu. Ale z punktu widzenia nauki Maryanne Wolf bardzo dobrze to ujmuje: zanim w ogóle rozpoczniesz rozmowę o wartości literackiej tekstu i kodach kulturowych, które on niesie, kiedy czytasz książę, twój mózg już dostał całą pulę ćwiczeń analitycznych, syntetycznych, ćwiczeń krytycznego myślenia, zauważania perspektyw innych niż własna. Czyli uczenia się, że ktoś inny myśli inaczej. To wszystko dzieje się, zanim to zauważysz. Czytasz książkę, a twój mózg wykonuje ogromną pracę. Dlatego zanim zaczniemy rozmowę o jakości literackiej, kodach kulturowych czy kulturze wynikającej z tego, że czytamy te same książki, trzeba zobaczyć podstawowy poziom: czytanie jest treningiem mięśni mózgu. Ćwiczeniem operacji myślowych, które później decydują o tym, co jesteśmy w stanie zrozumieć, stworzyć i zrobić.

Celem Fundacji Powszechnego Czytania jest osiągnięcie 70 procent czytelnictwa w Polsce. Co praktycznie zmieniłoby się w państwie, gospodarce, relacjach społecznych, gdybyśmy taki poziom osiągnęli?
W wielu krajach prowadzi się badania pokazujące, że wyższy poziom czytelnictwa przekłada się na PKB. W Polsce nie znam takich wyliczeń, więc trudno mi byłoby mocno się na nie powoływać. Natomiast wiemy, że większa liczba osób czytających w danej społeczności oznacza lepszy poziom komunikacji i mniejsze rozwarstwienie społeczne. To są rzeczy, do których dążymy. Sprowadźmy to do konkretnego przykładu. Dziś w Polsce mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana: psychicznie, emocjonalnie, ale też kompetencyjnie. One już na starcie są w bardzo trudnej sytuacji. Gdybyśmy doprowadzili do tego, że czytałoby 70 procent dorosłych i 70 procent rodziców czytałoby dzieciom, mielibyśmy o 20 punktów procentowych więcej dzieci, które przychodzą do szkoły lepiej przygotowane. Dla których szkoła nie zaczynałaby się od traumy. To bardzo konkretna i ogromna korzyść społeczna. Oczywiście można mówić też szerzej: o procesach, dzięki którym rośnie umiejętność współpracy, rosną kompetencje innowacyjne. Polska ma bardzo duże ambicje w tym obszarze. Myślę, że tutaj wiele mogłoby się zmienić. Ale ta rozmowa jest trudna, bo, jak powiedziałam, nie mamy dziś w Polsce takich prognostycznych wyliczeń. Inne kraje to robią. Jako fundacja marzymy o tym, żeby mieć środki na takie prognozy i policzyć to także w Polsce.

Co z pomysłem Fundacji dotyczącym książki na receptę? Czy pediatra może dziś być sojusznikiem czytania?
Pediatrzy już są naszymi sprzymierzeńcami. W tym roku w nowym wydaniu podręcznika do pediatrii, wydawanym przez Medycynę Praktyczną, a to podręcznik, z którego szeroko korzystają pediatrzy w Polsce, zostaje dodany rozdział poświęcony badaniom pokazującym, jak bardzo dzieci od urodzenia potrzebują czytania i rozmowy. W tym samym rozdziale opisano, jak rekomendacje dotyczące czytania można wprowadzić do każdej wizyty w gabinecie, czyli do standardów pediatrycznych. To oznacza, że pediatrzy stają się naszymi sprzymierzeńcami systemowo. Nie chodzi już o to, że jeden, dwóch czy pięciu lekarzy będzie to robić z własnego przekonania. Chodzi o zmianę, która z czasem wejdzie w krwiobieg. Następne pokolenie pediatrów będzie miało tę wiedzę w swoim wykształceniu. Będzie postrzegało rozmowę, czytanie i dzielenie się książką z dzieckiem jako część medycyny. Ogromnie się z tego cieszymy. Do tej pory współpracują z nami już setki pediatrów w Polsce, ale to są ludzie, którzy nie uczyli się tego na studiach. Uczono ich o tym, że ważny jest ruch fizyczny, warzywa, witaminy, obok całej gigantycznej wiedzy pediatrycznej. Natomiast rozmowa o książkach, wspólnym czytaniu, dzieleniu się książkami od najwcześniejszych miesięcy życia, to w Polsce novum. I nie tylko w Polsce. W wielu krajach pediatrzy stają się dziś bardzo ważnymi sprzymierzeńcami czytania.

Konferencja stawia pytanie o wsparcie rodziców i opiekunów, jako tych, którzy kształtują młode umysły. Jakiego wsparcia potrzebują tu rodzice?
Przede wszystkim informacji. Kiedy rodzi się dziecko, wielu rodziców uczestniczy w szkołach rodzenia. Potem pojawiają się neonatolodzy, pediatrzy. I właśnie tam mogłoby pojawić się bardzo ważne wsparcie: jasna informacja, dlaczego rozmowa, obecność i książka są tak ważne od samego początku. Bo jeśli nam w dzieciństwie czytano, jeśli mieliśmy książki w domu i było to naturalne, jest duża szansa, że będziemy czytać własnemu dziecku. Albo wystarczy, że ktoś nam o tym przypomni, i to wróci. Ale w Polsce, podobnie jak w wielu społecznościach w Europie, jest część ludzi, która takiego doświadczenia nie ma. Są rodzice oczekujący dziecka, którym nikt w dzieciństwie nie czytał. Oni mogą po prostu nie mieć takiego pomysłu. Dlatego rodzice potrzebują informacji: kiedy dziecko się rodzi, jego mózg jest neuroplastyczny. Żeby mógł się rozwijać, żeby wydobyć z niego cały potencjał, potrzebna jest obecność, rozmowa pełna bogactwa językowego i czas. Na początku trzeba się z dzieckiem książkami bawić: pokazywać obrazki, dawać książkę do ręki, pozwalać, żeby dziecko samo doświadczało kontaktu z książką. Warto szybko wciągać je w interakcję. A potem przychodzi czas na opowieści. To jest informacja, której część rodziców po prostu nie ma. Drugi element to sprawdzone na świecie programy, które zachęcają rodziców, by zaczęli bawić się książką w domu. Anglicy mówią: sharing books, czyli dzielenie się książką. Na wczesnym etapie rozwoju dziecka często unikają nawet słowa reading – czytanie, bo nie chodzi o to, żeby posadzić niemowlaka i czytać mu długi tekst. Chodzi o interakcję, wspólne skupienie. Jeden z profesorów pediatrii używa określenia: niespieszny czas. To dobrze oddaje sens tej praktyki. Chodzi o bycie bez pośpiechu, koncentrację, budowanie w dziecku poczucia: rodzic poświęcił mi czas, jestem ważny. Drugim bardzo ważnym elementem są programy, w których rodzic przychodzący do pediatry usłyszy o korzyściach płynących z rozmowy i czytania z dzieckiem, i po prostu dostanie książkę w przychodni. Tym właśnie jest książka na receptę. Wysyłamy bezpłatnie książki do przychodni. Tam, gdzie lekarze potwierdzą, że są gotowi je rozdawać, mogą połączyć przekazanie książki z krótkim komentarzem. Chcemy zaprosić do czytania przede wszystkim tych ludzi, którzy sami takiego doświadczenia nie mieli. Tych, którym z takiego czy innego powodu rodzice nie czytali. Prawdopodobnie część z nich należy dziś do grupy około 30 procent polskiej populacji, która nie ma w domu żadnej książki. Jeśli więc ma się wydarzyć sytuacja, o którą zabiegamy, książka musi znaleźć się w ręku rodzica. Międzynarodowe organizacje, takie jak brytyjski BookTrust, szkocki Scottish Book Trust czy włoskie Nati per Leggere, od dawna pokazują w swoich ewaluacjach, że samo mówienie: „Czytajcie dzieciom”, bez doprowadzenia do tego, żeby książka była w zasięgu ręki rodzica, daje dużo słabsze efekty. Bo inaczej pojawia się kolejna bariera. Powiedzieliśmy rodzicom, że to ważne, ale mama czy tata wraca do domu zabiegany, trochę zapomina, trochę nie ma czasu iść do księgarni, trochę nie wie, co właściwie miałby kupić takiemu małemu dziecku. I po prostu nic się nie wydarza. Jeśli damy rodzicowi książkę, sytuacja się zmienia. On nadal wraca do domu zmęczony, zabiegany. Ale książka wyjęta z torby staje się przypomnieniem tego, co powiedział lekarz. I wtedy dajemy sobie nieporównanie większą szansę na to, że rodzic naprawdę zacznie się tą książką z dzieckiem bawić.

CV

FOT. MAT. PRAS.

Maria Deskur
Wydawczyni, ekspertka w dziedzinie upowszechniania czytelnictwa oraz prezeska Fundacji Powszechnego Czytania. Współzałożycielka wydawnictwa Muchomor, inicjatorka serii „Czytam sobie” oraz cyklu o Basi. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, Sorbony oraz Université Lumière w Lyonie.

eprasa.pl 1550608d64

Polska
Piątek–niedziela, 8–10.05.2026

GEN. KRASZEWSKI: DRONY NIE ZASTĄPIĄ HAUBIC I WYRZUTNI. MUSIMY BUDOWAĆ CAŁY SYSTEM WALKI

– Drony są uzupełnieniem środków walki. W określonych sytuacjach tworzą dogodne warunki do prowadzenia innych działań, ale na pewno nie zastępują klasycznych systemów rażenia. Nie słyszałem jeszcze, żeby komuś udało się strącić pocisk artyleryjski na torze lotu, a drona jednak można strącić. Wiem, że haubice, wyrzutnie i tego typu systemy są droższe, ale przez wiele lat pozostaną niezbędnym elementem współczesnego pola walki – mówi gen. Jarosław Kraszewski

Anita Czupryn

Premier ogłosił w Rzeszowie projekt polskiej armady dronowej, budowanej z wykorzystaniem ukraińskich doświadczeń. Co powinno być w takim projekcie najważniejsze? Liczba dronów, czy to, że to będzie krajowa produkcja, czy coś innego?

Chodzi o to, żeby ta armada była rozwiązaniem systemowym i wieloaspektowym. To nie mogą być wyłącznie drony powietrzne. Musimy myśleć także o dronach lądowych i morskich, o systemach antydronowych, ale również o systemach zarządzania przestrzenią powietrzną. Bo jeżeli taka armada ruszy bez właściwego systemu koordynacji, to przeciwnik nie będzie nam już potrzebny.

Polska powinna kupować gotowe systemy czy budować własny ekosystem?

Mamy naprawdę bardzo dobre rozwiązania. W dużej części są one dziś w rękach prywatnych firm. Dlatego trzeba jak najszybciej doprowadzić do ich konsolidacji z Polską Grupą Zbrojeniową. Te rozwiązania były testowane w ubiegłym roku podczas ćwiczenia „Żelazny Wojownik", a teraz są w kolejnej fazie, związanej z programem Tarcza Wschód. Naprawdę nie mamy się czego wstydzić. Nie możemy jednak patrzeć z hurraoptymizmem wyłącznie na rozwiązania ukraińskie. Część z nich to rozwiązania wojenne, czasem wręcz garażowe. Na Ukrainie sprzęt, który jest potrzebny na froncie, trafia do walki bardzo szybko, często już na niższym poziomie gotowości technologicznej. W Polsce sprzęt, który ma być używany przez wojsko, musi spełniać znacznie bardziej rygorystyczne wymagania, często oczekuje się poziomu TRL 9, czyli technologii gotowej do wdrożenia.
Na Ukrainie w warunkach wojny dopuszcza się rozwiązania na wcześniejszym etapie, bo są potrzebne natychmiast. Kluczem do sukcesu jest to, żebyśmy nie patrzyli na prywatne firmy jak na zbędny dodatek. Tam naprawdę są bardzo dobre rozwiązania. Od Ukraińców natomiast musimy, podkreślam to z całą stanowczością, czerpać przede wszystkim doświadczenie dotyczące tego, jak te systemy wykorzystuje się w walce. Dziś wszyscy koncentrujemy się na małych dronach, zwłaszcza typu FPV. One są oczywiście potrzebne, ale są też większe bezzałogowce i od nich również trzeba zaczynać budowanie całego systemu. Nie wolno nam skupić się tylko na jednym typie sprzętu. Powtórzę: to musi być ekosystem wielowarstwowy i wielokonstrukcyjny. Jeżeli skoncentrujemy się wyłącznie na jednym rozwiązaniu, popełnimy poważny, kardynalny błąd.

No właśnie, w Ukrainie wojskowe innowacje często rodzą się na styku żołnierz – inżynier – mała firma. Ukraińcy potrafią sprzęt dronowy zmieniać co kilka tygodni. Polski system zakupów wojskowych potrafi działać w takim tempie?

Pani redaktor, absolutnie tak – ten sprzęt zmienia się bardzo szybko. Technika dronowa może nie rozwija się jeszcze w takim tempie jak technika komputerowa, ale proszę mi wierzyć: zmiany następują błyskawicznie. Współpracuję z Ukraińcami, bo kieruję firmą dronową i tworzymy własne systemy. W rozmowach Ukraińcy sami podkreślają, że ciągle pojawia się coś nowego. Rosjanie przecież nie śpią. Oni też bardzo szybko się uczą, przechwytują ukraiński sprzęt, rozbierają go i na zasadzie inżynierii odwrotnej sprawdzają, jak działa dany system. Dobrym przykładem są rosyjskie drony typu Shahed, zwłaszcza te lecące na przedzie ugrupowania. Według informacji z pola walki część z nich jest wyposażana w miniaturowe systemy zakłócające oraz urządzenia detekcyjne. Jeżeli taki system wykryje obiekt w bezpośredniej bliskości, może na kilka sekund aktywować zakłócanie, żeby nie doszło do kolizji, zniszczenia albo uszkodzenia drona. To pokazuje, że wojna wymusza stały postęp technologiczny. Nie możemy czekać, aż ten postęp zwolni, bo nie wiemy, kiedy i czy w ogóle zwolni. Zrobiliśmy już pewne kroki. Powstał Inspektorat Wojsk Bezzałogowych Systemów Uzbrojenia, ale to za mało. Potrzebna jest rada albo komisja, która stale łączyłaby świat nauki, wojsko i przemysł. Nie może spotykać się od czasu do czasu, tylko regularnie. Wtedy unikniemy sytuacji, w której coś przeoczymy albo coś nas ominie. Rekomendacje powinny być przygotowywane szybko, a na ich podstawie wojsko powinno szybko kupować. Tym bardziej że w przypadku prostszych dronów nie mówimy o wydatkach porównywalnych z zakupem HIMARSów, armatohaubic Krab, czołgów K2, K9, Leopardów czy Abramsów. To są rozwiązania zdecydowanie tańsze. Pytanie, kto miałby je kupować: Agencja Uzbrojenia czy inny podmiot wskazany przez ministra obrony narodowej. Można też rozważyć model, w którym dowódcy kupowaliby część systemów samodzielnie. To nie jest głupi pomysł, pod warunkiem że odbywałoby się to na podstawie jasnych rekomendacji. Bo jeżeli każdy kupi coś innego, to później nawet wewnątrz jednej jednostki bardzo trudno będzie to zintegrować.

Czy nie grozi nam to, że armada dronowa bardziej będzie się budować na konferencjach niż w jednostkach wojskowych? Po czym poznamy, że ten projekt naprawdę działa?

Po czym poznamy? Na poligonach. Konferencje konferencjami. Mam do nich ambiwalentne podejście z prostego powodu: decydenci, jeżeli już pojawiają się na takich wydarzeniach, to najczęściej na początku. Są witani, proszeni o wygłoszenie przemówienia, a potem znikają. Konferencja toczy się dalej, ale często bez sensu z punktu widzenia decyzji, bo oni nie słyszą tego, co później zostaje tam powiedziane. Dlatego potrzebne jest ciało, rada albo komisja, która analizowałaby pojawiające się rozwiązania i składała rekomendacje. Bo nie wszystko, co nowe, czy na Ukrainie, czy gdziekolwiek indziej, jest od razu rozwiązaniem, które musimy natychmiast mieć.
W Polsce jest dziś bardzo dużo ciekawych projektów. Problem polega na tym, że sektor prywatny nie ma właściwego umocowania. Od pewnego czasu powtarzam, że mamy Ministerstwo Aktywów Państwowych, czyli w praktyce ministerstwo spółek Skarbu Państwa, a powinniśmy mieć Ministerstwo Aktywów Państwa. Bo aktywem państwa są także prywatne firmy, ich technologie, kompetencje i ludzie. Dziś sektor prywatny jest w dużej mierze pozostawiony sam sobie. Nie ma nad nim żadnej realnej kurateli państwa, żadnego sensownego systemu wsparcia. Więc do kogo taka firma ma pójść po finansowanie? A jeśli już człowiek gdzieś się doczołga, zapuka do właściwych drzwi, to procedura walidacji trwa miesiącami. Żaden startup tego nie wytrzyma.

Unia Europejska uruchamia SAFE, czyli preferencyjne finansowanie inwestycji obronnych. Polska ma dostać duże środki na obronność, ale co powinno być priorytetem: obrona powietrzna, amunicja, drony, cyberbezpieczeństwo?

Cyberbezpieczeństwo na pewno tak. Amunicja, zwłaszcza ta dużego kalibru, również. Od artylerii, haubic i wyrzutni rakietowych jeszcze długo nie odejdziemy, bo one są potrzebne. Nie wyobrażajmy sobie, że drony zastąpią armaty, haubice i wyrzutnie rakietowe. One są uzupełnieniem środków walki. W określonych sytuacjach tworzą dogodne warunki do prowadzenia innych działań, ale na pewno nie zastępują klasycznych systemów rażenia. Nie słyszałem jeszcze, żeby komuś udało się strącić pocisk artyleryjski na torze lotu, a drona jednak można strącić. Wiem, że haubice, wyrzutnie i tego typu systemy są droższe, ale przez wiele lat pozostaną niezbędnym elementem współczesnego pola walki. Wracając do meritum: musimy zachować równowagę. Potrzebne jest ciało, które będzie rekomendowało Ministerstwu Obrony Narodowej konkretne kierunki działania. Nie wiem, czy powinna to być istniejąca Rada Modernizacji Technicznej, czy nowe ciało powołane przy ministerstwie. Ważne, żeby było to ciało eksperckie, złożone z przedstawicieli nauki, wojska i przemysłu. SAFE ma swoje priorytety, ale problem polega na tym, że firmy często nie wiedzą, jakie one są i kto ma szansę z nich skorzystać. Być może wie to wąska grupa ludzi, ale z perspektywy wielu przedsiębiorców ta wiedza nie jest dostępna. Firma nie wie, czy się kwalifikuje, czy nie. Ja takiej wiedzy nie mam.

Jaki rodzaj myślenia dominuje dziś w polskich zakupach obronnych? Kupujemy najnowocześniejsze platformy, czy budujemy system, który ma przetrwać pierwszy miesiąc wojny?

Sprzęt wojskowy kupuje się na lata. Zwłaszcza ten drogi sprzęt nie jest kupowany tak jak samochód. Kiedyś samochód też kupowało się na lata, ale dziś uwarunkowania są inne. Użytkownik często wymienia auto po trzech, pięciu latach. W przypadku sił zbrojnych mówimy o perspektywie około trzydziestu lat. Na tyle kupuje się sprzęt wojskowy. Dlatego musimy bardzo dobrze analizować rynek. Biura konstrukcyjne w polskich zakładach przemysłu obronnego powinny tak ukierunkowywać prace badawczo-rozwojowe, żeby powstawał sprzęt odpowiadający konkretnym potrzebom wojska. Ale trzeba też mieć świadomość, że takiego sprzętu nie buduje się w ciągu roku. To się po prostu nie da. Są testy zakładowe, są testy kwalifikacyjne, a potem sprzęt musi trafić do użytkownika. Żołnierz musi go dostać do ręki, sprawdzić, przećwiczyć, w cudzysłowie – musi się nim pobawić. Dopiero wtedy może powiedzieć producentowi: to trzeba poprawić, to zmienić, to usunąć, a to zaprojektować inaczej. Nawet naj-

eprasa.pl 1550608d64

bardziej zdolny konstruktor czy inżynier nie stworzy od razu sprzętu idealnego dla żołnierza. Nie będzie tak, że do pojazdu czy systemu wsiądzie doświadczony, dobrze wyszkolony żołnierz i natychmiast powie: „Tak, to jest dokładnie to, na co czekałem". Może słowo „nigdy" byłoby przesadą, ale żeby to było możliwe, zakłady musiałyby mieć specjalne komórki złożone z byłych żołnierzy, z ludzi, którzy odeszli już ze służby na emeryturę, ale mają ogromne doświadczenie praktyczne. Kilku, może kilkunastu takich specjalistów powinno stale współpracować z konstruktorami, testować rozwiązania, sprawdzać je w praktyce i wskazywać, co trzeba natychmiast zmienić. Niestety w naszym państwowym przemyśle zbrojeniowym takiego modelu wciąż brakuje.

FOT. PAP/ALBERT ZAWADA

Gen. Kraszewski: Nie wszystko, co nowe, czy na Ukrainie, czy gdziekolwiek indziej, jest od razu rozwiązaniem, które musimy natychmiast mieć

Jak uniknąć sytuacji, w której kupujemy drogi, efektowny sprzęt, ale potem brakuje amunicji, części zamiennych, operatorów albo osłony przed dronami? Da się to zrobić?
Da się. Trzeba tylko myśleć o całym systemie, a nie wyłącznie o zakupie platformy. Jeżeli kupujemy czołg, haubicę czy wyrzutnię rakietową, to jeszcze przed podpisaniem kontraktu powinniśmy bardzo dokładnie oszacować, ile czasu potrzebujemy w Polsce, żeby dostosować produkcję amunicji do nowych wymagań. Bo samo kupienie sprzętu nie rozwiązuje problemu. Przykład? Wprowadzając Kraba, przeszliśmy na NATO-wski kaliber 155 mm. Bardzo dobrze, że to zrobiliśmy. Tyle że przemysł za tym nie nadążył. I teraz można oczywiście pytać, czy to była wina przemysłu. Ja rozumiem, że przemysł nie nadążył, bo nie dostał odpowiednio wcześnie jasnych wytycznych i decyzji. To powinno iść równolegle. Ktoś powinien o to zadbać, ktoś powinien za to zapłacić. Nie czarujmy się: nikt nie odda nam technologii za darmo. Za technologię płaci się ciężkie pieniądze. Licencje kosztują bardzo dużo, czasem jedną trzecią, a czasem nawet połowę wartości kontraktu. Jeżeli chcemy mieć własne zdolności, musimy się z tym liczyć. Polskie ośrodki badawczo-naukowe, także wojskowe, powinny natychmiast przystępować do opracowywania nowych typów amunicji. Równolegle powinna być zamawiana albo tworzona linia produkcyjna. Jeżeli tak się nie dzieje, mamy potem sytuację, że trwa piąty rok wojny w Ukrainie, a my nadal nie mamy w pełni rozwiniętej fabryki nowoczesnej amunicji artyleryjskiej. Na szczęście MESKO robi wszystko, żeby jak najszybciej uruchomić taką narodową produkcję. Powinna ona być zdecentralizowana, rozłożona w kilku miejscach. Nie ma znaczenia, gdzie dokładnie i takich informacji nie powinno się podawać do wiadomości publicznej. Jeżeli osiągniemy duże zdolności produkcji nowoczesnej amunicji artyleryjskiej, trzeba będzie zrobić to samo dla systemów HIMARS oraz Homar-K, czyli polskiej wersji koreańskiego K239 Chunmoo. Tu coś się już dzieje. Grupa WB razem z Hanwha Aerospace podpisała stosowne umowy i ten proces zaczyna się materializować, ale to jest perspektywa najbliższych lat. Moim zdaniem minimum dwa lata, zanim cokolwiek z tego wyjdzie. Nie wiem natomiast, co dzieje się z produkcją rakiet do HIMARS-ów, na przykład ATACMS albo nowszych pocisków, których Amerykanie nam dotąd nie przekazali. A to są rzeczy kluczowe. Musimy je mieć.

Co będzie prawdziwym testem dla pieniędzy z SAFE? Czy to, ile z nich zostanie w polskim przemyśle?
To, ile zostanie w polskim przemyśle, zależy od wydolności polskiego przemysłu zbrojeniowego. Jeżeli ktoś jest niewydolny, nie powinien podpisywać umów wykonawczych, bo później zapłaci potężne kary i postawi całe państwo w kłopotliwej sytuacji. Ci, którzy o tym decydują, powinni bardzo skrupulatnie analizować realne możliwości wykonawców. Mam nadzieję, że to już zostało sprawdzone. Nie można zakładać, że firma zatrudniająca trzy osoby będzie produkowała 15 tysięcy dronów miesięcznie. To jest po prostu niemożliwe.

Czyli dziś od pytania, co kupić, ważniejsze jest pytanie, czy będziemy umieli to produkować, naprawiać i zastępować straty?
Tak, bo nie będziemy w stanie wszystkiego wyprodukować od razu w takiej ilości, jakiej potrzebujemy. SAFE jest skonstruowany w określony sposób, a my straciliśmy dużo czasu. Z tego, co rozumiem, kluczowe będą podpisane umowy wykonawcze. Na tyle, ile Ministerstwo Obrony Narodowej zakontraktuje, tyle środków będziemy mogli realnie wykorzystać. To absolutnie nie oznacza, że cała kwota prawie 44 miliardów euro automatycznie popłynie do Polski. Im mniej zamówień podpiszemy z polskim przemysłem, tym więcej będziemy musieli kupować na zewnątrz. Uważam, że byłby to, delikatnie mówiąc, błąd. Bo idea SAFE polega nie tylko na przyspieszeniu uzupełniania uzbrojenia w państwach członkowskich, ale także na zdynamizowaniu, a właściwie reaktywacji europejskiego przemysłu obronnego. Jeżeli nie zreaktywujemy polskiego przemysłu zbrojeniowego, będziemy musieli kupować za granicą. Wtedy proporcja, o której dziś się mówi, że mniej więcej 70-80 procent w kraju i 20-30 procent na zewnątrz - może się zmienić. Nie wiem, czy Unia Europejska na to pozwoli. Jeżeli nie, pieniądze mogą wrócić do wspólnej puli i skorzysta z nich ktoś inny. Tak mi się wydaje. Nie powinniśmy też podpisywać umów, które już w momencie podpisania wyglądają na nierealne. Bo wykonawca, który dostanie takie finansowanie, może później wydać te pieniądze nie na produkcję, ale na kary umowne. Będzie musiał się dodatkowo zadłużyć albo po prostu zbankrutuje. To byłoby bez sensu. Do tego nie możemy doprowadzić. Straciliśmy za dużo czasu, zupełnie niepotrzebnie. A dziś czas jest naszym największym przeciwnikiem, większym nawet niż Rosja. Kiedy czasu jest coraz mniej, rośnie ryzyko błędów. Wiadomo: jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy.

Ukraińskie drony uderzają dziś w cele oddalone nawet o 1700 kilometrów. Jak pan na to patrzy?
Sprecyzowałbym: drony będące w posiadaniu Ukrainy uderzają w takie cele. Bo nikt nie wie dokładnie, czy dany dron został wyprodukowany przez Ukrainę, czy tylko znajduje się w jej arsenale. Oczywiście Ukraińcy byli i nadal są bardzo dobrzy w technologiach rakietowych. Mają ogromną wiedzę na temat silników rakietowych i systemów dalekiego zasięgu. Nie twierdzę, że nie mogli tego zrobić sami. Przeciwnie, mają do tego kompetencje. Ale wracam do tematu, o którym już mówiłem: w prywatnym sektorze polskiego przemysłu obronnego również istnieją takie rozwiązania. Sam deklarowałem, że mamy system przetestowany na dystansie 1260 kilometrów. Tylko ktoś musi się tym zainteresować. Teraz opracowaliśmy i kończymy testy kolejnego rozwiązania. Nazywamy je Hedy. To dron przechwytujący, który lata z prędkością około 800 kilometrów na godzinę. Za chwilę będziemy próbowali pobić rekord Guinnessa; chcemy przekroczyć barierę 840 kilometrów na godzinę. To są małe drony, ale 150 gramów heksogenu w głowicy w zupełności wystarczy. Zresztą z naszych testów wynika, że przy takich prędkościach nawet samo uderzenie kinetyczne w Shaheda może wyrządzić mu takie uszkodzenia, że Shahed nie wykona misji. Te drony naprowadzają się autonomicznie. Mają bibliotekę celów i urządzenia optoelektroniczne, które w milisekundach porównują obraz z wgranym modelem 3D Shaheda albo innego bezzałogowca. Potem lecą na cel samodzielnie. Ich czas lotu, wynikający ze stanu baterii, to około siedem-dziewięć minut. I to w zupełności wystarczy. System jest spięty z radarem, także naszej produkcji, który pokazuje, skąd nadlatują Shahedy, w jakim kierunku lecą, na jakim pułapie i z jaką prędkością. Całość jest bardzo prosta w obsłudze i nie wymaga długiego, specjalistycznego szkolenia. Zakończymy testy i zaraz zaproponujemy ten system wojsku.

Rosja ogranicza paradę 9 maja i rezygnuje z pokazu ciężkiego sprzętu. To dowód na to, że Putin boi się ukraińskich dronów? Gdyby Ukraina chciała zakłócić paradę w Moskwie, miałaby dziś takie zdolności?
Tak, Ukraina ma dziś zdolności do prowadzenia uderzeń dalekiego zasięgu. Ale ja uważam, że Rosja ogranicza paradę także z innego powodu: nie ma czego pokazać. To jest klęska wizerunkowa armii, która przez lata uchodziła za potężną. To, co najnowsze, w dużej części zostało już zniszczone albo jest potrzebne na froncie. Przypomnijmy choćby słynny czołg T-14 Armata, który swego czasu nie był w stanie o własnych siłach zjechać z Placu Czerwonego podczas próby defilady. Pokazywanie przestarzałego sprzętu mogłoby doprowadzić do kompromitacji wizerunkowej i administracji prezydenta Putina, i rosyjskich sił zbrojnych.

Ale trochę jednak wygląda to tak, jakby Putin musiał chować czołgi przed ukraińskimi dronami. Nie myśli pan?
Nie wiem, czy to jest główny powód. Spójrzmy na dotychczasowe próby ukraińskich ataków na Moskwę. Nie wszystkie były skuteczne, a jeśli już przynosiły efekt, to raczej na obrzeżach. Nie przypominam sobie, żeby dron zbliżył się na bardzo małą odległość do Placu Czerwonego czy do miejsc, w których zasiada większość rosyjskich decydentów. Rosjanie dobrze zabezpieczają stolicę. Są też dobrzy w walce elektronicznej. Oczywiście nie da się zabezpieczyć wszystkiego, bo, jak już mówiłem, postęp technologiczny stale wymusza nowe sposoby naprowadzania, nowe metody i nowe urządzenia. Dlatego drony potrafią dziś dolecieć do celu oddalonego o 1200 czy 1700 kilometrów. To ogromna odległość. Ale trzeba też pamiętać, że taki dystans oznacza długi czas lotu. A to daje stronie atakowanej czas na reakcję i próbę niedopuszczenia do uderzenia. Dlatego bardziej skłaniam się ku tezie, że Rosjanie naprawdę nie mają dziś czego pokazać. Parada wojskowa jest przecież po to, żeby zaprezentować nowoczesność armii. U nas również służy temu, żeby społeczeństwo zobaczyło, na co idą pieniądze, że to nie jest rozdawnictwo, ale inwestycja w określony cel. Rosjanie także doskonale to rozumieli. Byliśmy w szoku, bo mówiono o kwotach dziesięć razy większych niż nasze. Tyle że w ich przypadku ogromne środki deklarowane przez Putina na modernizację armii w dużej mierze rozeszły się po oligarchach.

CV

FOT. MAT. PRAS.

Jarosław Kraszewski
Generał brygady Wojska Polskiego, doktor nauk wojskowych, były dyrektor Departamentu Zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego.

eprasa.pl 1550608d64

DZWONI PAPUGA, CZYLI PRZYPADKI MECENASA KOZANECKIEGO

Znany łódzki adwokat Paweł Kozanecki ścigany listem gończym! To największy skandal w dziejach łódzkiej palestry

Wiesław Pierzchała

Wsławił się szokującą frazą „trumna na kółkach", ale teraz znów jest o nim głośno w całej Polsce. I nie jest to sława, której najbardziej by pragnął.

Ostatnio mecenas Kozanecki kroczy od katastrofy do katastrofy. Ich skala poraża i zdumiewa. Bo czy to normalne, aby szanujący się adwokat miał na koncie zarzuty prokuratorskie i sprawy karne w sądach? A tak jest w przypadku prawnika od „trumny na kółkach", któremu śledczy zarzucili ujawnienie tajemnic śledztwa oraz pomoc dilerom w ukryciu narkotyków przed „nalotem" policji.

Nic więc dziwnego, że łódzcy adwokaci są wstrząśnięci i zmieszani, zaś stróże prawa robią wszystko, aby pochwycić prawnika. Chodzi o to, że przyszli do niego w celu osadzenia za kratami, ale go nie zastali. Adwokat zniknął jak kamfora. Dlatego Sąd Rejonowy w Olsztynie wystawił za nim list gończy i polecił policji schwytanie ściganego. Zajęli się tym stróże prawa Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi, zaś Paweł K. znów stał się Pawłem Kozaneckim.

Śmierć kobiet jadących... „trumną na kółkach"

Jego fatalna passa zaczęła się w niedzielę 26 września 2021 roku na drodze między Barczewem a Jezioranami pod Olsztynem. Według prokuratury kierowany przez prawnika mercedes zjechał na drugi pas jezdni i zderzył się czołowo z audi. Skutki były straszliwe. Dwie jadące audi kobiety w wieku 53 i 67 lat zginęły na miejscu. Okazało się, że Paweł Kozanecki, który był trzeźwy, wracał z żoną i dzieckiem z wesela znanej influencerki Martyny Kaczmarek.

Prokuratura zarzuciła mu spowodowanie wypadku drogowego, w którym zginęły dwie kobiety jadące - według prawnika - „trumną na kółkach". Sprawa trafiła do Sądu Rejonowego w Olsztynie, który skazał go na dwa lata więzienia oraz 5-letni zakaz kierowania pojazdami mechanicznymi. Wyrok nie był prawomocny i obrońcy skazanego, którzy domagali się jego uniewinnienia, złożyli apelację.

Stąd proces odwoławczy w Sądzie Okręgowym w Olsztynie, który obniżył karę główną do 1,5 roku pozbawienia wolności. A to dlatego, że uznał, iż oskarżony spowodował tragiczny wypadek nieumyślnie, a nie - jak stwierdził sąd niższej instancji - umyślnie.

Pogrzebane marzenia o dozorze elektronicznym

A właśnie półtora roku pozbawienia wolności to maksymalna kara, do której można ubiegać się o jej odbycie w trybie dozoru elektronicznego. W praktyce wyglądałoby to tak, że prawnik mógłby odbywać karę w swoim domu zaopatrzony w bransoletę elektroniczną, czyli nadajnik informujący służby nadzorcze o miejscu jego przebywania.

Być może właśnie ta kwestia stała się przyczyną tajemniczego zniknięcia adwokata, który nagle znalazł się między młotem a kowadłem. Z jednej strony sąd nie podjął jeszcze decyzji o „bransoletach", a z drugiej przyszła pora stawienia się w zakładzie karnym. Stąd zapewne decyzja o czmychnięciu i zaszyciu się w jakimś zakątku.

W ten sposób ścigany teraz listem gończym mecenas Kozanecki popełnił błąd i to dużego kalibru. Wcześniej czy później zostanie wytropiony i zatrzymany albo sam zgłosi się na policję, a wtedy raczej nie będzie miał żadnych szans na dozór elektroniczny i trafi prosto do więzienia.

Na tym sprawa tragedii pod Olsztynem nie skończyła się, bowiem prawnik skomentował ją w sposób iście kuriozalny. Z jego wypowiedzi wynikało, że kobiety, które zginęły w wypadku, same sobie są winne, bowiem jechały „trumną na kółkach", czyli marnym samochodem. O frazie tej, która spotkała się z powszechnym potępieniem, stało się głośno w całej Polsce.

Na adwokata posypały się gromy, także ze strony prawników, którzy nie mogli mu darować, że swoją - mówiąc bardzo delikatnie - niefrasobliwą wypowiedzią popsuł wizerunek łódzkiej palestry. Nic więc dziwnego, że Paweł Kozanecki decyzją prawomocną Wyższego Sądu Dyscyplinarnego w Warszawie został zawieszony na dwa lata w pełnieniu czynności zawodowych, co dla adwokata jest karą wyjątkowo dotkliwą.

Zdradził tajemnice śledztwa?

To nie jedyna taka kara. Otóż prokuratura zarzuciła mu, że zdradził tajemnice śledztwa członkowi gangu fałszywych policjantów, za co wziął pieniądze. Sprawa trafiła do Sądu Rejonowego Łódź-Śródmieście, gdzie odbył się proces.

Podczas mów końcowych prokurator Wiesław Łatkowski z Prokuratury Okręgowej w Zielonej Górze nie miał wątpliwości, że mecenas Kozanecki jest winny. Opisał sytuację, jak Adrian M. zwrócił się do oskarżonego o pomoc. Miała ona polegać na tym, że prawnik zostanie obrońcą Wiktora K., członka gangu oszustów wyłudzających pieniądze metodą „na policjanta", który niedawno został zatrzymany i objęty śledztwem prokuratury. Jako obrońca Wiktora K. adwokat miał się dowiedzieć, czy nie „sypie" w śledztwie i czy nie mówi o swoich przełożonych w strukturach przestępczych. I tak się stało. W ten sposób Paweł Kozanecki miał uzyskać informacje ze śledztwa, które przekazał Adrianowi M., za co otrzymał 500 zł.

Efekt mów końcowych był taki, że prokurator Łatkowski zażądał dla prawnika kary dwóch lat więzienia, 20 tys. zł grzywny oraz 7-letniego zakazu uprawiania zawodu adwokata lub radcy prawnego. Dla odmiany broniący oskarżonego adwokat Władysław Marczewski wnioskował o uniewinnienie swego klienta.

FOT. GRZEGORZ GAŁĄSIŃSKI

Prokuratura wydała list gończy za mecenasem Pawłem Kozaneckim. Wyrok za spowodowanie śmiertelnego wypadku to nie jedyny jego problem

Wyrok nieprawomocny zapadł w październiku 2025 roku. Mecenas Kozanecki został skazany na rok i 10 miesięcy ograniczenia wolności, co oznacza, że w tym okresie będzie pracował społecznie w wymiarze 30 godzin na miesiąc. Ponadto został skazany na 3-letni zakaz wykonywania swego zawodu.

Pomógł dilerom ukryć narkotyki?

Na tym kłopoty Kozaneckiego nie kończą się, bowiem - według śledczych - jest zamieszany w kolejne przestępstwo. Chodzi o sprawę w kontekście „nalotu" policji na przestępców narkotykowych. Śledczy przypuszczają, że Paweł Kozanecki - działając wspólnie i w porozumieniu z żoną Pauliną, która też jest adwokatem - dowiedział się od informatora o spodziewanej akcji policji, w porę ostrzegł dwóch dilerów i pomógł im przenieść narkotyki - kokainę, mefedron i marihuanę - do innej kryjówki.

Dlatego oboje prawnicy w łódzkiej prokuraturze usłyszeli zarzuty pomocnictwa do udzielania substancji psychotropowych i odurzających. Ponadto stróże prawa podczas przeszukania ich mieszkania w Łodzi znaleźli 45 gramów marihuany. Stąd kolejne zarzuty. Prokurator zastosował wobec nich dozór policyjny i zakaz opuszczania Polski. Grozi im do 10 lat więzienia.

Śledztwo w tej sprawie - dla zachowania pełnej obiektywności i bezstronności - przeniesiono z Łodzi do Szczecina i niedawno - jak nas poinformowała prokurator Julia Szozda, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Szczecinie - przedłużono je do 27 maja br.

Dzwoni „papuga" i mówi, że musi się udać

Przypomnijmy, że Paweł Kozaneckie jako obrońca brał udział w wielu znanych procesach dotyczących m.in. motorniczego Piotra M., który 6 stycznia 2014 roku po pijanemu na ul. Piotrkowskiej w centrum Łodzi potrącił ze skutkiem śmiertelnym trzy kobiety. Ponadto bronił na procesie Marzeny B. i jej kochanka Mariusza S., którzy w Łowiczu w nocy z 26 na 27 listopada 2017 ogłuszyli paralizatorem i zamordowali męża oskarżonej - Mirona B.

Było o nim też głośno, ale z zupełnie innego powodu. Otóż jako rokujący wokalista na instagramie wykonał zawierający wulgaryzmy utwór znanego rapera Maty pt. „Papuga", w którym jako refren pojawia się fraza: - „Dzwoni „papuga" i mówi, że musi się udać". Wyjaśnijmy, że „papuga" to potoczne, niezbyt chwalebne określenie adwokata. Nie jest wykluczone, że także teraz, w ukryciu, nuci sobie ten song.

eprasa.pl 1550608d64

TU RODZĄ SIĘ PRZYSZLI ŁUKASIEWICZE

Jakie odgłosy wydaje żubr? – pyta opiekunka grupę wycieczkową kilkulatków. Cisza... Wreszcie z ust jednego z dzieciaków dobywa się: PSSSSSSS. Po czym zupełnie poważnie i z dumą chłopiec wyjaśnia, że tak się dzieje, kiedy tatuś otwiera butelkę z piwem

Andrzej Pięs

Podkarpackie Centrum Nauki „Łukasiewicz" działa w podrzeszowskiej Jasionce zaledwie trzy lata, a już obrosło podobnymi anegdotami. Bo też reakcje zwiedzających, dużych i małych, bywają zaskakujące. Reakcje na osiągnięcia nauki, z którymi na co dzień mają do czynienia, ale dotychczas nie wiedzieli, na jakiej zasadzie działają, na zjawiska fizyczne, z którymi nieraz się stykali, ale bez świadomości mechanizmów ich powstawania, na rzeczy oczywiste (dlaczego spływająca w umywalce woda wiruje w prawo, a nie w lewo). Zadziwień tu nie brakuje, toteż zgiełk na obu piętrach PCN dzieciarni taki, jak podczas długiej przerwy w podstawówce.

Ofiarą tej fascynacji padł właśnie żubr, który stoi w towarzystwie m.in. niedźwiedzia naturalnej wielkości i niewiele mniejszego krokodyla. Żubr miał kiedyś piękne rzęsy, dziś błyska wielkimi, smutnymi oczyma, bo rzęsy dzieciaki powyrywały sobie na pamiątkę.

Jednak to nie dział przyrodniczy jest hitem PCN. Najbardziej oblegany jest wielki, prostokąty stół, na którego blacie widnieje obrazkowa instrukcja obsługi budowy samolotu z kartki papieru. I kartki, z których można te samoloty budować, więc dzieciaki z zapamiętaniem budują i ruszają na pierwsze obloty swoich aeroplanów do tunelu aerodynamicznego. Dla współpracujących z dziećmi instruktorów PCN wciąż zadziwiające jest, że obecnie młodsza i starsza młodzież kiepsko radzi sobie z pracami manualnymi.

- Coś, co przed 30 - 40 laty potrafił każdy dzieciak w szkole, bez względu na płeć, dziś jest dla kilku-, kilkunastolatków doświadczeniem odkrywczym i absolutnie fascynującym - mówi jeden z instruktorów o czasach, kiedy takie samolociki fruwały stadami po klasach szkolnych.

Nie tylko dla nich, co potwierdza Maria Różycka-Dąbrowska, kierownik Zespołu Rozwoju i Współpracy PCN.

- Gościliśmy jakiś czas temu delegację samorządowców z Niemiec, a niektórzy byli w słusznym wieku - opowiada. - Nie sposób było ich od tej zabawy oderwać. Trzeba było dyskretnie przypominać, że delegacja ma swój program i harmonogram, że gospodarze na nich czekają, że są inne zaplanowane miejsca wizyt.

FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Hitem PCN „Łukasiewicz" jest symulator lotów, samolotowy kokpit, wolant, zegary, kontrolki i wszelkie takie urządzenia

FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Zgiełk dzieciarni na obu piętrach kompleksu taki, jak podczas długiej przerwy w podstawówce

Odlatujemy z „Łukasiewiczem"

Kilkunastoosobowa grupka przedszkolaków czeka karnie w kolejce do „bramki" lotniskowej. I detektora prześwietlającego bagaż. Kładą plecaczki na taśmę, detektor nie wariuje, bo niczego nagannego w nich nie dostrzega, ale pokazuje, jakie swoje skarby w środku dzieciak ukrywa. Spokój, dopóki nie podsunąć mu specjalnie przygotowanej walizeczki. Nagle ożywa, pobłyskuje alarmująco, dzieciaki przetrząsają walizkowe „kukułcze jajo", a kiedy jeden z nich wyciąga imitację pistoletu, z kilkuletnich gardeł dobywa się zbiorowe „łaaaaał!". Pewnego razu jedna z opiekunek takiej dziatwy odzyskała kolczyk, lata temu zgubiony. Wystarczyło, że przepuściła swoją torebkę przez skaner w „Łukasiewiczu".

Hitem jest symulator lotów, samolotowy kokpit, wolant, zegary, kontrolki i wszelkie inne takie urządzenia, jak w prawdziwym załogowcu, od Cesny, przez wielkie liniowce, po myśliwce wielozadaniowe. Ogromny ekran, na którym pilot widzi przed sobą i pod sobą świat, który napowietrznie przemierza, ruchoma podłoga kokpitu przechyla się w tył i przód. I na boki, kiedy prowadzony przez pilota statek powietrzny wznosi się, opada lub skręca. Ponoć ta zabawa do złudzenia przypomina wrażenia z rzeczywistego lotu, nienawykłym do akrobacji lotniczych błędnik szaleje. A w słuchawkach, podczas kołowania i startu, komendy z wieży kontroli lotów.

- Regularnie bywają tu czynni piloci, którzy chcą „na sucho" sobie poćwiczyć, regularnie pojawia się dwóch chłopców, którzy uparli się, że chcą zostać pilotami, więc już przygotowują się na symulatorze do kariery - opowiada Katarzyna Janda-Boczar, specjalista ds. marketingu PCN.

Na ekranie można wyświetlić sobie teren realny, polatać nad swoim domem, ulicą, tylko niektórzy uczniowie uparcie kończą lot uderzeniem w budynek swojej ukochanej szkoły. Przypadek?

Robale i pachnący kosmos

Fizyki tu mnóstwo, ale nie takiej szkolnej, z pozycji ławki i tablicy. Jest trochę optyki, więc młodzi ludzie (na ogół kilkunastolatkowie) zgłębiają tajemnice działania lustra weneckiego na zasadzie: widzę - nie widzę - (nie)jestem widziany i dlaczego tak się dzieje. W „sali kolorów" można przekonać się, że obraz oświetlany różnymi barwami może być różnymi obrazami.

Dwa wielkie, ustawione w odległości kilku metrów naprzeciwko siebie talerze też robią wrażenie. Wrażenie, że akustyka może być fascynująca. Siedzący twarzami do nich ludzie słyszą się, szepcząc do siebie zaledwie. I słyszą się wzajemnie doskonale w zgiełku dzieciarni, nie będąc słyszanymi przez innych.

Jest hydrostatyka, a w specjalnym urządzeniu można wywołać wir wodny, postrzelać z „hydrokarabinka". A zjawisk przyrodniczych też jest tu mnóstwo, tych żywych i tych nieożywionych. Blat z wizerunkiem eugleny zielonej ściąga tłumki dzieciarni, choć euglena w wydaniu szkolnych nie jest tak interesująca. A tu jest, tu można ją nawet polubić: „gdybym tu był przed klasówką..." - zwierzył się bardzo młody człowiek, zapatrzywszy się w euglenę.

- Tych najmłodszych najbardziej interesuje „pierwsze piętro", czyli przyroda i technologie kosmiczne - zapewnia pani Katarzyna. - Nastolatków interesuje dział związany z ciałem człowieka i - o dziwo - akustyka. Czasem do specjalnej kapsuły ustawia się kolejka, bo można się w niej „wydzierać" do woli i w dodatku bezkarnie.

A są jeszcze spec-pracownie. W biologicznej może być emocjonująco, kiedy otrzyma się do spreparowania karalucha madagaskarskiego, największego z karaczanów na Ziemi. Początkowy wstręt do cięcia owada przeradza się w szał krojenia i sprawdzania. Zabawa tylko dla dużych dzieci.

W pracowni chemicznej bywają dorośli, często wycieczki seniorów, jeszcze częściej pary.

- Nawet na randki tu się umawiają - zapewnia pani opiekująca się pracownią. - Pewnego razu pojawiła się grupa panów, by tu samodzielnie wykonać „fanty" dla swoich pań. Bo można tu samodzielnie skomponować perfumy, samodzielnie wykonać mydło z własną kompozycją zapachową. A zdarzyło się, że mężczyzna kupił bilet również dla swojej żony, nie przyznając się, dokąd zabiera ją na randkę z okazji 50. urodzin. Weszła do pracowni pełnej kwiatów i perfum. Była w szoku.

Dodaje, że nauka bywa tu międzypokoleniowa, jak wtedy, gdy w pracowni lab - tech dziadek z wnuczkiem budowali roboty (każdy swój), po czym urządzili między nimi zawody sprawnościowe.

- Często bywa, że przychodzą do nas ojcowie z dziećmi i jeśli po kilku godzinach dzieci już są nieco zmęczone zabawą w naukę i ciągną ojców do wyjścia, to ci opierają się, łapiąc dla siebie choćby jeszcze kilka chwil - opowiada pani Maria. - A bezcenne jest, że na kilka godzin jedni i drudzy odrywają się od smarfonów, wręcz o nich zapominają.

To więcej niż szkoła

Tu rodzą się przyszli Łukasiewicze - wynalazcy, konstruktorzy, odkrywcy. Tu już w kilkulatkach buduje się zainteresowanie: jak to działa i dlaczego, tu skłania się do szukania odpowiedzi i rozwiązań, a wszystko przez zabawę. Zresztą pytania „a dlaczego", „a jak", „a po co" padają tu nieustannie i od nich zaczyna się postęp naukowy.

Rzeszowskiemu „Łukasiewiczowi" daleko popularnością do warszawskiego „Kopernika", ale coraz częściej bywają w Jasionce mieszkańcy Małopolski, świętokrzyskiego i lubelskiego. Raz, że mają tu bliżej, dwa, że PCN ma coś, czego nie ma żaden inny taki ośrodek w kraju: sekcję kosmiczno-lotniczą.

eprasa.pl 1550608d64

Polska
Piątek–niedziela, 8–10.05.2026

TWOJA PIERWSZA KO..., TWOJA PIERWSZA KOMÓRKA!

Ten tytuł to nie wymysł, to fragment reklamy sprzed kilkunastu już lat, która wciąż pozostaje aktualna, choć komórkę jako prezent komunijny można zastąpić nowszym gadżetem: pierwszą hulajnogą, albo pierwszym dronem. Daleko zaszliśmy także w przyjęciach komunijnych, które w niczym nie przypominają skromnych domowych obiadów sprzed lat. Choć i wtedy bywały wyjątki

Anna Gronczewska

Dziesięcioletnia Nadia już nie może doczekać się ostatniej niedzieli maja. Tego dnia pójdzie do Pierwszej Komunii Świętej. Już zamówiła u chrzestnej tablet. Chrzestny ma jej kupić rower. Liczy, że babcie, dziadkowie i ciocie dadzą trochę pieniędzy. Może wtedy starczy jej na laptopa lub na konsolę? Sama nie ma wielkich wymagań. Ale niektórzy koledzy z jej klasy chwalą się, że dostaną w prezencie quady czy elektryczne hulajnogi.

Nadia i jej koleżanki nie pójdą do komunii w albach. Każda będzie miała piękną sukienkę.

- Ja mam już sukienkę, mama mi kupiła! - mówi dziewczynka. - Taką z falbankami. Mama ma mi też kupić buty na obcasiku i torebkę.

Kamilę Łuczak, mamę 9-letniej Weroniki, pierwsza komunia córki czeka za rok. Była na komunii kuzynów i przeraziła ją rewia mody, którą zobaczyła w kościele.

– Dziewczynki wyglądały jak małe księżniczki lub panny młode, zamiast wianka powinny mieć welony, a niektóre były ubrane w suknie z fiszbinami - wspomina nie bez oburzenia.

W różowej sukience

Stroje, w jakich dzieci przystępują do pierwszej komunii od lat budzą emocje. W Polsce jeszcze przed wojną dziewczynki chodziły do komunii w białych sukienkach, a chłopcy w ciemnych garniturach. Z czasem pierwszokomunijne ubiory stały się coraz bardziej strojne. Dziewczynki pojawiały się w kościele w wymyślnych kreacjach. Granatowe garnitury chłopców zastąpiły popielate, białe, a nawet zielone. W jednej z podłódzkich parafii rodzice tak chcieli wyróżnić swoją córkę, że ubrali ją do komunii w różową sukienkę.

Monika Gawrońska z Łodzi, mama Oliwii, która była w tamtym roku u komunii, nie chciała się zgodzić, by jej córka założyła albę. Tłumaczy, że zawsze marzyła, by jej córka w tym wyjątkowym dniu wystąpiła w białej sukience z falbanami. I jej marzenie się spełniło...

– Gdy nie ma alb, od razu widać, które dziecko jest biedniejsze, a które bogate – przekonuje z kolei Kamila Łuczak. – Dlatego najlepiej gdy wszystkie dzieci idą do komunii w albach.

Pani Basia, właścicielka jednego ze sklepów oferującego w internecie między innymi sukienki komunijne, mówi, że cieszą się dużym powodzeniem, choć w wielu kościołach idzie się do komunii w albach. Dlaczego?

- Rodzice chcą, by ich córki miały sukienkę na przebranie - wyjaśnia.

Pamięta, że kiedyś przyszła do jej salonu mama z 10-letnią dziewczynką. Miały ze sobą zdjęcie sukni ślubnej wartej 3.600 złotych.

- Pani poprosiła, byśmy uszyły taką sukienkę dla jej córki do komunii – wspomina pani Basia. - Sukienka była bardzo strojna, trzeba było jednak dokonać korekt, na przykład zakryć ramiona. Nie wypada przecież, by dziewczynka szła do komunii w odkrytymi ramionami. No i cena była trochę niższa...

Pani Basia zapytała matkę dziewczynki, dlaczego wybrała taką właśnie sukienkę.

- Moja córka bardzo dobrze się uczy, zna kilka języków - tłumaczyła mamusia dziewczynki. - Zobaczyła na zdjęciu tę suknię ślubną i stwierdziła, że w takiej chce iść do komunii. Nie mogłam jej odmówić. Przecież mam takie dobre i zdolne dziecko!

Parada mody czy przeżycie religijne?

Dziś w wielu kościołach dzieci idą do komunii w albach. Alby, czyli długie, białe tuniki, odpowiednio ozdobione, pojawiły się w kościołach w połowie lat dziewięćdziesiątych. Początkowo wielu rodziców odnosiło do nich nieufnie, ale z czasem się do nich przekonali. Nadal jednak nie wszystkie dzieci przyjmują komunię świętą w albach. Łatwiej przekonać do nich mieszkańców wsi, niż dużych miast.

– Był czas, że rodzice podchodzili bardzo opornie do alb – mówi ksiądz z jednej z łódzkich parafii. – Na szczęście to się zmienia. U nas już niemal wszystkie dzieci idą do komunii w albach. Niestety, nadal są tacy, którzy traktują komunię jako paradę mody, pewien folklor, a nie przeżycie religijne. Jest to dla nich rodzinna impreza, na której można się popisać kto ma ładniejszą sukienkę. Zwłaszcza mamy dziewczynek były oporne. Teraz jednak tylko pojedyncze dzieci podczas komunii nie mają u nas alb.

Katarzyna Marczak, łódzka nauczycielka, posłała córkę do komunii 10 lat emu. Wtedy jeszcze szły do niej dzieci uczące się w drugiej klasie (obecnie w trzeciej). Ola poszła do komunii w albie, choć mama kupiła jej też za 150 złotych sukienkę na przebranie. Inne dziewczynki miały je mieć, więc dlaczego miała bronić swojej jedynaczce?

MOJA RODZINA POCHODZIŁA Z WILEŃSZCZYZNY, WIĘC PRZYJĘCIE KOMUNIJNE, A BYŁY TO LATA 50., BYŁO BARDZO HUCZNE – OPOWIADA JAN TOMASZEWSKI

- U nas ta komunia przebiegła normalnie – wspomina Katarzyna. - To znaczy było przyjęcie w restauracji na 20 osób, czyli najbliższej rodziny. Kosztowało nas około 2 tysięcy złotych. Nie było żadnych karet, limuzyn. A teraz słyszę, że znajomi zastanawiają się czy ich córka ma pojechać do komunii białą karetą czy limuzyną.

Kilka lat temu łódzką prasę obiegło zdjęcie dziewczynki, która pod kościół, w którym odbywała się uroczystość Pierwszej Komunii Świętej, zajechała piękną, białą karetą. Okazało się, że był to komunijny prezent od babci. Wynajem kosztował ją 600 złotych. Kareta pod kościołem w czasie pierwszych komunii wywołała małą sensację, ale nie jest rzadkością. Kilka lat temu taką samą piękną karetą zajechała dziewczynka pierwszokomunijna pod kościół w łódzkiej Rudzie Pabianickiej. W maju sporo pracy mają też firmy wynajmujące takie pojazdy. Jedna z nich znajduje się pod Sieradzem. Jej właściciel tylko śmieje się, gdy słyszy, że w Łodzi ktoś wynajął karetę za 600 złotych.

- Moja kareta jest elegancka, biała, pięknie wystrojona – dodaje. - Za wynajęcie jej na komunię w Łodzi biorę co najmniej 2 tysiące! Chętnych nie brakuje!

A jak kiedyś wyglądały komunie święte?

Komunia w stylu wileńskim

Jan Tomaszewski, były bramkarz ŁKS-u i reprezentacji Polski, do Pierwszej Komunii Świętej przystępował we Wrocławiu. Była to druga połowa lat pięćdziesiątych.

- Nie szedłem do komunii w garniturze, tylko w białej koszuli i granatowych spodniach – opowiada popularny „Tomek". - Tak też wyglądali moi koledzy. Dziewczynki były ubrane w długie sukienki, które wyglądały jak suknie ślubne. Taka była wtedy moda we Wrocławiu. Ja jestem bowiem z tych „Karguli", którzy wysiedli we Wrocławiu, a nie w Jeleniej Górze. To znaczy nie ja, a moi rodzice.

Bramkarz opowiada, że najgorsze było czekanie. Trzeba było wcześniej przyjść do kościoła i czekać na rozpoczęcie mszy świętej.

- Oczywiście wcześniej były próby, przygotowania, ale najgorsze było to wyczekiwanie przed kościołem już w dniu komunii - twierdzi Jan Tomaszewski. - Sama Pierwsza Komunia Święta była niesamowitym przeżyciem, tak jak spowiedź, która miała miejsce w sobotę. Na to się czekało. Dlatego, gdy tak w słońcu staliśmy przed kościołem, to czas bardzo się dłużył. Dobrze to zapamiętałem.

Po komunii wszyscy poszli do domu.

- Moja rodzina pochodziła z Wileńszczyzny, więc przyjęcie komunijne było bardzo huczne, już wtedy – opowiada „Tomek". - Przy jednym stole siedziały dzieci, przy innym dorośli. A dzieci było dużo. Wiadomo, że dzieci szybko zjadły i pobiegły do zabawy. Ja bawiłem się z nimi. Potem przebrałem się w galowy strój i poszedłem z chrzestnymi na nabożeństwo do kościoła. Dopiero wtedy zaczęła się biesiada dorosłych. Nie powiem, że nie było alkoholu. A zabawa trwała do nocy. Było to prawdziwe wileńskie przyjęcie!

Jan Tomaszewski pamięta, że w prezencie komunijnym dostał piłkę, rower i zegarek.

- Ale na te prezenty składała się cała rodzina! - dodaje.

Smutek podartych rajtuz

Elżbieta Nowaczyk do Pierwszej Komunii Świętej przystępowała w 1974 roku. Pamięta, że koleżanka mamy wróciła właśnie z Włoch i przywiozła jej piękne, białe rajtuzy.

- Były to tzw. kabaretki – wspomina Elżbieta. - Nie mogłam się doczekać kiedy je założę. Były takie piękne... Założyłem je w dniu komunii, byłam taka szczęśliwa. Wszystkie koleżanki z podziwem patrzyły na moje kabaretki.

Jednak to szczęście nie trwało długo. Podczas komunijnej mszy Elżbieta uklękła. To samo zrobiła stojąca przed nią koleżanka...

- Uderzyła mnie butem w nogę i w moich kabaretkach zrobiła się ogromna dziura... Gdy szłam, by pierwszy raz przyjąć komunię świętą, nie myślałam o niczym innym jak o tej dziurze w rajtuzach. Miałam wrażenie, że wszyscy ją widzą. Potem mama ją jakoś zacerowała, bym mogła w tych kabaretkach pozować do komunijnego zdjęcia.

Dobrze też pamięta komunijne prezenty. Dostała zegarek „Czajka" i rower „Wigry".

- Najbardziej cieszył mnie rower – mówi Łodzianka. - Dostałam też z dziesięć bombonierek. Schowałam je do szafy, gdzie pięknie je ułożyłam. Były tak piękne, że żal mi było je otworzyć i jeść. Ale w końcu chciałam spróbować jedną czekoladkę. Niestety, pudełko było puste, tak jak kolejne. Okazało się, że wszystkie czekoladki wyjadł mój młodszy brat...

Zagubiony łańcuszek

Jolanta Śniegocka, łódzka lekarka, do komunii poszła na początku lat sześćdziesiątych. Przyznaje, że najbardziej stresowała ją pierwsza spowiedź.

- Wszystkie grzechy spisałam sobie na kartce, bałam się, że któregoś zapomnę! - śmieje się dziś. - Przed samą komunią nie spałam chyba całą noc... Sukienkę uszyła mi ciocia, która była krawcową. A na głowie miałam wianek upleciony z żywych kwiatów. Zrobiły mi go starsze siostry.

Po uroczystości w domu był uroczysty obiad, ale zebrała się na nim tylko najbliższa rodzina. Jolanta nie zapomni, że w prezencie komunijnym od chrzestnej dostała... parasolkę.

eprasa.pl 1550608d64

FOT. ARCHIWUM DŁ.

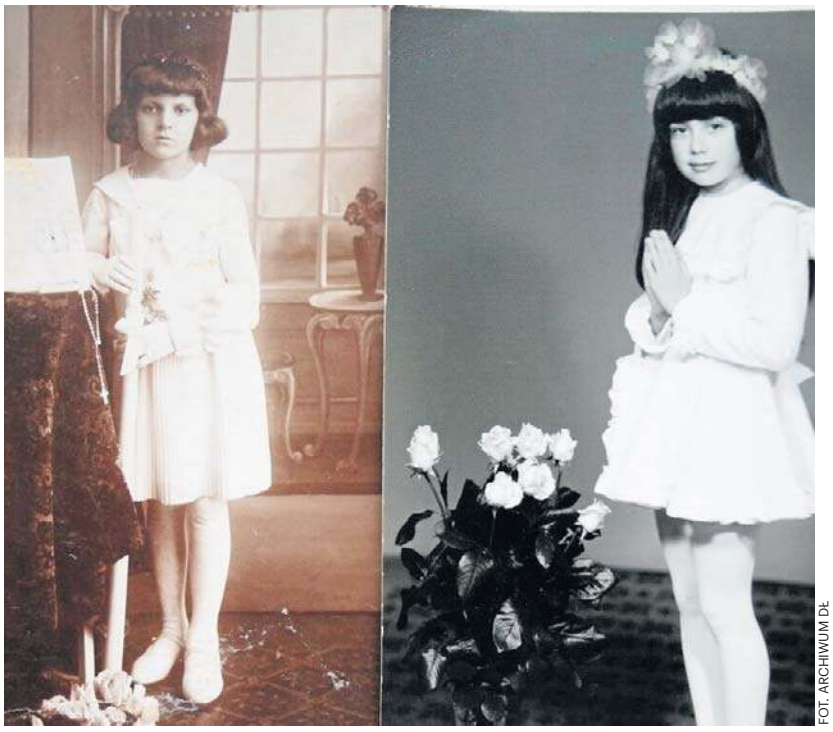

FOT. ARCHIWUM DŁ.

FOT. ARCHIWUM DŁ.

FOT. ARCHIWUM DŁ.

Komunijne stroje przez długie lata były dość skromne. Pogoń za wyszukanymi kreacjami w największym stopniu dotknęła dziewczynki. Prezenty zwykle były na miarę czasów - kiedyś standardem były rower, zegarek i radio tranzystorowe

- Chrzestny dał mi złoty łańcuszek – wspomina. - Nie cieszyłam się jednak nim długo. Po obiedzie pobiegłam z kuzynkami pobawić się na łące. I zgubiłam łańcuszek...

Anna Koczewska, łódzka prawniczka, do pierwszej komunii poszła w 1973 roku. Uroczystość miała miejsce w kościele pw. św. Kazimierza na łódzkim Widzewie. Nie zapomni, że nie spała niemal całą noc, by nie zepsuła się jej przygotowana wieczorem przez mamę fryzura. Mama zadbała też, by miała piękną sukienkę. W „Peweksie" kupiła białą kremplinę za wcześniej mozolnie odkładane dolary. Suknię szyła jej potem znajoma krawcowa, która pracowała w „Telimenie". Jeździły na przymiarki na Stoki, a Ania nie mogła się doczekać, kiedy założy to białe cudo...

- Przyjęcie komunijne odbywało się w domu – wspomina Anna. - Było na nim z 40 osób. Stoły były rozstawione w dwóch pokojach. Mama nie chciała, by na przyjęciu komunijnym był alkohol. Wiadomo jednak, że w Polsce na takich uroczystościach bez alkoholu nie ma zabawy, ani apetytu. Tak też było u mnie. Kiedy po południu poszłam do kościoła z mamą i chrzestnymi po odbiór komunijnych obrazków, tata był gotowy. Schował wcześniej kilka butelek wódki i wyciągnął w czasie nieobecności mamy. Gdy wróciliśmy z kościoła, goście byli już wyraźnie rozluźnieni.

Anna pamięta, że na komunię dostała kolorowe mazaki, książkę o Ani z Zielonego Wzgórza, złoty pierścionek, łańcuszek i pieniądze.

Nie pamiętam, żebym dostał prezent

Nieżyjący już znany łódzki aktor Michał Szewczyk do Pierwszej Komunii Świętej poszedł zaraz po wojnie, w 1946 lub 1947 roku.

- Do pierwszej komunii przystąpiłem zaraz po tym jak otworzyli kościół pw. św. Franciszka w Łodzi – opowiadał nam Michał Szewczyk. - W czasie wojny w kościele znajdował się magazyn czapek wojskowych.

Rodzice przygotowali dla aktora garniturek, z krótkimi spodenkami. Zachowało się jego komunijne zdjęcie. Stoi na nim z rodzicami, siostrą, chrzestną.

- Bardzo cieszyłem się, że do komunii poszedłem w podkolanówkach, a nie pończochach, w których nieraz musieli chodzić chłopcy, bardzo ich nie lubiłem – wspominał Michał Szewczyk.

Aktor nie pamiętał przyjęcia komunijnego, ale znając swoich rodziców, uważał że na pewno było zorganizowane.

- W tej samej kamienicy przy ulicy Staszica mieszkała też moja chrzestna, więc przyjęcie musiało być - mówił nam pan Michał. - Nie pamiętam żebym dostał jakiś prezent. Wtedy nie było takiej mody. Rower dostałem kilka lat po niej. Miał jeszcze drewniane obręcze. Ten rower sam złożył mi tata Władysław. Uchodził za „złotą rączkę". Potrafił wszystko. Złożył nawet radio. Potem cała kamienica schodziła się do nas, by posłuchać radiowych audycji.

Po komunii Michał Szewczyk został ministrantem. Służył do mszy przez kolejne dziesięć lat. Bardzo to lubił.

- Mama zamawiała dla mnie wspaniałe komże – wspominał łódzki aktor. - Wyszywane, potem krochmalone. Uwielbiałem je!

Nie zapominajmy o istocie pierwszej komunii

Ks. dr Andrzej Blewiński, emerytowany proboszcz parafii Matki Bożej Dobrej Rady w Zgierzu, krytycznie patrzy na współczesne Pierwsze Komunie Święte.

- Rok albo dwa lata wcześniej rodzice załatwiają salę, w której ma się odbyć przyjęcie komunijne. Wybierają menu, zastanawiają się nad prezentami, a gubią istotę całej uroczystości – mówi. – A istotą jest sam sakrament Eucharystii. Pierwsza komunia wprowadza niejako do dorosłego życia religijnego. Po to dziecko chodzi cztery lata na katechezę. Lekcje religii odbywają się w przedszkolu, potem pierwszej, drugiej i trzeciej klasie szkoły podstawowej. Trwa więc przygotowanie do Pierwszej Komunii Świętej, katecheci się trudzą, a wielu rodziców spłaszcza całe zagadnienie, myśląc tylko co zewnątrz, a nie o tym co niesie z sobą przyjęcie tego sakramentu. A przecież Pierwsza Komunia Święta, pierwsza spowiedź są dużym przeżyciem dla dziecka. Tylko na tę sprawę zwracają niemal wyłącznie księża, katecheci. Dla większości rodziców ważne jest zupełnie co innego. Nie ma tu tej zgodności i jest to bolesne. Doprowadza to do tego, że uroczystość pierwszokomunijna staje się wydarzeniem o charakterze rekreacyjno-ludycznym. Zdarzało się, że dziecko podjeżdżało do kościoła na swoją pierwszą komunię białą karetą zaprzężoną w sześć koni.

Ks. Andrzej Blewiński przyznaje, że uroczystość Pierwszej Komunii Świętej skomercjalizowała się.

- Pamiętam, że w jednej z parafii rozmawiałem z dziećmi na temat prezentów komunijnych - wspomina. - Prześcigały się w opowieściach, co kto dostał. Były rowery, komputery, konsole. I odezwała się w końcu jedna dziewczynka, która powiedziała: Dla mnie największym prezentem był Pan Jezus w Komunii Świętej! Zaległa niesamowita cisza. Zaskoczyła kolegów i koleżanki. Ale ta dziewczynka dała bardzo dojrzałą odpowiedź. To nie oznacza, że nie powinno się dawać prezentów na Pierwszą Komunię Świętą. To sympatyczny element tej uroczystości, bo zawsze miło jest coś dostać, ale nie należy nastawiać dziecka na to, że ta uroczystość wiąże się tylko z upominkami. Nie można mówić dziecku, że przyjedzie wujek i da komputer, a ciocia – rower. Dziecko wtedy nastawia się tylko na te prezenty. Marzy o nich, rozmyśla. Gubi się wtedy to, co jest w Pierwszej Komunii Świętej najważniejsze. Dochodzi nawet do takich sytuacji, że tuż przed komunią świętą rodzicom przypomina się, że dziecko nie jest ochrzczone. W naszej parafii na przełomie kwietnia i maja będzie kilka takich chrztów. Jeszcze raz powtórzę, że podczas Pierwszej Komunii Świętej najważniejszy jest wymiar religijny, nie komercyjny. Niestety, ten głos jest zagłuszony. Często posyła się dziecko do pierwszej komunii dlatego, że tak wypada, bo idą jego koledzy, koleżanki. Eksponowane jest profanum, a sacrum jest pomijane.

Sam dobrze pamięta swoją Pierwszą Komunię Świętą. Przystępowała do niej setka dzieci.

- Cała uroczystość była skromnie przygotowana- opowiada. - Wiadomo, czasy były inne. Nie było takich wystawnych prezentów, obiadów, tylu gości. Do dziś pamiętam, że w czasie mszy świętej byłem rozproszony, rozglądałem się, by zobaczyć czy do komunii przystępują moi rodzice. Kiedy zobaczyłem ich u komunii, to uspokoiłem się...

Po uroczystości był w domu obiad. Byli na nim tylko rodzice, brat i siostra oraz chrzestni z rodzinami. Ks. Andrzej zapamiętał, że mama ugotowała rosół, a od chrzestnego dostał w prezencie radziecki zegarek i małe radio tranzystorowe.

eprasa.pl 1550608d64

Znamy go przede wszystkim jako ojca chrzestnego polskiego bluesa. Popularność zdobył, wykonując dziarskiego rock and rolla jako Shakin' Dudi. Teraz do księgarń trafia wywiad rzeka o jego twórczości – „No. 1". Nam Irek Dudek opowiada, jak zakochał się od pierwszego wejrzenia w swej obecnej żonie

Paweł Gzyl

IREK DUDEK: RADZĘ NIE SIĘ ZAŁAMYWAĆ, TYLKO POKONYWAĆ TRUDNOŚCI

FOT. ŁUKASZ RAK

Irek Dudek: nie wtrącam się do tych, którzy o mnie piszą. Jakbym chciał, to bym sam napisał autobiografię

Wczoraj były pana 75. urodziny. Wszystkiego najlepszego!
Bardzo dziękuję za życzenia.

Trudno uwierzyć w to, że ma pan 75 lat. Energii, optymizmu i kondycji mógłby panu pozazdrościć niejeden młodzieniaszek.
To miłe, iż pan uważa, że nie wyglądam na swoje lata. To prawda: mam jeszcze dużo siły do grania i organizowania festiwalu Rawa Blues. Może to zasługa tego, że mieszkam w górach i oddycham świeżym powietrzem.

Ma pan za sobą kilka trudnych przeżyć: poważne operacje i wypadek samochodowy. Te doświadczenia nie odebrały panu energii?
Zawsze miałem w życiu pod górkę, musiałem więc ciągle się mobilizować. Kiedy miałem ten wspomniany wypadek, w którym pogruchotało mi obie nogi, leżałem na wyciągu w szpitalu, poprosiłem więc żonę, by przyniosła gitarę i wykorzystałem ten czas, by lepiej nauczyć się grać na tym instrumencie. Teraz mam problemy z sercem, wszczepiono mi trzy bypassy, gorzej mi się więc oddycha. Na przekór temu wziąłem harmonijkę ustną i ćwiczę na niej codziennie. Tego rodzaju wyzwania i noszenie swego krzyża z pogodą ducha, jest najlepszym panaceum na te ciężkie doświadczenia. Dlatego wszystkim radzę nie załamywać się, tylko pokonywać trudności.

Takie okrągłe urodziny to okazja do podsumowań. To stąd pomysł na wywiad rzekę „No. 1"?
Tak. Tytuł książki to nawiązanie do płyty, którą nagrałem jeszcze za czasów komuny z własnym big-bandem. Jeśli ktoś przeczyta tę książkę, to zrozumie dlaczego „No. 1".

Zadowolony jest pan z tej książki?
Tak. Miałem tylko kilka uwag. Generalnie nie wtrącam się do tych, którzy o mnie piszą. Jakbym chciał, to bym sam napisał autobiografię. Każdy ma inną wrażliwość i inaczej postrzega różne wydarzenia. Czasami jest to dyskusyjne, ale poddaję się temu. Jacek Kurek jest rzetelnym dziennikarzem i widziałem, że mu zależało. Przyjeżdżał do mnie i wszystko nagrywał. Myślę więc, że dobrze wyszło. To fajny prezent na urodziny.

Dużo miejsca poświęca pan w tej rozmowie pana korzeniom. Na ile Śląsk ukształtował pana osobowość?
To właśnie na Śląsku zakochałem się w bluesie. W połowie lat 60. w Katowicach był klub Ciapek, gdzie moi starsi koledzy grali do tańca utwory The Animals, The Pretty Things czy The Rolling Stones. Ponieważ byłem za młody na wejście, stałem tam pod oknem z kumplem i słuchałem przez kilka godzin. Pewnego razu wyszedł do nas basista Wojtek Toboł i pyta: „Co wy tu robicie?". „Chcielibyśmy grać tak jak wy" – odparłem. „To masz harmonijkę, naucz się, to może zagrasz z nami" – powiedział. I faktycznie: pół roku później już z nimi występowałem.

Co pana zafascynowało w bluesie, że jest pan mu wierny do dzisiaj?
Wychowałem się na rock and rollu. A on przecież wziął się z bluesa. Znalazłem więc najpierw Johna Mayalla. Nauczyłem się nawet grać jego utwory jeden do jednego. To był biały blues. Potem wiedziony ciekawością, dotarłem do nagrań tych, którzy go inspirowali. To byli już czarni bluesmani z Ameryki – Muddy Waters czy Johnny Lee Hooker. W ich muzyce była prawda i szczerość – i to mnie przede wszystkim ujęło.

W latach 60. władza lansowała hasło „polska młodzież śpiewa polskie piosenki". A pan wykonywał bluesa po angielsku. Miał pan przez to pod górkę?
Tak. Na siłę lansowano wtedy big-bitowe zespoły, które śpiewały tylko po polsku. Dlatego trafiłem na ścianę – nie mogłem nic nagrać ani dla radia, ani na płytę. Raz tylko udało mi się w Poznaniu zarejestrować cztery utwory, ale gdzieś przepadły i nie było szans, żeby je wylansować.

Duża część pana kariery to czas komuny. Jakie sobie pan radził z ówczesnymi władzami?
Występowałem przede wszystkim w klubach studenckich, a one były otwarte na taką muzykę. Nie było wtedy jeszcze dyskotek, więc po prostu graliśmy do tańca. Nie miałem żadnych oficjalnych przeszkód. Brakowało mi tylko nagrań, przez co długi czas byłem mało znany.

Co sprawiło, że się pan nie poddał?
Z perspektywy czasu te dziesięć lat tułania się po studenckich klubach wyszło mi na dobre. Wykonując standardy rhythm and bluesowe i bluesowe nauczyłem się dobrze grać na harmonijce ustnej, poznałem arkana improwizacji, dowiedziałem się, jak aranżuje się piosenki i jak się prowadzi zespół. To wszystko zaowocowało, kiedy objawiłem się jako Shakin' Dudi. Ten czas grania i śpiewania w klubach sprawiły, że wokal do pierwszego utworu tej grupy nagrałem w cztery i pół godziny. Byłem bowiem przygotowany do wejścia do studia. A wtedy nie było żadnych komputerów, które czyściły fałsze. Dlatego uważam, że czasami dobrze jest długo ćwiczyć, zanim dokona się pierwszych nagrań.

Pod koniec lat 70. wyjechał pan do Ameryki, a dekadę później do Holandii. Nie chciał pan nigdy zostać na Zachodzie i tam próbować zaistnieć?
Kiedy byłem w Amsterdamie, poszedłem z moją płytą „No. 1" do jednego z klubów. Kiedy puściłem im, jak śpiewam bluesa po angielsku, powiedzieli mi: „Wszystko dobrze, ale my możemy mieć prawdziwych bluesmanów z Ameryki. Po co więc mamy ciebie angażować? Śpiewaj po polsku, to zobaczymy". Uznałem więc, że mają rację. Ponieważ miałem już za sobą nagrania Shakin' Dudi, opanowałem technikę śpiewania po polsku, musiałem ją tylko przenieść na bluesa. To było trudne – ale uznałem, że skoro jestem Polakiem, to powinienem śpiewać po polsku. Tak narodził się pomysł na projekt Symphonic Blues, z którym udało mi się pograć na Zachodzie. Mój menedżer Thomas Ruf wydał płytę z naszym koncertem w słynnym klubie jazzowym Subway w Kolonii. Była więc szansa na dużą karierę. Mnie się marzyło jednak nagranie albumu w Polsce z NOSPR-em. Wróciłem więc do ojczyzny, ale wycofał się sponsor i pomysł spalił na panewce. Ruf się na mnie obraził i zostałem z niczym.

W czasie PRL-u polski show-biznes był przesiąknięty alkoholem. Pan też nie wylewał za kołnierz. Nie dało się wtedy być muzykiem i nie pić wódki?
Z moich obserwacji raczej nie. Była to trochę rozpusta: alkohol, dziewczyny. Po latach dopiero udało mi się nad tym zapanować dzięki mojej mamie, która wymodliła, żebym przestał tak żyć i dzięki mojej żonie, która powiedziała, że wyjdzie za mnie, jeśli przestanę pić. Najgorzej było w tym pierwszym okresie mojej działalności, kiedy występowałem w klubach. Gdzie się bowiem nie wjeżdżało, tam od razu wyciągano alkohol. Nie byłem wówczas jakąś gwiazdą, ale dużo koncertowałem, więc znano mnie

eprasa.pl 1550608d64

w tym środowisku. Dlatego każdy chciał się ze mną napić. A że grałem prawie za darmo, ten alkohol był wtedy prawie jedyną gratyfikacją za występ. Dlatego nie odmawiałem.

Wzorem gwiazd rocka z Zachodu demolowaliście pokoje hotelowe i wyrzucaliście krzesła przez okna. To wódka dawała taką fantazję?
Ja akurat tego nie robiłem, ale moi koledzy z zespołu trochę szaleli. Zabawa była na całego i czasem musiałem na drugi dzień na recepcji płacić za wyrządzone szkody.

Alkohol sprawił, że wysiadła panu trzustka i omal nie przypłacił pan tego życiem. To wtedy przyszło otrzeźwienie?
Tak. Zło przyniosło dobro. Kiedy po raz trzeci wylądowałem w szpitalu i lekarze dawali mi nikłe szanse na przeżycie, powiedziałem, że muszę wszystko robić na trzeźwo. Nagrałem potem cztery najważniejsze w moim życiu płyty bez jakichkolwiek wspomagaczy. Sam byłem trzeźwy i tego samego wymagałem od moich kolegów-muzyków. Tak jest zresztą do dzisiaj. Nawet na kacu nikt nie wychodzi ze mną na scenę.

Nigdy nie sięgnął pan po narkotyki?
Nigdy. Coś mnie powstrzymało. Może boża opatrzność? A byłem świadkiem, jak dwaj moi koledzy produkowali na własny użytek polską czarną heroinę. Mnie jakoś to nie brało. Wiedziałem, że narkotyki są wielką krzywdą dla organizmu. Koledzy się dziwili, ale tutaj się nie ugiąłem. I całe szczęście.

Wielki sukces osiągnął pan w latach 80. jako Shakin' Dudi. Jak to się stało, że coś, co miało być wygłupem, okazało się strzałem w dziesiątkę?
Byłem wtedy zafascynowany punkiem. Kupiłem sobie nawet płytę Sex Pistols. Miałem już wtedy trzydzieści lat, nie mogłem więc sam być punkowcem. Pomyślałem zatem, że poszukam tych rytmów, które kręciły wtedy młodzież, w przeszłości. I znalazłem je w garażowym rock and rollu z lat 50. W radiu leciał wtedy na okrągło angielski piosenkarz Shakin' Stevens, który wykonywał taką muzykę na dyskotekową modłę. Denerwowało mnie to i pomyślałem: „Ja będę śpiewał prawdziwego rock and rolla". Namówiłem więc dwóch punkowców, dwóch jazzmanów i jednego bluesmana – i założyliśmy grupę Shakin' Dudi. „Robimy happening muzyczny: rozwalamy, co się da!" – powiedziałem. Poprosiłem Darka Duszę ze Śmierci Klinicznej, żeby napisał proste i dosadne teksty, opisujące ówczesną rzeczywistość. Barwa mojego głosu i sposób śpiewania były bardzo charakterystyczne. „Gramy źle, tak jakbyśmy nie umieli grać" – zakomenderowałem. Ale jak tu powiedzieć muzykom, którzy grają dobrze, że mają grać źle? Jakoś się jednak udało – i to chwyciło. Ludzie nie wiedzieli, jak się naprawdę nazywam i kiedy pojawiłem się gdzieś publicznie, to wołali za mną: „Hej, Shakin' Dudi!". (śmiech)

Dawaliście wtedy wręcz szalone koncerty. Naprawdę rozwalał pan fortepiany na scenie?
Tak. Pierwszy raz wydarzyło się to na festiwalu Rock Arena. Ale tylko dlatego, że był to zły instrument. Potem dyrektor się miotał, a ja mu na to: „Mogę odkupić to pianino po cenie detalicznej". „A to pan sprytny" – nagle zmienił front, bo wtedy nie było instrumentów w sklepach. (śmiech) Z kolei na festiwalu w Jarocinie poprosiłem o wąż strażacki i lałem wodą ludzi pod sceną. Nie bardzo umiałem sobie z nim poradzić i woda tryskała nawet na głośniki i wzmacniacze. Dlatego ich właściciel bardzo się zdenerwował i wpadł przerażony na scenę. Wtedy całe 25 tysięcy widzów zaczęło wrzeszczeć: „Zabij go!", żeby nie przeszkadzał mi w tym laniu wodą. (śmiech) Wrzasnąłem więc do Darka „Graj dalej" i polewałem tłum. Na koniec skoczyłem z blisko trzymetrowej sceny w ludzi. Ale stało tam sześciu wcześniej umówionych punkowców i mnie złapali. Czasem był to więc żywioł, a czasem coś było aranżowane.

Złota płyta" Shakin' Dudi pokryła się potrójną platyną, a pan rozwiązał zespół. Dlaczego zdecydował się pan zarżnąć kurę znoszącą złote jaja?
Bo to miał być tylko happening. Kiedy „Złota Płyta" odniosła wielki sukces, mogłem pójść dalej tym tropem i kosić niezły szmal. Nie po to jednak wymyśliłem ten zespół. Dlatego, aby być wiernym swoim słowom, musiałem go rozwiązać. Postanowiłem jednak przenieść doświadczenia z Shakin' Dudi na moją własną twórczość. I tak jako Irek Dudek nagrałem autorską płytę „No. 1". Wtedy okazało się, że mam równie co w rock and rollu dużo do powiedzenia w bluesie. Szef festiwalu w Jarocinie Walter Chełstowski namówił mnie, żebym połączył te dwa projekty w jednym programie „Stereo i w kolorze". Tak też się stało i graliśmy koncerty w wielkich salach, które ludzie wypełniali do ostatniego miejsca. To były czasy komuny, a my mieliśmy swoją aparaturę i jeździliśmy kilkoma TIR-ami oraz autobusem, jak jakieś gwiazdy rocka z Zachodu. To było wielkie przedsięwzięcie.

Wykonywał pan potem bluesa na różne sposoby: z bigbandem, symfonicznie, jazzowo, swingowo. Który z tych projektów jest panu najbliższy?
Symphonic Blues. Zjechałem z nim nie tylko bluesowe, ale i rockowe festiwale na Zachodzie. Chyba ten pomysł był najbardziej mój i inny od wszystkich pozostałych. Dużo walorów muzycznych ma jednak też płyta „No. 1", nagrana z moim własnym big-bandem – choćby klasyczny już dziś utwór „Something Must Have Change". W tym roku zagram go w katowickim NOSPR-ze podczas Rawy Blues. Ważna jest dla mnie też płyta „Dudek Bluesy", ponieważ dostałem za nią Fryderyka. To miało początkowo być demo, ale realizator powiedział, że nagra to w pełni profesjonalnie. Posłuchałem potem tego materiału i pomyślałem, że dołożę sekcję rytmiczną. Zaangażowałem uznanych jazzmanów i dałem im wolną rękę. Tak fajnie to wyszło, że zadzwoniłem jeszcze po pianistę. I wtedy stwierdziłem: „To jest bardzo dobre!". Fryderyk to potwierdził, ale koncertów zagraliśmy bardzo mało. Sam nie wiem dlaczego.

Kiedyś pan powiedział: „Koncertuję rzadko, żeby być świeżym". To dobra zasada?
Bardzo dobra. Nie lubię chałtur. Do każdego koncertu przygotowuję się bardzo długo. Jesienią zagram na Rawie Blues – i będę się do niego przygotowywał pięć miesięcy. Ktoś by powiedział: „Czyś ty zwariował?". Ale ja chcę wyjść na scenę i być zauważonym znowu w inny sposób.

Mówi się, że bluesman jest jak wino: im starszy, tym lepszy. To prawda?
Tak mi się wydaje. Trzeba się jednak dobrze starzeć. Bo jeśli wino się rozpuści, to zwietrzeje i zepsuje się. Dlatego bluesman musi opierać swą działalność nie tylko na wieku, ale przede wszystkim na ciężkiej pracy.

Pana dzieckiem jest też festiwal Rawa Blues, który odbywa się w Katowicach od 1981 roku i ciągle gromadzi kilka tysięcy widzów. Na czym polega jego sukces?
Przygotowując jego program, patrzę na bluesa szeroko. To nie tylko czarni muzycy z Chicago, ale też biali wykonawcy z pogranicza jazzu i rocka. To daje dużą świeżość. Dlatego te zespoły, które grają podczas finału Rawy, brzmią zupełnie inaczej. To przyciąga ludzi, którzy nie są koneserami bluesa, ale po prostu lubią posłuchać granej na żywo dobrej muzyki. I kiedy raz przyjdą na Rawę, to potem chodzą już co roku. A nawet z czasem zabierają swoje dzieci i wnuki. W tym roku festiwal odbędzie się w dwóch salach NOSPR-u, bo uznałem, że czas pokazać wirtuozów bluesa w sali, mającej najlepszą akustykę w Polsce. Wszystko będzie więc na najwyższym poziomie.

Kiedyś muzyk amerykańskiego zespołu Canned Heat powiedział: „Na Rawie rządzi muzyka, nie biznesman". Może i w tym tkwi sukces tego festiwalu?
To powiedział perkusista, jedyny członek oryginalnego składu tej grupy z lat 60., który zjeździł cały świat. Jego zdaniem biznes tak przewala niektóre festiwale, że po prostu je topi. Ja staram się tego uniknąć. Dla mnie liczy się przede wszystkim muzyka.

Kiedyś wyznał pan: „Nie przywiązywałem wielkiej wagi do pieniędzy, ale jakoś się mnie trzymają". Jak to możliwe?
Kiedy nie gonisz za pieniądzem, to on sam do ciebie przyjdzie. Jeśli robisz coś, co jest twoją pasją, to będzie to coś dobrego i ludzie się tym zainteresują. Wtedy ten pieniądz się znajdzie. Gdyby zależało mi na pieniądzach, to za czasów PRL-u nie tułałbym się po klubach, tylko pojechałbym do Zielonej Góry czy Kołobrzegu. (śmiech) Tymczasem ja grałem za pół darmo, wystarczało mi na wino i kolację. Trzeba więc umieć zaryzykować w życiu i postawić na swoją pasję. Wtedy gdzieś się te pieniądze znajdą. U mnie znalazły się dopiero przy Shakin' Dudi. Dziś też nie narzekam. Wybudowałem dom, posadziłem drzewa, mieszkam praktycznie w lesie. Czasem wychodzę sobie na przyzbę i gram na harmonijce. Bardzo dużo ćwiczę, bo chcę pokazać na Rawie, że właśnie zacząłem od tego instrumentu.

KIEDYŚ MIAŁEM PROPOZYCJĘ ZREALIZOWANIA FILMU O SOBIE, ALE ODMÓWIŁEM, BO NAPISALI MI GŁUPAWE DIALOGI: „NIE BĘDĘ Z SIEBIE ROBIŁ WARIATA"

W 1986 roku na festiwalu w Opolu poznał pan przyszłą żonę Iwonę. To była miłość od pierwszego wejrzenia?
Tak. Podeszła do mnie z prośbą o autograf dla swego brata. Siedziałem wtedy z muzykami z Shakin' Dudi przy jednym ze stolików na uboczu. Pogadaliśmy chwilę i zaproponowałem, żebyśmy się gdzieś przeszli. Spacerowaliśmy w sumie cztery godziny i w końcu mówię: „Ty będziesz moją żoną". (śmiech) Zorientowaliśmy się wtedy, że poznaliśmy się już wcześniej.

Czyli?
Iwona występowała w tanecznym zespole Arabeski. I w latach 70. spotkaliśmy się w Łodzi podczas programu „Lato, lato". Spałem w tym samym hotelu co ona i zalecałem się do niej, ale dostałem kosza. Iwona zadzwoniła więc do koleżanki w Paryżu z Arabesek i pyta się jej, czy zna Irka Dudka. A ona: „Pewnie, to taki fajny chłopak z długimi włosami". A ja już wtedy miałem krótką fryzurę. (śmiech) Te dziewczyny pamiętały mnie więc, a Iwona nie. Powiedziałem jednak, że zostanie moją żoną. A ona myślała, że ja żartuję. Zaprosiłem ją potem do Warszawy do hotelu Europejskiego. Z czasem zrozumiała, że ja tak na poważnie.

I jesteście do dziś razem.
Kiedy zakochałem się w Iwonie, ona pracowała jako modelka w Amsterdamie. Chodziła w poważnych pokazach, jej zdjęcie było na wielkich plakatach. Zarabiała dziesięciokrotnie więcej niż ja w Polsce. Postanowiłem więc pojechać do niej, obejrzeć trochę koncertów i spróbować samemu gdzieś pograć. Posiedziałem kilka lat w Amsterdamie, bo nie chciałem jej ograniczać. Kiedy urodziły się jednak nasze córki, powiedziałem: „Wychowajmy dzieci po polsku. Wracajmy do kraju".

Zawsze prezentuje się pan na scenie w stylowych garniturach. To żona, jako była modelka, odpowiada za pana garderobę?
Do pewnego stopnia. Często są to moje pomysły. Kiedy mieszkaliśmy w Amsterdamie, miałem ulubiony butik Paula Smitha, angielskiego projektanta, który szył ubrania w stylu lat 60. Pasowało mi to, więc co roku przed Rawą Blues chodziłem tam i kupowałem sobie cały zestaw, żeby być inaczej ubranym. Mam więc trochę tych garniturów w szafie, ale ostatnio przytyłem trochę i muszę popracować nad sobą, żeby się w któryś z nich wbić.

Pana córka Agata została klasyczną pianistką. To pana zasługa?
Chyba tak. Kiedy moja pierwsza córka Dorotka umarła w wieku ośmiu lat, nie chciałem, żeby Agatka poszła do tej samej podstawówki. Znalazłem dla niej szkołę muzyczną w Bielsku-Białej. Zaczęła więc grać na fortepianie. Kiedy miała iść do liceum, spytałem czy chce dalej się kształcić na tym instrumencie. Powiedziała, że tak, więc kupiłem jej poważny fortepian – Yamahę. Skończyła potem liceum i dostała się na Akademię Muzyczną w Katowicach. Miała bardzo dobrych profesorów i teraz przygotowuje się do nagrania płyty z muzyką Liszta. To trudne kompozycje, ale wymyśliła sobie, że to był rock and rollowiec swych czasów i chce zinterpretować je w taki właśnie sposób. Być może dzięki temu po ten album sięgną ci, którzy na co dzień nie są słuchaczami klasyki. Myślę, że to niezły pomysł i uda się jej.

Nie ukrywa pan, że bardzo ważną rolę odgrywa w pana życiu wiara. Trudno przyznawać się do Jezusa w polskim show-biznesie?
Ja tego nie odczuwam i nie zastanawiam się nad tym. Zostałem wychowany po katolicku, moja mama bardzo dbała o wiarę w rodzinie. Dlatego przestrzegaliśmy wszystkich tradycji. Dzięki temu zauważyłem, że jakoś inaczej przeżywa się rok ze względu na kolejne święta. Nawet ten zwykły tydzień pracy z niedzielą, poświęconą Bogu i na odpoczynek, też ma głębszy sens. Od kilku lat chodzę codziennie do kościoła na mszę o siódmej rano i przyjmuję sakrament. To pomaga mi unieść te wszystkie choroby, które mnie nie omijają. Jestem inwalidą, choruję na serce i na cukrzycę, ale mam wrażenie, że niosę ten krzyż z uśmiechem. Kiedy leżałem na trzustkę lub ostatnio na te bypassy w szpitalu, to zawsze szukałem szpitalnej kaplicy. Modlitwa była dla mnie podporą, aby tę chorobę zwyciężyć. I zawsze się udawało.

O pana życiu powinien powstać film fabularny. Jakiego aktora widziałby pan w roli Irka Dudka?
Kiedyś miałem propozycję zrealizowania filmu o sobie, ale odmówiłem, bo napisali mi głupawe dialogi. „Nie będę z siebie robił wariata" – powiedziałem. (śmiech) A dziś kto mógłby mnie zagrać? Nie mam pojęcia. Na pewno musiałby być to ktoś młodszy ode mnie, żeby mógł zagrać mnie w moich najlepszych latach.

eprasa.pl 1550608d64

FOT. KRZYSZTOF KAPICA (ARCHIWUM NOWIN)

„Nowiny" w odwiedzinach w głogowskim ZOO. Nasi fotoreporterzy uwieczniają obrazy pokazujące niezwykłą więź, jaka łączy dzikiego kota i jego opiekuna

SIMBA JUŻ NA NIEBIAŃSKIEJ SAWANNIE

- Moje kolano jest w jego potężnej paszczy. Przez spodnie czuję dotyk kłów - pisał nasz dziennikarz w 2010 roku. Na szczęście do redakcji wrócił cały i zdrowy

Kinga Dereniowska

Simbę „Nowiny" odwiedziły jeszcze wiele razy. Dzięki temu w naszym redakcyjnym archiwum znajdujemy nie tylko niezwykłe zdjęcia lwa, ale i nagrania wideo, na których Simba z Głogowa Młp. wygląda jak bohater animowanej, kultowej bajki dla dzieci "Król Lew".

Pierwszy raz opisaliśmy Simbę w 2009 roku. Wtedy był malutki i jego właściciel Leszek Bielenda zabierał go do domu. Wesoło biegał po ogrodzie. Później musiał króla puszczy zamknąć za wysokim płotem.

Ale to nie było tak, że pan Leszek wziął sobie lwa i żyli razem długo i szczęśliwe. Właściciel i jego zwierzę byli pod lupą rzeszowskiej prokuratury. Bo zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem, lwa można trzymać jedynie w zoo bądź w cyrku. To jednak był żaden problem dla mieszkańca Głogowa. Aby móc zatrzymać Simbę, zarejestrował cyrk.

Ludzie chętnie przychodzili oglądać oryginalnego mieszkańca podkarpackiego miasteczka i robić sobie z nim zdjęcia. Szczególne zainteresowanie, co zrozumiałe, wzbudzał u dzieci.

I choć lew w Głogowie był raczej atrakcją, to byli i tacy, którym hobby głogowskiego przedsiębiorcy nie przypadło do gustu. Trafili się nawet obrońcy praw zwierząt, którzy donieśli, że mieszkaniec Głogowa Młp. miał znęcać się nad Simbą.

- Mam zarzut z paragrafu 161 kk. Nie wiem, dlaczego, bo zabezpieczenia są perfekcyjne. Spędziłem ponad trzy godziny, tłumacząc się na policji - opowiadał właściciel kota z wielką grzywą przed kamerą „Nowin". - To wszystko ma na celu odebranie mi lwa. Będę o niego walczył, bo nie chcę, aby trafił do jakiegoś ogrodu zoologicznego, gdzie będzie miał dużo gorsze warunki. Nie ubliżając żadnym ogrodom i ich zabezpieczeniom.

A co, jeśliby zabrali - drążył dociekliwy reporter „Nowin".

- To byłoby niemożliwe dla mnie i bardzo ciężkie. Nie chodzi o mnie. Tu chodzi o niego. Jak on by się zachowywał z innymi lwami? Wiem, że to jest dzikie zwierzę. Ale on tu ma u mnie wszystko - odpowiadał pan i władca Simby.

Prokuratura nie dopatrzyła się naruszenia prawa.

Nie chcieli go w cyrku

Jak to się w ogóle stało, że w położonym o kilka kilometrów od Rzeszowa miasteczku zamieszkał król sawanny? Ponoć domem kociaka był cyrk objazdowy. Jego właściciel przekazał go na jakiś czas pod opiekę Leszkowi Bielendzie, bo rozpraszał innego lwa, tresowanego przez pracownika cyrku. Inna wersja mówi o tym, że bano się, iż dorosłe osobniki, zrobią małemu krzywdę.

Po kilku miesiącach, mieszkaniec miasteczka miał zwrócić zwierzę. Tak się jednak nie stało.

- Nie mam zamiaru go nigdzie oddawać. Pokochałem go - wyznał na łamach „Nowin".

Simba ponoć źle reagował, gdy jego opiekun wyjeżdżał w podróż. A że pan Leszek lubi zwiedzać świat, to robił to często. A „osierocony" Simba ryczał z żalu i tęsknoty.

Simba był lwem angolskim. To gatunek poważnie zagrożony wyginięciem. Charakteryzuje go jasne, piaskowe umaszczenie. Niewielkie stada na wolności żyją w zasadzie tylko w rezerwatach w Zimbabwe i Angoli. Do kwietnia 2026 roku mieliśmy go także w Głogowie Młp. Czemu jednak lew nie wrócił na sawannę? Ponoć przez problemy ze wzrokiem.

Urodziny

W 2011 roku „Nowiny" opisywały drugie lwie urodziny. Ważył wtedy 200 kg. Urosła mu grzywa, a jego głośny ryk słychać w promieniu kilkuset metrów. Miał niezły apetyt. Zjadał nawet 6 kg mięsa każdego dnia. W prezencie urodzinowym dostał pięciokilogramowy tort ze świeżego mięsa, ozdobiony dwoma wołowymi sercami i ogonem. Popił go ciepłym rosołem.

Początkowo zimy dla Simby nie były łatwe, mimo że w swojej grocie miał ciepło. Raz zachorował nawet na anginę. Poza antybiotykiem dostawał Rutinoscorbin.

- Podawałem mu po sześć tabletek kilka razy dziennie. Ale jeszcze większy numer to psykanie do gardła Tantum Verde. Najpierw się złościł, ale szybko zrozumiał, że to dla jego dobra - tłumaczył „Nowinom" pan Leszek.

Simbę odwiedzali dziennikarze z całej Polski. Drugiego takiego w prywatnej hodowli nie ma w całym kraju.

Kociak wyrósł na króla sawanny

Ostatni raz odwiedziliśmy głogowskie ZOO zimą 2016 roku. Fotoreporter uchwycił Simbę tarzającego się w śniegu. Głaskania nie było, bo lew wyrósł na prawie 300-kilogramowego drapieżnika.

- Jest potężnym, dorosłym zwierzęciem. Jego muskularna sylwetka z daleka budzi respekt - opisywał swoje wrażenia długoletni dziennikarz "Nowin" Bartosz Gubernat.

- Ma swoją ocieplaną grotę. Żyje za wysokim płotem. Wysoki na pięć metrów i zakończony od wewnątrz pastuchami - w 2012 roku właściciel ZOO informował naszego dziennikarza, że wydał na te wszystkie zabezpieczenia równowartość domu jednorodzinnego.

A skąd wiadomo było, ile waży Simba? Dzięki podstępowi. Specjalna waga była ustawiana na jego wybiegu. A na niej porcja mięsa. Chcąc zaspokoić głód, nieświadomy pomiaru lew wchodził na platformę i ujawniał swoją wagę.

Okazało się to bardzo ważne, gdy Simba złamał pazur i ten uwierał go w łapę. Do zabiegu trzeba było zwierzę uśpić. Aby podać bezpieczną ilość środka nasennego, trzeba było znać jego wagę.

Jak w Big Brotherze

Lew był pod stałą obserwacją kamer. Można było go podglądać, co robi, na żywo z salonu. Służyło to przede wszystkim ochronie. Lwa i otoczenia.

A co jadał lew Simba? Zgodnie zaleceniem lekarzy, głogowski król sawanny, poza czystą wołowiną, zaczął dostawać także całe kury, króliki oraz różnego rodzaju podroby. Najbardziej smakowały mu wołowe serca oraz pełne chrząstek ogony.

Sam wykopał mu grób

Pan Leszek w ostatniej chwili zrezygnował ze spotkania z dziennikarzem „Nowin". Tłumaczył, że utrata Simby to dla niego bardzo traumatyczne wydarzenie. Dziennikarzowi „Faktu" powiedział, że nie może sobie poradzić z jego odejściem. Przyczyną śmierci lwa miał być nowotwór. Opiekun robił wszystko, aby go uratować. Lew był na lekach (sterydy i środki przeciwbólowe)

Krótko przed śmiercią Simba wtulił się w swojego opiekuna, w ten sposób się z nim pożegnał. Dożył 18 lat. To piękny wiek, ponieważ przeciętny wiek życia lwów w niewoli wynosi 13 lat.

Simba został pochowany na cmentarzu dla zwierząt w Węgliskach koło Rakszawy. Właściciel własnoręcznie wykopał grób swojemu wiernemu przyjacielowi.

NA DRUGIE URODZINY DOSTAŁ PIĘCIOKILOGRAMOWY TORT ZE ŚWIEŻEGO MIĘSA, OZDOBIONY DWOMA WOŁOWYMI SERCAMI I OGONEM

FOT. KRZYSZTOF KAPICA (ARCHIWUM NOWIN)

Wrzesień 2010 rok, Simba szybko rośnie, waży już 150 kg. To jednak młody kociak i bardzo lubi sie bawić

FOT. CZYTELNIK

Lew został pochowany na cmentarzu dla zwierząt w Węgliskach koło Rakszawy

eprasa.pl 1550608d64

DŁUGIE POŻEGNANIE Z CZARNĄ OSPĄ. W TLE WĄTEK POLSKI

8 maja 1980 r., Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) oficjalnie ogłosiła, że ludzkość na całym świecie jest wolna od czarnej ospy

Mariusz Grabowski

FOT. CC

We Wrocławiu w maju 1963 r. wybuchła jedna z ostatnich w Europie epidemii ospy prawdziwej. Stan epidemii ogłoszono 17 lipca, odwołano go po kilku tygodniach, 19 września

FOT. CC

Ubiór ochronny służby zdrowia w okresie epidemii we Wrocławiu. Zachorowało 99 osób (najwięcej było pracowników służby zdrowia), z których siedem zmarło, w tym cztery to lekarze i pielęgniarki

Ospa, wywoływana przez wirusa ospy prawdziwej (Orthopoxvirus) nękała ludzkość przez co najmniej 3 tys. lat, zabijając 300 mln ludzi w samym tylko XX w. Ostatni odnotowany przypadek ospy miał miejsce w 1978 r., ale w laboratoriach powstają wciąż nowe mutacje wirusa.

Paniczny strach

W deklaracji „Wykorzenienia ospy w świecie" uchwalonej przez Światową Organizację Zdrowia w Genewie 8 maja 1980 r, czytamy: „Trzydzieste trzecie Światowe Zgromadzenie Zdrowia uroczyście oświadcza, ze cały świat i wszyscy ludzie zostali uwolnieni od ospy, która była najstraszniejszą choroba szalejącą w formie epidemii w wielu krajach od najdawniejszych czasów, pozostawiając po sobie śmierć, ślepotę i oszpecenie... Wyraża głęboką wdzięczność wszystkim narodom i jednostkom, które przyczyniły się do sukcesu w tym szlachetnym historycznym przedsięwzięciu".

Ospa budziła strach od zawsze. Ślady wysypki spowodowanej ospą znaleziono nawet na twarzy mumii Ramzesa V (1160 r. p.n.e.). Pierwsze jej objawy - wysoka gorączka i zmęczenie przez wieki powodowały panikę, kolejne - charakterystyczna wysypka, która pojawia się w szczególności na twarzy, rękach i nogach - zamieszki i rozruchy. Potem było jeszcze gorzej - wykwity wypełniały się płynem, później ropą, a z czasem przekształcały się w strupy, które odpadały budząc przerażenie.

Śmiertelność 30 proc.

„W nieustającym pochodzie śmierci ospa niszczyła cale narody, zabijając zarówno ubogich, jak możnych i monarchów, dziesiątkowała armie, zmieniała losy krajów, kształtowała wierzenia; w Afryce, w Chinach i w Indii ospa miała swe bóstwa i swoje świątynie. Praktyki religijne przyczyniały się między innymi do utrzymania endemii i szerzenia się epidemii tej choroby" - pisał Jan Kostrzewski w rozprawie „Świat wolny od ospy" („Przegląd epidemiologiczny" nr 4, 1980 r.).

Dziś wiemy, że wirus wywołujący chorobę, czyli należący do herpesvirusów Orthopoxvirus, przenosił się głównie przez bezpośredni kontakt z osobami chorymi oraz drogą kropelkową. Istniało też ryzyko zakażenia przez kontakt z ubraniami, pościelą i przedmiotami, z którymi miał styczność chory.

Śmiertelność ospy prawdziwej wynosiła średnio do 30 proc., ale zależała też od postaci choroby i mogła być wyższa. Najbardziej agresywne odmiany ospy prawdziwej zabijały nawet ponad 80 proc. osób zarażonych. Najwyższą umieralność obserwowano u osób nieszczepionych.

Jest nadzieja

Krokiem milowym w zrozumieniu, na czym polega nabieranie odporności na ospę, były próby opanowania jej za pomocą immunizacji, czyli uodpornienie organizmu na działanie czynników chorobotwórczych. Historia ta sięga XI-wiecznych Chin, z których pochodzą pierwsze wzmianki o stosowaniu strupów pobranych od osób przechodzących łagodną formę ospy i aplikowaniu ich zdrowym obywatelom w celu uodpornienia.

Zabieg ten, zwany w epidemiologii wariolizacją, zyskał jednak na popularności dopiero pięć wieków później, wtedy pojawiły się również pierwsze instrukcje, jak przeprowadzić go prawidłowo. Do najbardziej rozpowszechnionych metod należało wdmuchiwanie do nozdrzy wysuszonych i zmielonych strupów oraz umieszczanie w nosie waty nasączonej płynem pochodzącym z krost.

Momentem przełomowym w historii pokonania ospy były obserwacje poczynione przez Benjamina Jesty'ego, który powiązał skutki wirusa krowianki, występującego głównie u bydła, ale niestanowiącego zagrożenia dla ludzi, z odpornością na zarażenie się chorobą. Postanowił podawać więc zarażonym wirus krowianki. 14 maja 1796 r. przeprowadził szczepienie na 8-letnim chłopcu, uznawane za pierwszy tego rodzaju zabieg w historii. Pacjent nie zachorował i dożył starości.

Czy to już koniec?

Już w 1881 r. na cześć odkrycia Jennera Ludwik Pasteur zaproponował nazwanie go terminem „vaccination" (z łac. vacca - krowa), czyli „wakcynacja" (szczepienie). Wiadomość o sukcesie zabiegu obiegła cały świat, jednak aż do lat 60. XX w. szczepienia nie były popularne, a liczba zakażeń utrzymywała się na poziomie 10-15 mln rocznie. Zaczęła spadać dopiero po wprowadzeniu w 1967 r. Światowego Programu Eradykacji Ospy Prawdziwej. Rozpoczęcie procesu powszechnych i obowiązkowych szczepień doprowadziło do całkowitego wykorzenienia tej choroby.

Co ciekawe, pojawiają się głosy, że wyeliminowanie ospy odtrąbiono nieco na wyrost. Jest bowiem wielce prawdopodobne, że nie wszystkie kraje zastosowały się do Konwencji o zakazie prowadzenia badań, produkcji i gromadzenia zapasów broni bakteriologicznej i toksycznej oraz o ich zniszczeniu z 1972 r. Wciąż zatem istnieje zagrożenie użycia wirusa ospy jako broni biologicznej. Jest to prawdopodobne z uwagi na jego wysoką zakaźność, łatwość szerzenia się zachorowań, wysoką śmiertelność oraz niewielkie koszty produkcji.

Czający się wirus

Dowody są na wyciągnięcie ręki: W lipcu 2014 r. przez amerykańskie media przemknęła wiadomość, że w pomieszczeniach gospodarczych laboratorium Narodowych Instytutów Zdrowia w Bethesda w stanie Maryland (w 1972 r. je przejęła Agencja Żywności i Leków), odkryto próbki wirusa ospy prawdziwej pochodzące z lat 50. XX w.

Z kolei w 2017 r. zespół kanadyjskich naukowców pod kierownictwem wirusologa Davida Evansa z Uniwersytetu Alberty w Edmonton syntezował bliskiego krewnego ospy prawdziwej. Dokonali tego dzięki materiałowi DNA „dostarczonego pocztą z publicznie dostępnych źródeł" przez niemiecką firmę Geneart, która specjalizuje się w syntezach DNA na zamówienie. To dowód, że podobna możliwa dla każdego, kto dysponuje odpowiednimi umiejętnościami i zasobami.

Epidemia z 1972 r.

Odnotujmy dla porządku, że ostatnim dużym zarzewiem ospy w Europie była epidemia w Jugosławii w 1972 r. Ogniskiem zakażenia okazał się pielgrzym, który powrócił z Bliskiego Wschodu, gdzie zakaził się wirusem. Epidemia objęła 175 osób, z których 35 zmarło (śmiertelność wyniosła więc 20 proc.). Władze ogłosiły stan wyjątkowy, wprowadziły kwarantannę oraz masowe ponowne szczepienia obywateli, korzystając z pomocy WHO i Donalda Hendersona. W ciągu 2 miesięcy epidemia została jednak powstrzymana.

Ostatni naturalny przypadek variola minor został zdiagnozowany 26 października 1977 r., a ostatni przypadek groźniejszej variola major dwa lata wcześniej, w listopadzie 1975 r. Oblicza się, że kompletne wyeliminowanie ospy kosztowało 300 mln dolarów.

Nieco sensacyjne zakończenie historii ospy opisali Ken Alibek Stephen Hadelman w „Biohazardzie" - w 1978 r. wirus wydostał się z laboratorium naukowego w Birmingham. Bezpośrednio w wyniku choroby zmarła Janet Parker, pełniąca funkcję fotografa medycznego, natomiast prof. Henry Bedson, naukowiec odpowiedzialny za badania ospy na uniwersytecie, popełnił samobójstwo.

Ospa na Dolnym Śląsku

W Polsce powszechny obowiązek szczepień przeciwko ospie czarnej wprowadzono już w 1951 r. (zniesiono go w 1980 r., po deklaracji WHO). Jednak to właśnie w Polsce, we Wrocławiu, wybuchła w maju 1963 r. jedna z ostatnich w Europie epidemii ospy prawdziwej. Pierwszą jej śmiertelną ofiarą była pielęgniarka Lonia Kowalczyk, która miała styczność z zakażonym Bonifacym Jedynakiem, który akurat wrócił z Birmy i Wietnamu.

Stan epidemii ogłoszono 17 lipca, odwołano go 19 września. W czasie trzech miesięcy zachorowało 99 osób, z których siedem zmarło. Miasto zostało na kilka tygodni sparaliżowane i odcięte od reszty kraju kordonem sanitarnym. Wprowadzono zakrojony na szeroką skalę program profilaktyczny, umieszczając osoby podejrzane o kontakt z chorymi w izolatoriach. Zaszczepiono wówczas 98 proc. mieszkańców Wrocławia. Tym, którzy nie chcieli podporządkować się wprowadzonym przepisom, groziły wysokie grzywny, a nawet więzienie. Stworzono też karne izolatki dla - zawsze pojawiających się w podobnych sytuacjach - awanturników i buntowników.

Znaczenie szczepień

Jednym z najważniejszych zadań, jakie władze postawiły sobie w walce z ospą prawdziwą, było rozpoczęcie wspomnianych masowych szczepień. We Wrocławiu wprowadzono je 17 lipca i początkowo były dobrowolne.

Tylko w trzech pierwszych dniach akcji zaszczepiło się 124 tys. osób, a do 22 lipca - 180 tys. Dla porównania w 1962 r. w Polsce przeciwko ospie prawdziwej ogółem zaszczepiono ok. 200 tys. osób. Z dniem 1 sierpnia 1963 r. wprowadzono szczepienia przymusowe i obowiązek ten objął wszystkich mieszkańców miasta, bez wyjątku, również tych, którzy wcześniej zostali z niego zwolnieni. Osoby poddane szczepieniu (skaryfikacji) otrzymywały zaświadczenie o wykonaniu zabiegu, które od tej chwili należało, podobnie jak dowód osobisty, nosić przy sobie i okazywać na wezwanie. Ale pomimo powagi sytuacji, nie zdecydowano się całkowicie zamknąć miasta. kina, teatry, sklepy i kluby działały jak przed pojawieniem się choroby. Na kilka dni zamknięto jedynie miejskie kąpieliska.

Jak widać, polskie władze sanitarne poradziły sobie z ospą dość sprawnie. Światowa Organizacja Zdrowia przewidywała bowiem, że epidemia potrwa dwa lata i w jej wyniku zachoruje do 2 tys. osób, a umrze 200.

eprasa.pl 1550608d64

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński

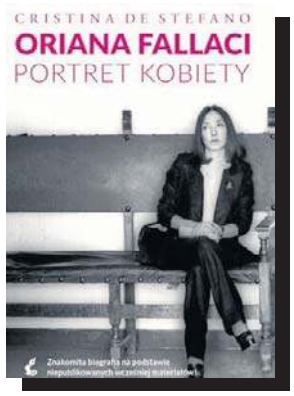

Wszystko jest polityką. Fallaci rozumiała to lepiej niż inni

„O polityce miała bardzo wysokie mniemanie, była dla niej świętością" - pisze Cristina De Stefano w biografii Oriany Fallaci. Barwnych cytatów w tej książce jest mnóstwo - bo autorka bardzo solidnie odrobiła swoją pracę, zbierając materiały do książki o słynnej dziennikarce, ale też bo świetnie pisze, więc o efektowne zdania łatwiej. Ale z całego morza ładnych słów uderzyły mnie akurat te. Z dwóch powodów. Po pierwsze - bo mnie zaskoczyły. Po drugie - bo zdają się być najcelniejszą syntezą jej kariery.

Oriana Fallaci zmarła 20 lat temu. Dla mnie była postacią ikoniczną - bo ona znajdowała się u szczytu kariery, gdy ja sam do tego zawodu dopiero wchodziłem. Pamiętam, że na początku XXI wieku, tuż po wydaniu przez nią słynnej „Wściekłości" (jej emocjonalnego, wstrząsającego eseju będącego reakcją na zamachy 11 września), próbowałem do niej dotrzeć, umówić się na wywiad. Bez szans. Dla szeregowego dziennikarza z Polski była absolutnie poza zasięgiem - na tej samej zasadzie jak Olimp jest poza zasięgiem zwykłego śmiertelnika.

Porażka zawodowa, ale podziw zawodowy pozostał. Dlatego właśnie tak chętnie sięgnąłem po jej biografię. Po raz pierwszy miałem okazję tak naprawdę więcej dowiedzieć się o dziennikarce, która tak mi imponowała te dwie dekady temu. I w ten sposób miałem okazję przeżyć te dwa zaskoczenia.

Co było tak zaskakujące? Fakt, że ona tak dużo myślała o polityce. Postrzegałem ją jako postać wręcz fanatycznie apolityczną. Widziałem ją jako prawdziwą dziennikarkę dążącą do prawdy. Polityka - jak wtedy myślałem - miała być jedynie przeszkodą na tej drodze. Im więcej polityki, tym trudniej prawdę znaleźć. Dlatego właśnie uważałem Fallaci za osobę stroniącą od polityki jak najbardziej. Okazało się dokładnie na odwrót - co zresztą dziś sam też dostrzegłem. Bo trzeba trochę lat w dziennikarstwie spędzić, by w pełni zrozumieć Mannowską mądrość o tym, że wszystko jest polityką. Fallaci zrozumiała to szybciej niż ja, oddaję jej tutaj honory po raz kolejny. Dlatego ten cytat z początku uważam za najlepszą krótką definicję jej kariery - i życia.

Książka jest oczywiście dużo dłuższa. Są dokładnie w niej opisane etapy jej kariery. I widać wyraźnie, że polityka była w niej wszędzie - łącznie z tym, że ona decydowała o tym, z jakimi mężczyznami dziennikarka się wiązała. Nieoczywista prawda z tej książki, nie tego się spodziewałem, sięgając po nią. I tym bardziej się cieszę, że przeżyłem tak miłe zaskoczenie.

Cristina De Stefano „Oriana Fallaci. Portret kobiety", wyd. Sonia Draga, Katowice 2026, cena 59,90 zł

A może Kartaginy nie należało zniszczyć?

Historię antyku poznajemy zwykle przez pryzmat starożytnej Grecji i Rzymu. Tu dostajemy perspektywę odwrotną - a więc patrzymy na Rzym oczami Kartaginy.
Eve MacDonald „Kartagina. Nowa historia starożytnego imperium", wyd. Rebis, Poznań 2026, cena 79 zł

Jedna z ważniejszych bitew morskich XX w.

W maju 1942 r. odbyła się pierwsza bitwa morska z udziałem lotniskowców. Teraz poznajemy jej szczegóły.
Michał A. Piegzik „Bitwa na Morzu Koralowym. Japońska ofensywa i pierwsza w dziejach bitwa lotniskowców", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 119,99 zł

Si vis pacem, para bellum

Spodziewaj się niespodziewanego - także wojny. Autorzy tej książki sprawdzają, czy Polska o tym pamięta.
Wojciech Kozioł, Bartłomiej Wypartowicz „Wojna, której nie chcemy. Ale czy jesteśmy na nią gotowi?", wyd. Prześwity, Warszawa 2026, cena 59,90 zł

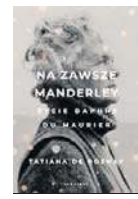

Prawdziwa autorka „Ptaków" Hitchcocka

Daphne Du Maurier to jedna z najbardziej znanych pisarek XX w., autorka choćby sfilmowanych później „Ptaków" czy „Rebeki". Teraz poznajemy jej biografię.
Tatiana de Rosnay „Na zawsze Manderley. Życie Daphne Du Maurier", wyd. Albatros, Warszawa 2026, cena 59,90 zł

Wzlot i upadek zakonu templariuszy

Templariusze - także w Polsce - obrośli wieloma mitami. Jones odsiewa legendy od faktów i opisuje, jak ten zakon zdobył swoją pozycję.
Dan Jones „Templariusze. Rozkwit i upadek zakonu świętych wojowników", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 99,99 zł

Silne kobiety epoki wikingów

Osadzona w epoce wikingów historia dwóch kobiet, które walczą o swoje ambicje w bardzo męskim świecie. Sytuację komplikuje pojawienie się chrześcijaństwa.
Elżbieta Cherezińska „Północna droga. Saga Sigrun. Ja jestem Halderd", wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2026, cena 79,99 zł

Czy współczesność rymuje się z modlitwą

Biskup Hughes pokazuje, jak współczesny, pełen bodźców, styl życia można połączyć z modlitwą. Inspiracji szuka u dawnych świętych, głównie św. Benedykta.
Alfred C. Hughes „Święty rytm życia. Śladami mistrzów modlitwy", wyd. W Drodze, Poznań 2026, cena 44,90 zł

Klimat wielkiej rywalizacji służb

Kolejna powieść autora słynnych „Kulawych koni". Znów otrzymujemy grę wywiadów, szpiegowskie szachy i duszny klimat wielkiej rywalizacji służb niczym w latach zimnej wojny.
Mick Herron „Tajne godziny", wyd. Insignis, Kraków 2026, cena 49,99 zł

Dlaczego grecka kuchnia jest tak dobra?

Każdy, kto odwiedził Grecję, wie, że tamtejsza kuchnia jest przepyszna, ale też bardzo oryginalna. Ta książka wyjaśnia jej specyfikę.
Tomasz Piotr Kozłowski „Szafran, mastyks i figa. Greckimi drogami", wyd. Powergraph, Warszawa 2026, cena 99 zł

Pilipiuk wraca do swoich bohaterów

Zbiór opowiadań autora znanego z cyklu powieści o Jakubie Wędrowyczu. Tego bohatera tutaj nie ma, ale poznajemy losy innych ulubionych postaci Pilipiuka: dr. Skórzewskiego i Roberta Storma.
Andrzej Pilipiuk „Biały dom", wyd. Fabryka Słów, Warszawa 2026, cena 59,90 zł

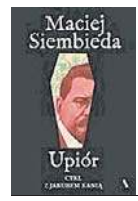

Reymont i tajemnica zakładu pogrzebowego

Co ma wspólnego spirytyzm Władysława Reymonta ze współczesnością? W tym kryminale rzeczywistość z początku XX w. mocno przenika się z pracą śledczych - i tajemnicą zakładu pogrzebowego.
Maciej Siembieda „Upiór", wyd. Agora, Warszawa 2026, cena 56,99 zł

Gdy superbohaterowie tracą moce

Superbohaterowie łączą siły - bo tylko razem są w stanie pokonać złe moce. Jest im tym trudniej, gdyż stracili swoje supermoce. Zebrani razem w Fortecy Samotności opracowują plan kontrataku.
Mark Waid, Dan Mora „Władza absolutna", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 129,99 zł

Dowód na niezwykłą wyobraźnię Lema

Eleganckie wydanie jednej z najbardziej znanych powieści Lema. Seria przygód pilota-kosmonauty, które do dzisiaj śmieszą absurdem - i przypominają, jak wizjonerską wyobraźnię miał autor.
Stanisław Lem „Opowieści o pilocie Pirxie", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 79,90 zł

Odkrywając na nowo Tarzana

Współczesna komiksowa interpretacja klasycznej powieści Edgara Burroughsa. Odbiega od oryginału tym, że duet autorów skompilował w jednym tomie cztery historie o Tarzanie.
Éric Corbeyran, Roy Allan Martinez „Tarzan. Człowiek małpa", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 89,99 zł

Afrykańskie spojrzenie na science fiction

Książka, która w schematach science fiction przedstawia schematy typowe dla afrykańskich ludów. To niezwykłe połączenie nie może dziwić, gdyż autorka jest jedną z najbardziej znanych autorek sci-fi na Czarnym Lądzie.
Nnedi Okorafor „Binti", wyd. Vesper, Warszawa 2026, cena 79,90 zł

Tajemnice karkonoskie

Kryminał, którego akcja rozpięta jest między rzeczywistością tużpowojenną i współczesną. Wszystko kręci się wokół Jeleniej Góry. Syn znanego przewodnika trafia na tajemnice z okresu życia ojca w Karkonoszach.
Sławek Gortych „Święto Karkonoszy", wyd. W.A.B., Warszawa 2026, cena 49,99 zł

eprasa.pl 1550608d64

Żeby zatrzymać to, co zaraz zniknie... Opowieści zapisane różnymi kadrami

Katarzyna Adamczyk
katarzyna.adamczyk@polskapress.pl

Poniżej znajdziecie historie, jakimi podzielili się z nami uczestnicy plebiscytu Mistrzowie Fotografii. Zajrzyjmy razem do świata ich wyjątkowej uważności, kreatywności i wrażliwości.

Jesteśmy w czwartym tygodniu głosowania w plebiscycie Mistrzowie Fotografii - i zapraszamy na kolejne bliższe spotkania z jej uczestnikami. - To zarówno ci, którzy fotografują od lat, jak też ci, którzy dopiero niedawno zaczęli. Każda z tych osób robiąc zdjęcia, zatrzymuje to, co znika w mgnieniu oka, dlatego ta akcja to są też piękne historie zapisane w kadrach - mówi Katarzyna Borek, która opiekuje się akcją od strony redakcyjnej. Niektóre rzeczy - gdy ich nie utrwalimy na zdjęciu - trwają tylko chwilę. Światło, które wpada przez okno w pokoju babci. Uśmiech dziecka, które właśnie powiedziało swoje pierwsze „mama". Gest, spojrzenie pełne miłości, wydarzenie rodzinne, które za moment będzie już tylko miłym wspomnieniem... Dla wielu uczestników Mistrzów Fotografii fotografia zaczyna się właśnie tam - w tym błysku sekundy, którą oni potrafią dostrzec i zatrzymać. Dla wielu zdjęcie to nie tylko obraz, a też wybór. Decyzja, co pokazać, a co zostawić poza kadrem. To sposób patrzenia na rzeczywistość, który z czasem staje się bardzo intymny. Każdy fotograf widzi przecież inaczej: inaczej szuka światła, inaczej reaguje na ludzi, inaczej opowiada historie. - A tych historii w naszym plebiscycie nie brakuje. Są momenty planowane i takie, które wydarzyły się przypadkiem. W ramach akcji poprosiliśmy fotografów, by opowiedzieli o swojej pracy od strony emocji. Nie przez pryzmat sprzętu czy efektów końcowych, ale przez doświadczenia, które ich tworzą jako fotografów. Przez chwile, które zapamiętali. Przez to, co daje im satysfakcję i co sprawia, że zdecydowali się na udział w naszej akcji - mówi Katarzyna Borek.

Poniżej znajdziecie dwie opowieści uczestników, którzy zgodzili się zajrzeć z nami za kulisy swojej pracy (a kolejne znajdziecie wkrótce na naszej stronie). To też opowieści o tym, że czasem jedno ujęcie potrafi powiedzieć więcej niż długie opisy. I przetrwa wieki.

FOTOGRAF ROKU

1. **Wojciech Markowski,** Warszawa
2. **Renata Radecka,** Ostrołęka i powiat ostrołęcki
3. **Beata Michalec,** Radom
4. **Wioleta Lipiec,** powiat grójecki
5. **Alicja Mączewskq,** powiaty: mławski, sierpecki i żuromiński
6. **Wojtek Janczak,** powiat legionowski i powiat nowodworski
7. **Dorota Tkaczyk,** powiat zwoleński
8. **Patrycja Hołubiec,** Siedlce, powiat siedlecki i powiat łosicki
9. **Piotr Pachocki,** powiat radomski
10. **Tomasz Rębisz,** powiat pruszkowski

CZYTAJ WIĘCEJ
na www.polskanews.pl/foto

Najchętniej uwiecznia przyrodę w najczystszej formie. Uważa, że zdjęcia są jak rozmowa, ale bez słów

W fotografii sięga po naturę w najczystszej formie, zatrzymując ulotne chwile zwierząt, owadów i krajobrazów.

Karolina Żółtowska najbardziej lubi fotografować naturę, przyrodę w jej najczystszej formie: owady, zwierzęta, krajobrazy. To trochę jak rozmowa bez słów – świat nie udaje, nie pozuje, jest dokładnie taki, jaki jest. W naturze wszystko ma swój rytm i sens, a Ona próbuję ten moment uchwycić, zanim zniknie. Owady czy zwierzęta uczą cierpliwości i pokory, nie ustawisz ich pod kadr, trzeba poczekać, zrozumieć chwilę. To daje ogromną satysfakcję, bo każde zdjęcie jest „wypracowane", a nie wymuszone. Zapytana o szczególne zdjęcie, które utkwiło Jej w pamięci, mówi o fotografii zrobionej telefonem. - Sprzęt może i nie jest profesjonalny, ale serce do zdjęć robi robotę. To fotografia wykonana podczas jazdy pociągiem, o poranku – w ruchu, bez przygotowania, bez drugiej szansy. A jednak udało się uchwycić coś wyjątkowego: delikatną mgłę unoszącą się nad polem, ciszę zamkniętą w jednej klatce. To zdjęcie jest dla mnie ważne, bo pokazuje, że nie trzeba drogiego sprzętu, żeby złapać magię chwili. Czuję dumę i radość – bo nawet w prostych warunkach można stworzyć coś, co naprawdę robi wrażenie - przywołuje.

Największą frajdę daje Jej samo polowanie na moment. Ten ułamek sekundy, kiedy świat układa się idealnie: światło, kadr, emocja. To trochę jakby zatrzymać czas i powiedzieć: „chwilo, zostań". Fotografia daje Jej też oddech od codzienności: pozwala zobaczyć więcej, zauważyć detale, które inni mijają bez zastanowienia.

- Dzięki fotografii zaczęłam patrzeć na świat uważniej. Zwykłe rzeczy przestały być zwykłe: wschody i zachody słońca, światło na liściach, cień na twarzy człowieka. Wszystko ma znaczenie. Fotografuję ludzi, krajobrazy, księżyc, momenty dnia i nocy – i z każdym zdjęciem uczę się widzieć głębiej. Fotografia nauczyła mnie cierpliwości, wrażliwości i doceniania tego, co mam tu i teraz. To nie jest tylko hobby – to sposób patrzenia na życie podkreśla pani Karolina.

Wzrok konia potrafi opowiedzieć historię, a uchwycenie tej relacji na zdjęciu to coś pięknego

Fotografowanie nauczyło Ją przełamywania barier - przede wszystkim tych we własnej głowie.

- Najbardziej lubię fotografować ludzi oraz ważne dla nich uroczystości i chwile. Fascynują mnie emocje, które pojawiają się wtedy radość, wzruszenie, bliskość. Cenię sobie swobodną atmosferę podczas sesji, w której fotografowane osoby mają przestrzeń na bycie sobą. Największą satysfakcję mam w momencie, kiedy uchwycę obiektywem niepowtarzalny moment, w którym jest dużo prawdziwych emocji. Równą pasją darzę fotografowanie koni. To zwierzęta niezwykle fotogeniczne, a jednocześnie bardzo emocjonalne, pod tym względem zaskakująco podobne do ludzi. Kiedy między człowiekiem a koniem zbudowana jest więź, widać to w jego spojrzeniu. Wzrok konia potrafi opowiedzieć historię, a uchwycenie tej relacji na zdjęciu to coś pięknego - podkreśla Wioleta Lipiec. Zdjęcie, które szczególnie zapadło Jej w pamięć, zostało wykonane w sylwestra i przedstawia konie. Tego dnia padał śnieg, panowała głucha cisza, a zwierzęta były niezwykle wyciszone. Udało Jej się wtedy uchwycić kadr, który został dołączony do zdjęć konkursowych i do dziś jest Jej ulubionym. To wyjątkowe zdjęcie, ponieważ oddaje spokój, który czuły konie i który Ona również wtedy czuła. Jednocześnie miała świadomość, jak będzie wyglądać ta przestrzeń za kilka godzin. - Ten

kadr jest dla mnie naładowany ogromnym ładunkiem emocjonalnym, być może w dużej mierze moim własnym, ale właśnie dlatego ma dla mnie tak wielką wartość - wspomina.

Największą frajdę w fotografowaniu sprawia Jej możliwość pokazywania świata i emocji swoimi oczami. Fascynuje Ją światło, to jak potrafi zmienić zwykłą scenę w wyjątkowy kadr i nadać mu zupełnie nowy wymiar: - Fotografowanie zdecydowanie zmieniło coś w moim życiu i w sposobie patrzenia na świat. Kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że dzięki fotografii odkryłam, co naprawdę chciałabym robić w życiu docelowo, chcę, aby to, co kocham, stało się moim sposobem na życie.

eprasa.pl 1550608d64

KOMUNIKACJA ZABYTKOWE TRAMWAJE WYJADĄ NA SWOJE WAKACYJNE TRASY 27 CZERWCA

Mówią na niego „Helmut". Po stolicy będzie kursował tramwaj retro

Mateusz Łuba
Warszawa

Na stołecznych torach pojawi się zabytkowy tramwaj Düwag GT6, nazywany potocznie „Helmutem". Jakimi trasami będzie jeździł?

W listopadzie ubiegłego roku Poznań świętował 145-lecie komunikacji miejskiej. Z tej okazji, w ramach tzw. „Katarzynki" - corocznego święta motorniczych i miłośników transportu szynowego, obchodzonego w okolicach dnia św. Katarzyny - odbyła się parada tramwajów, która cieszyła się ogromnym zainteresowaniem wśród mieszkańców stolicy Wielkopolski.

W związku z paradą, do Poznania z Warszawy pojechał skład „parówek" - zabytkowych tramwajów 13N. Pojazdy te były produkowane w latach 1959-1969 przez zakłady Konstal w Chorzowie. Dziś kursują głównie na warszawskich trasach linii turystycznych i okazjonalnych.

W zamian za „parówki" do Warszawy trafił tramwaj Düwag GT6, czyli tzw. „Helmut". Pojazd już jest w stolicy i - jak podkreślają przedstawiciele Tramwajów Warszawskich - obecnie trwają szkolenia motorniczych i w niedalekiej przyszłości pojazd ma kursować na linii turystycznej 36, łączącej centrum z Żoliborzem.

FOT. TRAMWAJE WARSZAWSKIE

Tak wygląda „Helmut", czyli tramwaj Düwag GT6. Został wypożyczony z Poznania, podczas wakacji będzie kursować na linii turystycznej 36 z centrum na Żoliborz

Düwag GT6 to dwuczłonowy wagon przegubowy, który był produkowany w niemieckiej fabryce Düwag w latach 1956-1968. W 2000 roku sprowadzono ogółem 17 sztuk do Poznania. Pojazdy pochodziły z Düsseldorfu i Frankfurtu nad Menem, gdzie były eksploatowane. Na poznańskich liniach kursowały przez 13 lat, do 2013 roku.

Tramwaje mogą pomieścić 190 pasażerów, w tym 44 na miejscach siedzących. „Helmut" o numerze taborowym 2513 przyjechał do Warszawy w ramach wakacyjnej wymiany i najpewniej będzie kursował do końca sierpnia lub września.

Warto także dodać, że szkolenia motorniczych trwają już jakiś czas. W grudniu rozmawialiśmy z rzecznikiem Tramwajów Warszawskich, Witoldem Urbanowiczem, który już wtedy wspomniał o konieczności przeszkolenia zespołu TW.

- Najpierw musimy przeszkolić motorniczych, bo u nas takie tramwaje nie jeździły i ten konkretny model różni się rozwiązaniami od tramwaju, który mieliśmy okazję rok temu wypożyczyć z Krakowa - przekazał nam w tamtym czasie Witold Urbanowicz.

Pojawia się więc pytanie, kiedy „Helmut" wyjedzie na linie turystyczne? Póki co Tramwaje Warszawskie nie zdradzają szczegółów, a więcej informacji ma się pojawić wkrótce. Niemniej, z niecierpliwością czekamy na datę oficjalnego wyjazdu GT6 na stołeczne tory.

Zabytkowe tramwaje jeżdżące po Warszawie już dawno temu wpisały się krajobraz miasta. W czasie wakacji na linię T wyjeżdżają zabytkowe tramwaje z lat 40. i 50. poprzedniego stulecia. Chętni mogą przejechać się m.in. słynną „berlinką".

Jej wagony zostały zaprojektowane specjalnie dla Warszawy. Podczas II wojny światowej zostały wywiezione do Berlina, ale po 1945 r. wróciły do miasta. Na trasie spotkamy również tramwaje generacji N. Najstarszy z nich obsługiwał linię 30, uruchomioną wraz z otwarciem Trasy W-Z w 1949 roku.

Z przejazdów tramwajami linii T można skorzystać w soboty, niedziele i święta od 27 czerwca do 30 sierpnia. W wagonach pasażerowie spotkają konduktorów z Klubu Miłośników Komunikacji Miejskiej. Ich rolą będzie obsługa wagonu oraz pomoc przy kasowaniu biletów.

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A., 04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

PBC

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

INNE

ANTYK krajalnice Kupię 576-948-827

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Błonie tel. 668 085 925

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Ożarów Mazowiecki tel. 668 085 925

INNE

KURS Ochrony.1600 zł Raty. tel.694848043

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/ rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy z wyżywieniem dla Seniorów. 601-585-510 www.danaustronie.pl

Karwia, - wczasy i pokoje nad morzem, 602-474-929

USTRONIE MORSKIE - pokoje z łazienkami, V-VI. PROMOCJA. Blisko morza - 7 min. Tel.: 503-936-581.

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/ tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

Polecamy →

eprasa.pl 1550608d64

Iga Świątek zaczyna turniej w Rzymie. Pozostali już odpadli

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

TENIS. **Iga Świątek zagra dzisiaj swój pierwszy mecz w turnieju WTA 1000 na kortach ziemnych w Rzymie. Jej rywalką będzie reprezentantka USA Caty McNally.**

Rozstawiona z numerem trzecim w turnieju Świątek w pierwszej rundzie miała wolny los. 24-letnia McNally w rankingu zajmuje 63. miejsce. To będzie ich trzecie spotkanie - Polka wygrała oba wcześniejsze, najpierw 6:4, 6:4 w ćwierćfinale Ostrava Open 2022 na kortach twardych, a potem 5:7, 6:2, 6:1 w drugiej rundzie Wimbledonu 2025 na kortach trawiastych. Tenisistka z USA w swoim dorobku ma dwa wygrane turnieje WTA 125, a najwyżej w klasyfikacji zajmowała 54. pozycję.

Schody szybko się zaczną

Jeśli Świątek pokona Amerykankę, w trzeciej rundzie na Igę czekać będzie Emma Navarro (USA, WTA 28) lub Elisabetta Cocciaretto (Włochy, WTA 41). W ewentualnym meczu 1/8 finału raszyniankę czeka prawdziwy sprawdzian. Jej rywalką może być trenowana przez byłego szkoleniowca Świątek Tomasza Wiktorowskiego Japonka Naomi Osaka, która może stanowić dla Polki nie lada wyzwanie.

O półfinał nasza reprezentantka może zagrać z rozstawioną z numerem 5 Amerykanką Jessicą Pegulą lub Czeszką Karoliną Muchovą. W półfinale trzykrotnej królowej Rzymu stanąć może na drodze reprezentująca Kazachstan Rosjanka Jelena Rybakina lub zwyciężczyni niedawnego „tysięcznika" w Madrycie Ukrainka Marta Kostiuk. Dopiero o tytuł Świątek może zagrać z liderką rankingu Białorusinką Aryną Sabalenką. W tym roku raszynianka nie zdołała ani razu awansować chociażby do półfinału jakiegokolwiek turnieju, w którym brała udział.

FOT. JAKUB PIKULIK

Iga Świątek w tym roku nie zdołała awansować choćby do półfinału jakiegokolwiek turnieju WTA...

Polka w stolicy Włoch pojawiła się już w poniedziałek. Razem z kanadyjskim tenisistą Felixem Auger-Aliassime wzięła udział jako tak zwana sierotka w losowaniu drabinek turnieju głównego zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet. Uroczystość odbyła się na Piazza del Popolo. Przez ostatnie dni trenowała w Rzymie, m.in. na specjalnym pokazowym korcie.

- Atmosfera była cudowna. Jestem szczęśliwa, że miałam szansę tam zagrać, bo to było świetne doświadczenie w tak ładnym otoczeniu. Przyszło wielu Polaków i Rzymian, byli bardzo podekscytowani - powiedziała Świątek.

Świątek oceniła nowego trenera

Podczas jednej z konferencji Świątek bardzo pozytywnie oceniła też swoją współpracę z nowym trenerem Hiszpanem Francisco Roigiem. Podkreśliła, że bardzo dobrze się rozumieją. - Mamy taką samą wizję tego, jak powinnam grać, a on pomaga mi to osiągnąć. Czuję, że rozumiemy się nawzajem bardzo dobrze. Mamy różne opcje podczas treningów, co jest wspaniałe, bo nie byłam zadowolona z tego, jak grałam parę miesięcy temu. Czasem wracam do starych przyzwyczajeń. Będę potrzebowała trochę czasu, by robić to, czego chce Francisco, ale idzie nam bardzo dobrze. To jest proces. Podczas każdego treningu uczę się czegoś nowego - wyjaśniła Iga.

Polka wygrała turniej na Foro Italico w Wiecznym Mieście w 2021, 2022 i 2024 roku. W ubiegłorocznej edycji dotarła do trzeciej rundy, w której przegrała z Amerykanką Danielle Collins. W tym roku tytułu będzie bronić Włoszka Jasmine Paolini.

Hurkacz, Fręch i Linette już odpadli

Z turniejem w Rzymie bardzo szybko pożegnały się pozostałe reprezentantki Polski. Już w 1. rundzie „Internazionali BNL d'Italia" (pula nagród: 8 312 293 dolarów) Magdalena Fręch nie sprostała Filipince Alexandrze Eali, ulegając 0:6, 6:3, 4:6, a Magda Linette przegrała z Niemką Tatjaną Marią 0:6, 3:6.

Formy wciąż nie może odnaleźć Hubert Hurkacz. Wrocławianin w 1. rundzie turnieju mężczyzn ATP 1000 w Rzymie o puli nagród 8 312 293 dolarów został ograny przez Niemca Yannicka Hanfmanna 7:6(3), 6:7(2), 2:6. Spotkanie na „Campo Centrale" na obiektach Foro Italico trwało dwie godziny i 21 minut. Od ponad dwóch tygodni trenerem Wrocławianina jest Francuz Gilles Cervary - były szkoleniowiec m.in. Rosjanina Daniiła Miedwiediewa.

©℗

Barcelona o krok od tytułu. Czyt to ostatnie El Clasico Roberta Lewandowskiego?

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **FC Barcelona 10 maja może świętować kolejne mistrzostwo Hiszpanii. Do wywalczenia tytułu ekipie z Camp Nou brakuje zaledwie punktu, ale rywalem będzie teraz Real Madryt.**

Cztery kolejki przed końcem sezonu, Duma Katalonii ma 11 punktów przewagi nad Realem Madryt i tak naprawdę, podopiecznym Hansiego Flicka wystarczy remis, aby zagwarantować zdobycie tytułu.

W tym sezonie oba kluby mierzyły się dwukrotnie. Jesienią, w lidze górą był Real, wygrywając 2:1. Barcelona zdążyła już jednak wziąć rewanż, pokonała „Królewskich" w styczniowym finale Superpucharu 3:2, a jedną z bramek w tym starciu strzelił Robert Lewandowski.

W ostatnich tygodniach coraz częściej mówi się o jego przyszłości. Obecny kontrakt naszego rodaka wygasa wraz z końcem sezonu, ale wciąż nie wiadomo, czy doświadczony napastnik zostanie na Camp Nou. Kataloński klub proponuje, aby przedłużył umowę, tyle że na innych niż dotąd warunkach. Kapitan reprezentacji Polski nie ma jednak zamiaru - jak wszystko wskazuje - zgadzać się na drastyczną obniżkę pensji i przypisanie roli rezerwowego. Wydaje się więc, że to może być ostatnie El Clasico z udziałem Lewandowskiego.

Nie wiadomo oczywiście, czy Robert znajdzie się w wyjściowym składzie na El Clasico, czy jako dżoker usiądzie na ławce. Nie jest natomiast tajemnicą, że w Realu panuje burza wokół Kyliana Mbappe. Francuz walczył z czasem, aby wrócić do pełnej sprawności na ten mecz. Serwis „Cadena SER" podaje, że Mbappe nie zagra jednak w El Clasico, ale nie z powodu urazu, a przez... konflikt z trenerem.

El Clasico FC Barcelona - Real Madryt w niedzielę 10 maja o godzinie 21:00. Transmisja z Camp Nou w Canal + Sport 3 i Eleven Sports 1.

©℗

FOT. GRZEGORZ WAJDA

Czy niedzielne El Clasico będzie ostatnim z udziałem Roberta Lewandowskiego jako piłkarza Barcelony?

Poznaliśmy finalistów Ligi Mistrzów. PSG przed niepowtarzalną szansą

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **PSG awansowało do finału po wygraniu dwumeczu z Bayernem (7:6). W rewanżu padł remis 1:1, a o losach rywalizacji przesądziły gole Ousmane'a Dembele i Harry'ego Kane'a.**

Piłkarze PSG po szalonym dwumeczu z Bayernem awansowali drugi rok z rzędu do finału Ligi Mistrzów. Drużyna prowadzona przez Luisa Enrique w rewanżu błyskawicznie objęła prowadzenie - już w 3. minucie spotkania Dembele dał radość przyjezdnym. Bayern zdołał odpowiedzieć dopiero w doliczonym czasie . Do siatki trafił Kane, dla którego był to już 55. gol w sezonie.

Kontrowersje w roli głównej

Więcej niż o samej grze po spotkaniu mówiło się jednak o kontrowersjach, które pojawiły się w pierwszej połowie. Sędzia João Pedro Pinheiro z Portugalii nie ukarał Nuno Mendesa za zagranie ręką, a później nie podyktował rzutu karnego dla Bayernu. Vitinha wybijał bowiem piłkę ze swojego pola karnego, ale przypadkowo trafił nią w rękę swojego kolegi João Nevesa. Decyzja? Brak jedenastki dla gospodarzy, którzy momentalnie ruszyli do niego z pretensjami.

Jak się okazało, arbiter podjął słuszną decyzję w myśl obowiązujących interpretacji.

- Bardzo często o tym mówiłem. To jest taki przepis, który powiem szczerze, nie podoba mi się, ale pragnę podkreślić - bo widzę, że piłkarze Bayernu na czele z trenerem tego nie znali - że nastrzelenie partnera z drużyny w rękę, kiedy ten nie miał czasu na reakcję, nie jest przewinieniem - tłumaczył na antenie Canal+ Sport ekspert sędziowski Adam Lyczmański.

Paryżanie jak... Real Madryt?

W finale w Budapeszcie PSG będzie broniło tytułu wywalczonego przed rokiem po efektownym zwycięstwie 5:0 nad Interem Mediolan. Paryżanie staną przed szansą zapisania się w historii - jako druga drużyna, po Realu Madryt, która wygra rok po roku elitarne rozgrywki spod szyldu UEFA.

Tym razem rywalem będzie Arsenal Londyn, który osiągnął drugi finał Champions League w historii. Poprzednio Kanonierzy walczyli o to trofeum dokładnie 20 lat temu, przegrywając z FC Barceloną.

Zdecydowany faworyt bukmacherów

Podopieczni Mikela Artety w półfinale wygrali rewanż z Atletico Madryt 1:0 (a cały dwumecz 2:1). Nie jest tajemnicą, że przed decydującym starciem w Budapeszcie faworytem bukmacherów będzie PSG. Francuski zespół miał znacznie trudniejszą drogę do finału - po drodze eliminował nie tylko Bayern, ale również Liverpool i Chelsea FC. Arsenal przed półfinałem mierzył się natomiast ze Sportingiem Lizbona oraz Bayerem Leverkusen.

Finał odbędzie się w sobotę, 30 maja, o godzinie 18.00.

©℗

eprasa.pl 1550608d64

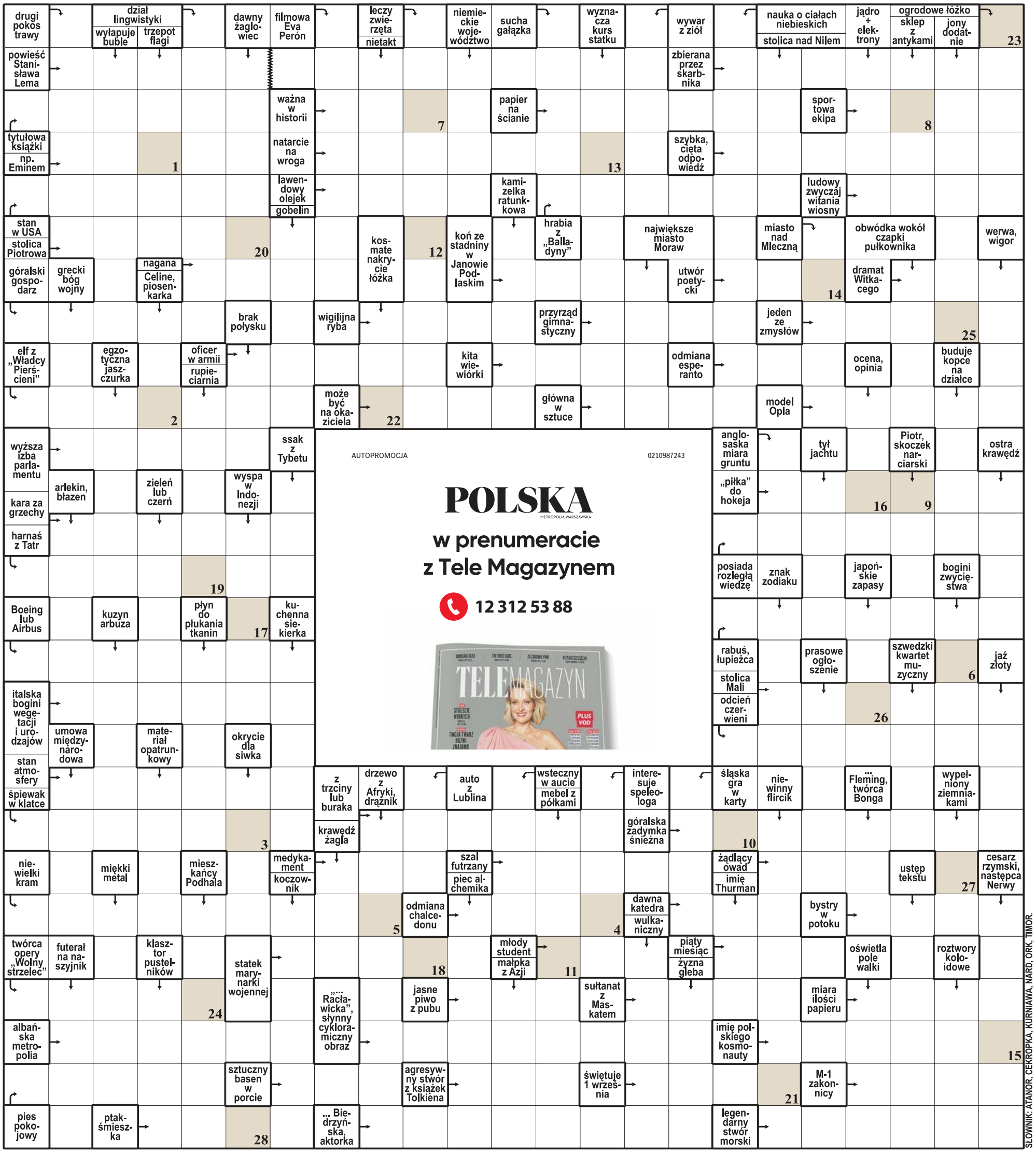

AUTOPROMOCJA 0210987243

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA
w prenumeracie
z Tele Magazynem
12 312 53 88

SŁOWNIK: ATANOR, CEKROPKA, KURNIAWA, NARD, ORK, TIMOR.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą rozwiązanie: aforyzm Adama Decowskiego.

ROZWIĄZANIE: POETKI TEŻ UŻYWAJĄ MĘSKICH RYMÓW.

eprasa.pl 1550608d64